

**DOROTA
SZELAĞOWSKA**



**MIAŁO BYĆ
ZABAWNIE (A WYSZŁO
JAK ZWYKLE)**

**DOROTA
SZELAŃGOWSKA**

**MIAŁO BYĆ
ZABAWNIE**

(A WYSZŁO JAK ZWYKLE)

Wszystkim, którzy mnie nie kochają.
Będzie Was z osiem miliardów.

*Ze szczęśliwym związkiem mam tak
jak ze Zderzaczem Hadronów –
żadnego nie udało mi się zbudować.*

Dorota Szelągowska

I to tyle, jeśli chodzi o zabawnie.



Miało być zabawnie, a wyszło jak zwykle.

Od lat piszę felietony, których nikt nie czyta. To znaczy myślałam, że ich nikt nie czyta, bo jak napisałam, że Matka ma raka, to nagle się okazało, że czytają wszyscy. I wszyscy postanowili o tym napisać: „Czy to prawda, czy licentia poetica?” – zapytała jedna pani, która zadzwoniła do mojej firmy. Nożeż kurwa, jak ja bym miała taką licencję albo poetykę, tobym nie wydobyla z siebie ani słowa. Nigdy.

Zresztą ten tekst był dowodem na moją największą głupotę.

Od zawsze najbardziej boję się końców i rzeczy nieodwracalnych. Znaczą, że coś spierdolę i nie będzie można tego naprawić. Zabiję kogoś, sprawię przykrość, koncertowo spieprzę i zeżrą mnie wyrzuty sumienia. No i tym drugim było właśnie napisanie tego tekstu.

Nie spałam i bolał mnie brzuch. Matka po drugiej operacji, ja w Hiszpanii. Napisałam jej esemesa kajającego, ale nie odczytała z powodu naćpania przeciwbólowymi. Literki jej skakały. Zadzwoniłam i powiedziałam, że jestem kretynką, nie miałam prawa zdradzać jej prywatnych spraw i nie umiem wytłumaczyć, co mi odbiło. Powiedziała, że nie ma sprawy. A potem nagrała filmik na Instagram z życzeniami obalenia rządu.

Wszyscy myślą, że jestem miła. A ja wcale nie jestem. Nie jestem też taka, jak piszą w komentarzach na Pudelku, tylko gdzieś po-

środku. Mój kolega Wojtek twierdzi, że mam dobry charakter, ale mu nie wierzę. Dobrych mam przyjaciół i całkiem dobrze gotuję.

Jedną z moich największych przyjemności jest karmienie ludzi, sprzątanie oraz wszystko, co robi się w domu pomiędzy.

Czasami chciałabym powiedzieć, co naprawdę myślę o świecie, ale nie mogę. Bo musiałabym napisać złe rzeczy o innych ludziach, a to są ich złe rzeczy, więc po co.

Bywam szczęśliwa. Głównie kiedy planuję. Niespecjalnie umiem żyć tu i teraz, choć miewam takie incydenty. Na przykład kiedy pojechałam z Molską do Azji.

Z tym planowaniem to zaczęło się w dzieciństwie, jak dostałam Księgę nastolatków Ireny Gumowskiej. To był pierwszy poradnik, jaki przeczytałam. Wiecie: jak ścielić łóżko, kiedy wietrzyć pościel, jak sprzątać i robić harmonogram dnia. Na okładce pyzate dziewczę z zaciętym wyrazem twarzy, autorstwa Edwarda Lutczyna, w środku podręcznik dla młodocianych aspirujących gospodyń domowych. Kochałam to. To były czasy, kiedy najbardziej na świecie chciałam zostać gospodynią domową. Byłam pewna, że to one zajmują się również przemeblowywaniem, a to potrafiłam najlepiej. Po Mamie, rzecz jasna. Ale o tym napiszę później.

Na co dzień poza planowaniem, sprzątaniami i gotowaniem zajmuję się też tęsknotą za wielką miłością i normalną rodziną, w której ni cholery nie umiałabym wytrzymać. Chyba. Znaczący wszystko na to wskazuje. Na miłości swojego życia zwykłam wybierać facetów, którzy nie są mną zainteresowani, natomiast ci, którzy kochają mnie na zabój, niespecjalnie wzbudzają moje zainteresowanie. Co nie zmienia faktu, że byłam trzy razy mężatką, ślub brałam cztery razy, tyle samo rozwód. I nie jest to powód do dumy, choć uwielbiam używać w rozmowie stwierdzenia: „Jeden z moich byłych mężów”; czuję się wtedy jak gwiazda kina amerykańskiego lat 50.

Z rzeczy niemiłych mam stado rozstępów na całym ciele, uzależnienie od papierosów, nadżerki żołądka, przepukliny kręgosłupa i nerwicę lękową.

W terapii byłam miliard lat. W różnych terapiach. Przerobiłam to, co umiałam, i pewnie jeszcze kiedyś wrócę po więcej. Na razie zażegnałam ataki paniki, które przez kilka lat rujnowały mi życie. Potrafię nazywać emocje, poczuć je i brać codziennie 10 miligramów leku, który odpowiada za poziom serotoniny w mojej głowie. Jest okej.

Poza tym, że znacie mnie jako miłą panią z telewizji, która pomaga ludziom i robi remonty, jestem też naprawdę dobrą projektantką wewnątrz. I nieźle piszę. Prawdopodobnie na tyle nieźle, że nawet gdyby nie ta pierwsza rzecz, to ktoś chciałby to czytać. I wydać.

Z drugiej strony, wydawnictwo chciało zatytułować tę książkę „Tak się urządziłam”, więc może nie...

Dorota was urządzi.

Jak Gośka Łupina wymyśliła ten tytuł, to wcale nie byłam przekonana, ale 10 lat temu mało miałam do gadania w tym temacie. I dobrze. Kilka lat później ktoś zrobił badania wartości tego zlepka trzech słów. Wyszło dużo. Kiedyś słyszałam, jak pod monopolowym jeden pan o chwiejnym kroku i umyśle krzyknął do drugiego z obitą twarzą: „Zygmunt! Kto cię tak urządził? Dorota?” i zatoczył się, rechocząc.

Zresztą zupełnie nie rozumiem, po co moja stacja wymyśliła potem 12 innych tytułów programów, jakie prowadziłam. Serio. Dwanaście. A i tak ludzie pamiętają ten pierwszy. Strata czasu.

Z tym tytułem książki jest jednak inaczej. Bo choć część felietonów, które przeczytacie, jest taka właśnie jak ja z telewizji – wspierająca i ratująca świat, to część już nie. Te drugie są prawdziwsze. A jak mnie coś bardzo boli, to piszę opowiadania. Też ich tu kilka jest.

W ogóle chyba w środku jestem smutna. I smutek interesuje mnie dużo bardziej niż cokolwiek innego. I jakoś mi specjalnie nie przeszkadza. Choć wiem, że gorzej się sprzedaje.

Może przy każdym tekście powinny być oznaczenia, takie jak w restauracjach? Wiecie, że wegańskie albo gluten, albo skorupiaki? Tyle że tu byłyby emocje i stany. Wszystko w wersji rysunkowej. Podnoszenie na duchu wyglądałoby tak:



Nieźle, co?

Zobaczymy, czy na to pójda.

Tak czy siak, miałam dopisać coś zabawnego, żeby nie było tak smutno. Ale jakoś się nie zanosí, kiedy czytam to, co dopisałam.

No dobra, czuję się jak Morgan Freeman w roli Boga i narratora i zamierzam to wykorzystać. Miłego!

Myśleliście, że tu już będzie właściwa książka?

A nieee. Niespodzianka.

Skąd pomysł, że ona w ogóle będzie?

Może to po prostu przypadkowe litery w twardej oprawie. Chyba że wydawnictwo da miękką. Albo, wiecie, oszustwo, takie jak w niektórych książkach celebrytów. Otwierasz, a tam nic. Serio. Widziałam kiedyś w Inmedio na lotnisku.

Tak w ogóle to lubię słowo „celebryta”. Nie uwłacza mi, choć niektórzy, jak powiedzą o mnie „celebrytka”, to potem dodają: Przepraszam. Albo od „przepraszam” zaczynają.

No dobra, prawdziwa książka będzie, ale zanim to nastąpi, mam do Was jeszcze jedno pytanie: Czy zbiór felietonów – nawet z komentarzami – to prawdziwa książka?

Tak mi jakoś przyszło do głowy. Ale nie o to! Teraz to już naprawdę. Bo ja naprawdę nie wiem, jaka powinna być kolejność tych tekstów.

Wiele z nich, najczęściej w skróconych wersjach, ukazało się w „Wysokich Obcasach Extra” i w „Olivii” na przestrzeni kilku ostatnich lat.

Jeśli jakimś cudem nie zauważyliście, bo na przykład mieszkaliście wtedy w tunelach pod ziemią, leżeliście w śpiączce albo podróżowaliście w kosmosie, to były lata, w których wydarzyło się WSZYSTKO. Pandemia, wojna, upadek tego, co znaliśmy, w tym polskiej konstytucji, do tego trzeba dodać wielokrotnie złamane serce, dziecko opuszczające gniazdo, przeprowadzki i kilkadziesiąt remontów. Te cztery wymienione jako ostatnie to u mnie, nie wiem, jak u Was.

Moje felietony często komentowały tę rzeczywistość, a potem okrutnie się przeterminowały. To może zaczę od terminu ważności; przynajmniej będzie jakaś kłamra.



TERMIN WAŻNOŚCI

Luty. Czyli nadszedł ten moment w roku, kiedy siłownie z ulgą wracają we władanie stałych bywalców, cateringi dietetyczne odnotowują miarowy spadek obrotów, a sprzedaż papierosów wraca powoli do stanu z ubiegłego roku. Taka kolej rzeczy – postanowienia noworoczne bledną w obliczu codziennych obowiązków i taki stan będzie trwał, dopóki wiosenne słońce nie przypomni o zbliżającym się lecie. Wtedy siłownie z cateringami znowu odbijają, ale z fajkami nie będzie tak łatwo. W końcu ciepło, ogródki, prosecco na tarasie – nareszcie można palić, nie czując się jak wyrzutek. Zmarznięty w dodatku. Swoją drogą to ciekawe, że najczęściej obiecujemy sobie, że w końcu schudniemy, rzucimy, przebiegniemy, a nie myślimy o spektakularnym rozwoju intelektualnym.

Ja sobie na przykład już nie obiecuję, bo mi się obietnice przeterminowują. Tak jak marzenia zresztą. Ostatnio nawet zauważyłam, że przeterminowały mi się przekonania na własny temat. Ale od początku. Nie znoszę ideologii oszczędzania. Więcej – to jest jak uczulenie. Dziwne, szczególnie że wychowałam się w skromnych warunkach, żeby nie powiedzieć mocno okrojonych z rzeczy materialnych, ale może to właśnie tu należy dopatrywać się etymologii tego zjawiska. Pamiętam dobrze cienie do powiek mojej Matki, które leżały latami w oddzielnej szufladce, odgrywając rolę jakiejś relikwii lepszych czasów. Drugiego stopnia. Trzeba je było oszczędzać niczym najcenniejszą przyprawę. Nie mogłam się nimi bawić jako dziecko, dodawać sobie urody jako nastolatka, za to jako osoba dorosła w końcu miałam z nimi upragnioną styczność, kiedy wyrzuci-

łam je do kosza. Przeterminowane o 15 lat. Razem z puszczką kawioru, którą Matka dostała w latach 90. i schowała na specjalną okazję. Nawet moje dodatkowe kilogramy, które pojawiły się w okolicach piątej klasy podstawówki, miały najprawdopodobniej początek w oszczędzaniu mięska na koniec, więc napychałam się ziemniakami, a przyjemność z drogocennego rarytasu była żadna. No, ale zostawiać coś na talerzu to marnotrawstwo.

I tu dochodzimy do meritum. Bo z postanowieniami i marzeniami jest tak samo. One też mają datę ważności – jeśli je oszczędzasz, po prostu będzie za późno. Nie, nie pojedziesz już na erasmusa do Portugalii, żeby poznać kulturę i język, jeśli masz dwójkę dzieci i męża. Też z językami. Nie zaczniesz dbać o związek, jeśli właśnie wzięłaś rozwód, i nie będziesz utrzymywać porządku w samochodzie, który właśnie sprzedałaś. No i może już nie chcesz wcale schudnąć, bo okazało się, że po „40” akceptacja własnego ciała jest wprost proporcjonalna do spowolnienia metabolizmu. A poza tym to jednak jesteś szczęśliwsza, jak jesz, niż jak chudniesz. I te hordy sukienek w twojej szafie, co to kiedyś na pewno będą już puste na wieki. I tylko metki im tak ładnie tańczą, jak przesuwasz drzwi, wyjmując dres z półki na wysokości oczu. Takie szafy to w ogóle są świadkami upadku wielu marzeń. Upchana torba z włóczkami, bo zawsze chciałaś nauczyć się robić na drutach, te taśmy, co się z nimi ćwiczy, jeśli się w ogóle ćwiczy. Nawet podręcznik do hiszpańskiego się znajdzie. Może weryfikację marzeń należy zacząć od generalnego sprzątnięcia szaf?

Z przekonaniem na swój temat to już zupełnie inna historia. Myślałam, że nie lubię latać, a takie światła miasta oglądane przez pryzmat chmur są naprawdę wspaniałe. I że przenigdy nie oddam nikomu i niczemu kontroli – i bang! Okazuje się, że zupełnie nie miałam racji. Prędkość – lubię, tłuste mięsiwo – jak najbardziej.

Aż często stoję przed lustrem i się sobie przedstawiam. Bo większość tego, co wiedziałam, po prostu się przeterminowała. Okazuje

się, że po 40 latach system załadował mi się na nowo. Fenomenalne uczucie. Bez lęku, z cierpliwością i zaufaniem.

I jedyne, co mam do powiedzenia, to że w każdym przypadku warto się przyjrzeć terminowi ważności. A jeśli nie jesteśmy pewni, to po prostu spróbować. Nie odkładać na później. Życ.

Wracam do kolejności, bo poradziłam sobie tylko z pierwszym tekstem, ale nadal nie wiem, co dalej.

Za to już wiem, że umieszczenie ich w porządku, w jakim je pisałam, będzie zupełnie bez sensu. Można by oczywiście podzielić teksty tematycznie, tyle że nie do końca wiadomo, o czym one są. To znaczy na pewno są o miłości. Moja Mama tak twierdzi. Ona w ogóle uważa, że wszystko jest o miłości. Ale ma swoją książkę, więc niech ją sobie dzieli, jak chce. Ja robię to tak:

– O czułości i prawdzie. Z przesłaniem. Nawet potrafię mądrze o tym napisać, choć nie ma to nic wspólnego z tym, co i jak robię w życiu i sobie. No, ale krytyk muzyczny nie musi być wirtuozem, co nie?

– Tak zwane pandemiczne. Takie do góry, „paulokoeljo w spódnicy”, w dodatku w czasach zarazy. Wytłumaczę to później, ale takie też tu są.

– Najbardziej osobiste – trochę kartki z pamiętnika – wesołe albo smutne. Nie jestem tam profesorem, którym zwykłam bywać w dziedzinach wszelkich. Po prostu piszę.

– Opowiadania – czyli te, które lubię najbardziej, bo są smutne.

Nie mogę zacząć od smutnych, bo miało być zabawnie, więc muszę pokazać wydawnictwu, że PRZYNAJMNIEJ próbowałam.

Zacznę więc od tych czułych, bo tam jest czasami jakiś żart, a Wy przymkniecie oko na to, że w tej książce czas i kolejność zdarzeń są względne. Okej?

BIGOSIK

–Mamo, ale czy to będzie boleć? – spytała moja trzyletnia córka przed szczepieniem.

– Nieee – powiedziała z uśmiechem miła pani pielęgniarka, pukając palcem w strzykawkę.

– Będzie, córeczko, szczepienie nie jest przyjemne – odpowiedziałam i poczułam na sobie karcący wzrok pielęgniarki. – Poboli przez chwilę, ale dzięki temu nie będziesz potem chora na różne paskudne choroby. Więc lepiej to wytrzymać, żeby potem się nie martwić. Każdy ma szczepienia, ja też – dodałam.

– A ciebie bolało? – zapytała poruszona.

– Tak.

– A płakałaś?

– Nie, ale jeśli chcesz, możesz płakać i krzyczeć, ważne, żebyś się nie ruszała.

Pani pielęgniarka zrobiła w końcu zastrzyk wśród histerycznych salw płaczu.

– No nie płacz, czemu płaczesz? – powtarzała zupełnie bez sensu, bo szczepionka piekła jak diabli, ale mimo to Wanda siedziała jak posąg. Głośny posąg.

Chwilę później wychodziłyśmy z przychodni oklejone naklejkami, które informowały świat o tym, że jest się dzielnym pacjentem (też dostałam), a po łzach nie było śladu.

– Miałaś rację – powiedziała moja córka – bolało tylko chwilę. I się nie ruszałam. Naprawdę byłam dzielna. Ale dlaczego ta pani chciała mnie oszukać, że to nie boli?

A ja właśnie tego nie wiedziałam.

Mój dorosły syn powiedział ostatnio, że jedną z moich najlepszych cech jako matki jest szczerłość. Nie ściemniałam, że gorzki syropek będzie słodki – wręcz przeciwnie, próbowałam i mówiłam, że jest ohydny, ale niestety trzeba go wypić. Coś, co miało boleć, bolało, jak czegoś miało nie być, to nie było, a gdy czekał nas trudny czas, to oboje o tym wiedzieliśmy. Ludzie i zwierzęta umierali, a nie jechali na wieś na wakacje. Płakałam przy nim nieraz z żalu i bezsilności, bo rodzice też płaczą. Kiedy przed dziewięćmi urodzinami znalazł pojemnik z mleczakami, które teoretycznie powinny być w zamku Wróżki Zębuszki, odbyliśmy szczerą rozmowę na temat nieistnienia takiego zamku, zakończoną niestety jego pytaniem o postać Świętego Mikołaja, którego istnienie również zostało w tej rozmowie obalone. To nie było łatwe, ale teraz wiem, że było dobre. Pomyślcie, ile kłamstw sprzedajemy na co dzień naszym dzieciom. Ile kłamstw sprzedali nam rodzice? Moja znajoma do dziś nie umie pływać, bo dziadkowie, u których od urodzenia spędzała dwa miesiące wakacji, chcąc ją chronić przed niebezpieczeństwem, jakie krył pobliski staw, wmówili jej, że mieszka tam krwiożerczy węgorz i tylko czyha na dzieci zbliżające się do tafli wody. Dziewczyna ma czterdzieści lat, raczej zdaje sobie sprawę z tego, że nic krwiożerczego na nią nie czyha, ale wakacje spędza na pomoście.

Albo nieznajomy, który nas zabierze, jak będziemy niegrzeczni. Jezu! Ostatnio jakaś pani w windzie zapodała ten tekst mojej córce. Wracałyśmy z placu zabaw przy zdecydowanym sprzeciwie Wandy, która bardzo odważnie manifestowała swoje niezadowolenie. Sympatyczna starsza pani spojrzała na moje umęczone oblicze i w najszczerzym odruchu pomocy powiedziała, patrząc dziecku w oczy:

– Jak będziesz taka niegrzeczna, to cię zabiorę.



Córka spojrzała na mnie, ja na panią, drzwi windy się otworzyły, zdążyłam jeszcze powiedzieć, że nie ma takiej możliwości, po czym

wytłumaczyłam dziecku, że pani tak powiedziała, bo myślała, że to pomoże, ale tak naprawdę nie miała złych zamiarów. Nie sądzę, żeby moja córka cokolwiek z tego zrozumiała. I bardzo dobrze.

Apeluję więc do Was: gadajcie ze swoimi dziećmi. Normalnie. Bez zmieniania głosu czy głupich zdrobnień. To mali ludzie. Czasem ich boli, czasem są rozdrażnieni. Sama niejednokrotnie chciałabym z głodu i zmęczenia po prostu się rozpłakać, nakrzyczeć na kogoś i się obrazić. I nie ściemniajcie. Te wszystkie historyjki, zabobony i miejskie legendy, które niby chwilowo ułatwiają nam życie, na dłuższą metę nie działają. Bo może się skończyć tak jak w przypadku syna mojej znajomej, który podejrzliwie grzebiąc w parującym jeszcze bigosiku, zapytał:

– Mamo, a co się dzieje z tymi dziećmi, których nikt nie znajdzie w kapuście?

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

– Pani Doroto, jak dobrze, że panią widzę. – Spod rozciągniętej czapki wpatrywała się we mnie para oczu z wyrazem sugerującym coś zgoła odmiennego niż radość na mój widok. – Bo widzi pani, my z mężem już od dawna chcemy się dostać do pani programu. – Kobieta zawiesiła głos. Wyglądała zupełnie przeciętnie, jednak w jej spojrzeniu był jakiś przeszywający brak nadziei. – Wiem, że to pewnie niemożliwe – kontynuowała – ale u nas to naprawdę od zawsze źle się dzieje. Biednemu to zawsze wiatr w oczy. – Zamilkła i czekała na moją reakcję, więc uprzejmie przytaknęłam ruchem głowy. Na twarzy kobiety pojawiła się satysfakcja. – Taki problem z tym mieszkaniem mieliśmy, bo najpierw nas zalało, skaranie boskie; no, co prawda byliśmy ubezpieczeni i nawet jakoś sprawnie to poszło – w jej głosie zabrzmiało niezadowolenie – jednak ile to się człowiek tych papierów nawypełniał... – jęknęła i nabrała nowej energii. – No a potem, jak już mieliśmy robić remont, to mąż miał straszny wypadek. Nic mu się nie stało, cud jakiś, ale co z tego! Wypadek to wypadek, na zwolnieniu był dwa tygodnie, a jak wrócił, to go naprawdę zwolnili. No, facet bez pracy, wie pani, jakiś koszmar. Siedział i gadał. Co zrobimy, gdzie pojedziemy, plany snuł... Po cholere, jak pieniędzy nie było? Wcześniej to mi go nawet brakowało, jak ciągle w robocie siedział, ale żeby tak wciąż? Udręka... – Spojrzała mi prosto w oczy i przysięgam, że rozkoszowała się tym słowem. – Tak się złożyło, że się potem właściciel firmy zmienił i go z powrotem przyjęli, nawet podwyżkę dostał. No ale co się nadenerwowaliśmy, to

nasze – dodała z wyraźnym ukontentowaniem. – No i potem córka wyprowadziła się i za mąż wyszła.



– Ale zięć niefajny? – odezwałam się po raz pierwszy.

– No fajny, fajny, ale co z tego, jak się na to wesele tak skredytowali, że nigdy tego nie spłacą. Niby pracę mają, ale wie pani, to nigdy nic nie wiadomo – podsumowała z jakimś dziwnym zadowoleniem. – Więc my już od lat chcemy i staramy się dostać do tego pani programu.

– A kiedy wysłali państwo zgłoszenie? – zapytałam.

– Nie wysłaliśmy. Bo to się i tak nie uda. My szczęścia to nie mamy. Biednemu to, jak już mówiłam, zawsze wiatr w oczy. Ale dobrze, że panią spotkałam. To do widzenia. – Odwróciła się i w tym momencie ochlapał ją przejeżdżający samochód. – A nie mówiłam? – Zamachała do mnie radośnie i poszła dalej.

A ja stałam osłupiała.

Oto spotkałam kogoś, kto ma absolutnego farta – jak mu zalewa mieszkanie, to ubezpieczone. Ba! W dodatku ubezpieczyciel z chęcią wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Mąż bez szwanku wychodzi z poważnego wypadku i po wielu latach małżeństwa potrafi snuć jakieś plany. Jak traci pracę, to natychmiast przyjmują go z powrotem i jeszcze dostaje podwyżkę. Córka wychodzi za męża za fajnego faceta i dostaje kredyt, czyli oboje mają dobrą pracę. Więc dlaczego ta historia nie zaczęła się od słów: „Bo my to mamy w życiu szczęście”? Może dlatego, że się szczęścia potwornie boimy. Bo mi nie, zniknie, zapeszymy, a poza tym, co ludzie powiedzą. Oj! Nie lubimy, kiedy ktoś epatuje radością. Na pytanie: „Co u ciebie?” spodziewamy się krótkiego: „Powolutku”, okraszonego niezbyt pozytywnymi opisami chorób i wypadków wśród bliższych i dalszych znajomych. Spróbujcie kiedyś odpowiedzieć: „Świetnie – uwielbiam moją pracę, w rodzinie wszystko dobrze, jestem szczęśliwa, nieźle zarabiam”. Ja spróbowałam – straciłam dwie przyjaciółki.

Oczywiście, moja rozmówczyni mogła też należeć do osobliwego grona pechowców z wyboru. Ile razy słyszymy, że komuś ni w ząb nie idzie. Nic i nigdy. Żałujemy, współczujemy, ale czy zauważamy,

że te niepowodzenia właśnie sprawiają mu jakąś dziwną, nieopisaną radość? Snuł najczarniejsze wizje i miał rację! Nie udało się! Ta satysfakcja jest o niebo lepsza niż jakieś tam wymierne korzyści. On upaja się własnym smutkiem i liczy niewidzialne kłody, które świat rzuca mu pod nogi. Porównuje się ze „szczęściarzami”, nie zauważając, że obiektywnie inni często mają gorzej, tylko gdzie indziej upatrują środka ciężkości.

Czasem wierzą w nas wszyscy, tylko my w siebie nie wierzymy. I zużywamy mnóstwo energii, żeby przekonać świat, że jesteśmy beznadziejni i że się nie uda. Problem w tym, że świat udaje się o tym przekonać. Głęboko wierzę, że każdy otrzymuje od losu to, co mu jest najbardziej potrzebne. Tak jak ta kobieta. Bo w całym naszym spotkaniu najbardziej ucieszył ją ten samochód, który ochłapał ją od stóp do głów. Dostała to, czego chciała – potwierdzenie, że biednemu to nie tylko wiatr w oczy, ale nawet woda z kałuży.

ZAKOCHANIE

Wiem, powinno być o schyłku wakacji, szkolnych przygotowaniach, może z delikatnie wplecionym komentarzem powyborczym. Albo przynajmniej, że jesień tuż-tuż i... no właśnie. Więc nie. Dziś będzie o miłości, a ściślej – o zakochaniu. Bo, chyba jak większość z nas, zdecydowanie rozdzielam te dwa stany.

Jak zwykle zostałam zainspirowana przez wspaniałe kobiety, które mnie otaczają i z którymi toczymy nieustanne dyskusje. Podczas jednego z takich spotkań wysnułyśmy śmiałą tezę, że nasze największe zadurzenia, te, którym towarzyszyło szaleństwo, motyle w brzuchu, a romantyzm zalewał nam oczy, rzadko przeradzały się w coś na serio, a pomimo to mamy do nich największy sentyment. A może nie powinnam była napisać „pomimo”, lecz „i dlatego właśnie”? Ale od początku. Zaczęło się od zwierzeń przy winie.

Pan Sierpień – bohater najbardziej kiczowatego romansidła w moim życiu. Jaki to był piękny czas! Kojarzycie, jak w filmach następuje sekwencja scen z perfekcyjnym światłem, nastrojem i obrazami, które mają oddać miłość głównych bohaterów i pokazać idylliczne sytuacje, najlepiej w zwolnionym tempie i z zachodem słońca w tle? Tak to właśnie pamiętam. Słońce naprawdę padało zawsze pod idealnym kątem! Jakby prześlizgiwało się pomiędzy gąszczem winorośli przesłaniającej okna, tworząc coś absolutnie niezwykłego. Robienie jajek po benedyktyńsku na śniadanie – ja w jego koszuli, on bez, jazz albo inny oczywisty podkład z płyty, i prosecco o 10.00. Tańczyliśmy pomiędzy mieszaniem wody z octem

w garnku, a karmieniem się sosem holenderskim. I dzieci – jego, moje, obce, które przebiegały w różnych kierunkach między podwórkiem a ogrodem, goniąc psa, albo ścigały się na deskorolkach. Sekretny uścisk dłoni, którym wyznawaliśmy sobie miłość w towarzystwie. Pamiętam, jak leżeliśmy, patrząc na siebie z uczuciem totalnego szczęścia, i tylko moja skóra nie pozwalała wydostać się na wolność hordzie motyli.

– I co się z nim stało? – zapytały dziewczyny, gdy w końcu prze-
rwałam opowieść, żeby wziąć łyk wina. Do tej pory nijak nie podej-
rzewały mnie o takie przeżycia.

– Nie wiem – odparłam. – We wrześnie zderzyliśmy się z rzeczy-
wistością, można właściwie powiedzieć, że wrześń nas pożarł. Słońce nie padało już pod TYM kątem, winorośl na oknach zmieniała kolor, a dzieci poszły do szkoły. Rozstaliśmy się chwilę później przez esemesa.

– Jezu – jęknęła Karolina – a mogło być tak pięknie.

– Nie mogło – włączyła się Zośka. – Gdyby trwało dłużej, te wspo-
mnienia pokryłyby się kolejnymi, potem wżarłaby się w nie co-
dziennie i pretensje. Romans to romans – podsumowała i zaczęła
swoją opowieść.

Pana Doktora spotkała na imprezie u wspólnych znajomych. Po-
lak od lat mieszkający za granicą, doktor, ale nie medycyny, wykła-
dowca, poliglota, audiofil. Mądrzejszy niż wszyscy ludzie, których
wcześniej znała, egzaltowany i pewny siebie. Zakochał się w Zośce
od pierwszego wejrzenia i słał długie i tęskne mejle z Frankfurtu
nad Menem, gdzie wiódł nieszczęśliwy żywot u boku niemieckiej
narzeczonej. Przeszli z Zośką na Skype'a i w końcu postanowili
znów się spotkać. Padło na Berlin, bo to w połowie drogi. Doktor
oprowadzał Zośkę po Mitte, dzieląc się wiedzą, której miał tyle, że
wystarczyłoby dla 600 takich Zosiek, i wielbił ziemię, po której stą-
pała.

– Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył – powiedziała. – On drżał, kiedy brał mnie za rękę. Byłam jak królowa, która czyni zaszczyt, pozwalając na siebie spojrzeć.

W tym układzie przez pół roku zwiedzili pół Europy, zaglądając do galerii, małych sklepów z winylami, które Doktor kolekcjonował, i chłonąc tkankę miejską oraz siebie nawzajem.

– To stąd wiedziałaś wszystko o każdym miejscu, do którego potem jeździliśmy! – krzyknęła Karolina. – Dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Bo to było fajne, dopóki było tajemnicą – odpowiedziała Zośka i spłonęła rumieńcem. – Jak zaczęła wkraczać codzienność, jakieś plany, próba pogodzenia tego wszystkiego, to się popsuło.

Doktor w końcu rzucił narzeczoną i przeprowadził się do Czech. Paradoksalnie ten fakt sprawił, że mejle przychodziły coraz rzadziej, a telefon milczał. Tymczasem Zośka poznała swojego aktualnego męża i wszystko naturalnie i bez jakichkolwiek dramatów stało się przeszłością.

– A nie, jeszcze był ten mejl, jak brałam ślub! – krzyknęła. – Nigdy nie byłaś legalną nutą w soundtracku mojego życia.

– Cooo?! – Ryknęłyśmy śmiechem.

– No widzicie. Nie byłoby pięknie. Jego niesamowita wiedza nie dałaby rady przy tym poziomie pretensjonalności. A uwielbienie dla mnie mała wprost proporcjonalnie do tej całej chemii, jaką wytwarza nasz mózg, gdy się zakochamy. A tak to mam miłe wspomnienia.

– No dobra. – Karolina westchnęła. – To ja mam opowieść o Tamtej Zimie.

Tamta Zima zaczęła się w listopadzie, kiedy to śnieg pokrył Warszawę grubym dywanem bieli, a skończyła na początku maja, kiedy stopniał.

– Pamiętacie, jak żartowaliśmy, że zapowiada się tak ciepłe lato, że będziemy w klapkach po śniegu biegać?

Pamiętaliśmy, bo Zośka właśnie w 2013 roku brała ślub na początku czerwca i spędziłyśmy długie godziny na szukaniu letniego, białego futerka. Karolina była wtedy w niezwykle nieudanym związku z Księciem Panem, który rządził jej życiem niepodzielnie od dziewięciu lat. Pan Zimowy pojawił się wraz z pierwszą śniegową chmurą i był jakąś niewyraźną postacią z dzieciństwa Karoliny. Zakochali się w sobie od razu, nazywając to przyjaźnią, i od tego momentu byli nierozłączni. Księżę Pan nie zwracał specjalnie uwagi na to, gdzie, co i z kim robi Karolina, znacznie ułatwiając jej budowanie życia B. Dzień zaczynała od rozmowy z Zimowym, potem pozostawali w kontakcie esemesowym, wieczorem się spotykali, a tuż przed snem wysyłali sobie kolejne wiadomości. Do łóżka poszli może trzy razy, ale mimo że było bardzo przyjemnie, uznali, że to jak jedzenie superdania na papierowych talerzykach. I że są dla siebie zbyt ważni. Zimowy opowiadał jej o podbojach na mieście, Karolina jemu o problemach z Księciem Panem. Przemierzali warszawskie kluby i restauracje, czytali, słuchali muzyki, razem chodzili do znajomych i gadali, gadali, gadali. Tamta Zima miała zapach whisky i papierosowego dymu.



Byli dla siebie stworzeni w sposób absolutny, tylko ani ona, ani on na ten absolut nie byli wtedy gotowi. W końcu Karolina zrozu-

miała, że musi coś wybrać, bo Zimowy tak bardzo wrósł w nią i codzienność, formalnie nie będąc jej częścią, że to się nie mogło dobrze skończyć. Pojechała do niego pewnego wieczoru, wylała morze łez i wytłumaczyła, że w tym układzie żadne z nich nie ma szansy na nic prawdziwego. Bo mają siebie i zaspokajają wszystkie swoje potrzeby. I przez to ani ona nie może ratować związku z Księciem Panem, ani on nie znajdzie miłości swojego życia. Potem kochali się niespiesznie, potem razem płakali. Karolina wykasowała numer Zimowego i przez miesiąc przeżywała żałobę. A potem rozstała się z Księciem Panem.

– I dlaczego nie wróciłaś do Zimowego? – zapytałyśmy jednocześnie.

– Bo tego już nie było. Zima się skończyła. Co jakiś czas do siebie piszemy, ale zupełnie jak kumple. Szczerze mówiąc, nie rozumiem teraz, dlaczego to był właśnie on. Ale mam najbardziej magiczne wspomnienia: to była zima, podczas której wydarzyło się wszystko. – Zamilkła.

Wszystkie zamilkłyśmy, odgrzebawszy coś, co od lat skrzętnie ukrywałyśmy w odmętach niepamięci. A może pamięci? Trzy różne historie, a tyle wspólnego. Czy to znaczy, że warto kończyć najbardziej romantyczne relacje, zanim pożre je rzeczywistość? Przecież w żadnej z nas nie został niedosyt, pretensja czy żal. A gdybyśmy wzięły na tapet nasze długotrwałe relacje, zapewniam Was, że byłoby odwrotnie. Tylko czy naprawdę poznałyśmy Pana Sierpnia, Doktora czy Zimowego? Nie. Są jak krótkie filmy, które możemy sobie wyświetlić, kiedy jest nam smutno. Prawdopodobnie czar przysłby podczas choroby dziecka, codziennych obowiązków, wśród niezapłaconych rachunków. A może jest jeszcze inaczej. Może związki, w których teraz jesteśmy od lat, mniej lub bardziej szczęśliwie, też miały takie początki, tylko nasze wspomnienia przykryła szara rzeczywistość? A gdyby tak spróbować to odgrzebać... I z taką

myślą się rozstałyśmy tamtego wieczoru. Z nią też Was zostawiam.
Zastanówcie się, bo warto.

TOKSYK

– Cześć, wróciłem, żeby odebrać ci poczucie własnej wartości, które z takim trudem zdążyłaś odbudować po mojej poprzedniej wizycie.

Nie powiedział tak nigdy, niestety, toksyczny były, kiedy stawał w Twoich drzwiach. Mówi raczej, że się stęsknił i ile się można gniewać. I że ładnie wyglądasz.

Nie użyje słowa „przepraszam”, chyba że jakoś tak sprytnie je wplecie, że nastąpi po nim „ale”, jakaś łza, i wyjdzie na to, że to Ty powinnaś przeprosić. I jak mogłaś się odciąć, i wyrzucić go ze swojego życia? Zniknąć?

Co prawda zrobiłaś to po tym, jak Cię zdradził, zapewnił, że nie kocha, doprowadził do stanu, w którym przyjaciele zbierali Cię z podłogi, ale zastanów się, czy to wystarczający powód? Przecież to, co było między Wami, było ważne. Wyjątkowe. Piękne. Więc dlaczego tak go skrzywdziłaś? Tak jakoś wychodzi, że po 15 minutach od momentu, kiedy toksyczny były stanął w drzwiach, nie mówiąc tego, co powinien, jesteś pewna, że odpowiadasz za całe zło tego świata. Waszego świata. I cieszysz się, że będziesz mogła naprawić swój błąd. Ba! Jesteś wdzięczna za szansę, jaką on, mimo tego, co mu zrobiłaś, wspaniałomyślnie Ci daje.

Życie jest zabawne. Prawda?

Zawsze się zastanawiałam, dlaczego niektóre z nas omijają takich facetów szerokim łukiem, a inne, w tym ja, rozpoznają toksyka

z odległości stu kilometrów. Po zapachu albo na niewyraźnym zdjęciu. Po numerze telefonu. I od razu śmiertelnie się zakochują.

Może to kwestia pochodzenia z tak zwanych dobrych rodzin. Wiecie, takich, że jest mama i tata, są rozmowy o uczuciach, jest wsparcie i poczucie własnej wartości. U mnie tak nie było. Kobiety z mojej rodziny – przynajmniej od czterech pokoleń – też nie znały takiego szczęścia.

To nie jest tak, że myślisz, że go zmienisz. Wiesz, że nie. Więcej – widzisz wszystkie sygnały ostrzegawcze i doskonale zdajesz sobie sprawę z konsekwencji. W pewnym momencie masz nawet wrażenie, że jesteś na imprezie techno – tyle czerwonych lamp miga w Twojej głowie.

Ale masz też w sobie tak ogromną potrzebę bycia wyjątkową, że czujesz się jak podczas osvajania dzikiego zwierzęcia. Jak Ci się uda, to znaczy, że wygrałaś, a wszyscy się mylili.

Pamiętam, jak w głębokich latach 80. pojechałam na wieś do dalekiej rodziny. Wszyscy tam wspominali wizytę mojej Mamy, która odwiedziła ich jako pięcioletnie dziecko. Słodkie, rezolutne, z czarnymi loczkami i pyzatą buzią. I to dziecko nagle zniknęło. Wieś postawiona na nogi, przeczesują zagajnik, sprawdzają studnie i chlewiki. Po dwóch godzinach znaleźli Mamę w kojcu bardzo groźnego psa; wiecie, takiego co to każdy bał się podejść, a miskę z jedzeniem podsuwano mu kijem. A ona spała z nim w budzie. Jezu, jak ja chciałam tak samo! Omal nie przypłaciłam tego życiem – to nie był tamten pies, ja nie byłam moją Mamą, tylko kojec pozostał ten sam.

Potem w życiu robiłam podobnie.

A teraz siedzę na telefonie ze znajomą, która pływa po szyję w toksynie, i naprawdę nie wiem, jak jej pomóc. Rozumiem ją i tę tęsknotę, i to, że wie, że nie, a mimo to wchodzi głębiej. Na terapii uczymy się siebie i o sobie, ale co z tego wprowadzimy w życie, to już zupełnie inna sprawa.

To jak z odchudzaniem. Wiesz jak: deficyt kaloryczny, sport i po miesiącu będą efekty. Wiesz, że masz uderzenie endorfin, jak się porządnie zmęczysz. I co z tego? Musisz najpierw przekonać samą siebie do wejścia na orbitrek i zjedzenia sałatki zamiast pizzy. Zmusić się. Być mądrzejsza od samej siebie. Jak matka próbująca ochronić dziecko i wskazać mu właściwą drogę.

Tylko z dziećmi bywa łatwiej, prawda?



PODZIAŁ MAJĄTKU

– Tato, a ty co byś zabrał ze sobą przy podziale majątku?

Takie oto pytanie padło w domu Gosi i Wojtka, moich serdecznych przyjaciół, podczas miłej rodzinnej kolacji. I nie, nie myślcie sobie, że przyjaciele ci mają jakiegokolwiek plany rozwodowe – po prostu mają dzieci. No a dzieci mają pytania.

Gosia najpierw zakrztusiła się zupą, a potem zamiast prześledzić, jak to zwykle robi, skąd u jej córki pojawił się akurat taki problem, otarła usta serwetką i spojrzała na Wojtka, bo właściwie też była ciekawa. Wszyscy byli. Trójka dzieci, 20 lat stażu małżeńskiego, wspólna praca i codzienność splecione niczym pień pachiry. W pokoju zapanowała cisza, choć tylko na chwilę, bo oto Wojtek, nie odkładając łyżki, omiół wzrokiem całą rodzinę i powiedział:

– Przy podziale majątku zabrałbym ze sobą tylko mamę – po czym spokojnie wrócił do jedzenia.

I tak oto w zwykły czwartkowy wieczór, zupełnie bez zapowiedzi, na kolacji pojawił się romantyzm absolutny. Miłosne wyznanie, które spokojnie mogłoby zastąpić całą tonę „Kocham cię... na zawsze... chcę tylko z tobą”. Czulość i pewność. Kiedy kilka dni później Gosia opowiadała mi ze śmiechem tę historię, w jej oczach nadal to wszystko było.

I wiem, że wiele z Was myśli sobie teraz – bzdura! Zupełnie tak jak mój znajomy prawnik, z którym podzieliłam się tą opowieścią.

– Ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, co wychodzi z ludzi w czasie rozwodu – powiedział, a ja się nie kłóciłam, bo czymże są moje

skromne trzy rozwody przy jego kilkuset. I tak, wiem, że największe zgliszcza, po których wtedy stąpamy, to te z naszych przekonań na temat drugiej osoby. Ale czy tak być musi?

Dlaczego, jeśli związek się rozpada, zabieramy z niego tylko to, co złe? Zapominamy o tym, co było piękne, ważne, co w danym momencie o nas stanowiło? Zauważyliście, jak trudno zostać z tymi wszystkimi wspomnieniami i przekonaniem? Z obietnicami i planami, nawet jeśli już nigdy ich nie zrealizujemy? A przecież one są prawdziwe. Były prawdziwe. Niszczymy dobre wspomnienia, bo nie chcemy tęsknić. Pewnie tak jest łatwiej. Ale robimy sobie potworną krzywdę.

To, co powiedział Wojtek przy kolacji, było najpiękniejszym wyznaniem miłosnym, wbrew pozorom wcale nieoderwanym od rzeczywistości.

A jeśli przy rozstaniu zabieralibyśmy to, co było dla nas najważniejsze i najpiękniejsze? Ten moment, kiedy pierwszy raz poszliśmy na randkę, pierwsze „kocham cię”, leniwe poranki w łóżku, motyle w brzuchu, nasze plany, pewność, delikatność, prawdę. Wiem, że to trudne i zaufajcie mi, wiem, ile kosztuje pracy. I na pewno potrzeba na to czasu. Ale z drugiej strony, daje nam jakąś cudowną czułość i zrozumienie własnej historii. Dewaluując nasze związki, dewaluujemy siebie. Co z tego, że nie wyszły – są częścią naszej przeszłości, tej, która zbudowała nas takimi, jacy jesteśmy. Nie odbieramy im prawdy ani nie negujemy dobrych intencji. To też jakiś element bycia tu i teraz. W relacji mamy skłonność do upiększania i tłumaczenia rzeczywistości. Kiedy relacja się kończy, snujemy opowieść o tym, co było najgorsze – aż trudno zrozumieć, dlaczego w niej w ogóle byliśmy. A to przecież podważenie siebie i własnych decyzji.

Nie, nie zmieniałabym swojej przeszłości. Wiem, co mnie doprowadziło do miejsca, w którym jestem. Czy żałuję któregośkolwiek końca świata w moim życiu? Nie. Szanuję swój każdy związek. Czas

sprawił, że dobre rzeczy, jakie w tych związkach dostałam, stały się dla mnie bardziej widoczne. Pielęgnuję je i wdzięczność w stosunku do tych, z którymi je wtedy dzieliłam. Ten szacunek i wdzięczność właśnie są niesamowicie oczyszczające. Nie niosę złości ani żalu, bo po co. Dużo przyjemniej się idzie, niosąc dobro. I tego Wam właśnie życzę.

PRZESŁANIE

Siedziałam sobie ostatnio w bardzo damskim gronie, gdzie przy winie i całkiem niezdrowych przekąskach tradycyjnie starałyśmy się rozwiązać wszystkie problemy tego świata. Szło nam wcale nieźle do momentu, kiedy Anka, cytując zupełnie przypadkowo przeczytany u fryzjera artykuł z młodzieżowej gazety, zaczęła pouczać Gośkę w kwestii związków. Swoją drogą, czy zauważyliście, że wszystkie niemądre gazety czytamy zawsze u fryzjera albo u kosmetyczki? Tak jak na niektóre programy w telewizji zawsze trafia się „zupełnie przypadkiem”. Oczywiście każdy wie, że to bzdura, po prostu trudno nam się przyznać do małych słabości, które nie wymagają wysiłku intelektualnego. Ja tam kupuję i oglądam specjalnie, żeby nie było. Anka jednak czytała u fryzjera, co przyrzeka, i dzięki temu wiedziała doskonale, że mąż Gośki z pewnością czuje się pominięty w decyzjach i na pewno jest wyśmiewany przez kolegów, skoro to Gośka zaplanowała właśnie wakacje i jeszcze je opłaciła. Żebyście widzieli piekło, jakie się rozpętało! Dziewięć kobiet, dziewięć punktów widzenia. Przykłady, rady, opowieści o zmarnowanych związkach. W tym Agata, terapeutka, która nieśmiało próbowała się wtrącić prawdopodobnie po to, żeby powiedzieć coś mądrego, ale gdy już prawie była przy głosie, to Marta, u której gościłyśmy, wniosła naręczę gazet, zapewne zabrane z jakiegoś zakładu fryzjerskiego. To była kopalnia wiedzy! – jak sprawić, żeby on był szczęśliwy, jak być szczęśliwą, nie unieszczęśliwiając jego, jak go nie kastrować, jak go wspierać, jak odnosić sukcesy, tak żeby mu nie zagrażać. Nagle wszystko stało się oczywiste. No, może pomija-

jąc pewne sprzeczności, ale generalnie przekaz był jasny. Należy udawać. Jak najbardziej. Jak się coś umie, to na pewno się z tym nie zdradzać. Być nieporadną i małą. Słuchać. Nie mówić za dużo. Śmiać się z żartów, nawet jak nie są śmieszne, i dbać o siebie jako o jego wizytówkę. Wtedy w końcu głos zabrała Agata i opowiedziała nam o swojej babci Hani i dziadku Edku. Poznali się w Warszawie, gdzieś na początku lat 50. Pierwsza randka, romantyczny spacer, odbyła się w mroźny zimowy wieczór. Rozmawiało im się całkiem dobrze, śnieg skrzypiał pod nogami, a babcia Hania (która, rzecz jasna, nie była jeszcze babcią, tylko dwudziestoletnią dziewczyną) tak obierała kierunek spaceru, by „zupełnie przypadkiem” znaleźć się pod bramą kamienicy przy Lwowskiej, gdzie na drugim piętrze odbywała się potańcówka z okazji urodzin jej serdecznej przyjaciółki Lusi. Babcia Hania poinformowała dziadka, że wchodzi tam tylko na chwilę, żeby się przywitać, i zaraz wraca. Kiedy cztery godziny później schodziła po schodach z wypiekami na twarzy, dziadek Edek czekał i, jakby nic się nie stało, odprowadził ją do domu. Ślub wzięli kilka miesięcy później z wielkiej miłości – nie mogło być inaczej. Dziadek Edek oprócz babci Hani kochał wtedy jeszcze wojsko, które jako sierotę wojenną wzięło go pod swoje skrzydła, gdy miał kilkanaście lat, oraz motocykle. Babcia Hania uznała jednak, że nie może mieć w domu „czerwonego oficera” – no cóż, takie były czasy, a babcia Hania była nieugięta. I choć dziadek z systemem nie miał nic wspólnego, odszedł z wojska. Zostały mu co prawda motocykle, ale jako że na świat przyszła właśnie mama Agaty, babcia Hania uznała, że są zbyt niebezpieczne, więc dziadek Edek czym prędzej powinien się ich pozbyć. Dziadek nie protestował. Szczęśliwie wkrótce zakład pracy przyznał mu całe 25 metrów kwadratowych działki robotniczej, do której dziadek zapalał miłością wielką, a babcia Hania pozbawiona argumentów zaakceptowała tę część jego odrębności. Choć jeśli dziadkowi zdarzyło się wrócić nawet kwadrans po umówionej godzinie, talerze latały po kuchni. Ulubioną anegdotą rodziny jest ta, kiedy mama Agaty zapytała dziadka: „Tato,

czego się napijesz? Herbaty czy kawy?”, a babcia Hania odpowiedziała szybko: „Kawę już pił”. Czy dziadek Edek był szczęśliwy? Absolutnie. Kochali się z babcią szaleńczo i nie mogli bez siebie żyć. I nie, dziadek wcale nie stracił siebie, swojego zdania, decyzyjności, on codziennie wybierał miłość i święty spokój. Babcia dawała mu poczucie bezpieczeństwa, dbała o niego, potrzebowała go. Jak odpinała wrotki i wchodziła na wysokie c, patrzył na nią z miłością i mówił tylko: „Hanus...”, a babcia natychmiast się uspokajała. Odszedł przed nią, a ona nigdy się z tym nie pogodziła. Do końca życia przy każdej okazji mówiła: „Gdyby tylko Edek żył, to byłoby inaczej”, nieważne, czy chodziło o to, kto został prezydentem, czy o brak cielęciny w mięsnym na rogu.

Tym samym, Drogie moje, mam dla Was przesłanie. Od nas, znad tego wina i gazet, i od babci Hani. Każda doskonale wie, jaki jest ten najbliższy człowiek, bycie uważną na jego potrzeby nie mieści się w żadnym poradniku, a na brak miłości żaden poradnik nie pomoże. Więc po prostu bądźcie szczęśliwe i uszczęśliwiajcie tak, jak czujecie.

PS Mąż Goški przyjechał po nią z kwiatami, bo tak się ucieszył na te wakacje. I jeszcze rozwiózł nas do domów, bo co będziemy zamawiać taksówki.

MODA NA BRZYDOTĘ

Siedzę sobie na tarasie, patrząc, jak moją ukochaną Warmię pieszczą ostatnie promienie słońca, i słucham huczenia internetu. Wolałabym słuchać żab, żurawi czy tych wszystkich ptaków, które koncertują od rana, ale nie mogę, bo huczy jak nie wiem co. I to z każdej strony (strony WWW rzecz jasna). Otóż pewna młoda, śliczna tancerka niefortunnie napisała, że nie podoba jej się moda na brzydotę, która według niej zapanowała na portalach społecznościowych. I uderzając w ton mocno coachingowy, poinformowała, że swe wady należy oczywiście zaakceptować, jednak epatować pięknem i pewnością siebie, starając się być najlepszą wersją swojej osoby. Internet niestety nie zrozumiał motywacyjnego przesłania, poczuł się urażony, no i zahuczało! Wypowiedzieli się absolutnie wszyscy – i ładni, i brzydki. Co ładniejsi w ramach protestu umieścili co brzydsze zdjęcia (niektóre kuriozalne, bo kąś, pod jakim zostały zrobione, był naprawdę wydumany, zez nieszczery, a fałdy na brzuchu spowodowane ściągnięciem skóry chyba z całego ciała). Ci brzydki mieli oczywiście łatwiej, ale moim zdaniem tu wyszło za ładnie, jak na brzydki. Było dużo głupot i były też różne mądre wypowiedzi. Chyba najbardziej uderzył mnie komentarz dziewczyny, która zaczynała swoją przygodę z szołbiznesem jako dziecko, a obecnie walczy z depresją. Julka napisała, że wiele lat próbowała być najlepszą wersją siebie i to ją właśnie zniszczyło. Mocne, prawda? Na pewno skłania do refleksji. Patrząc na hasztag #moda-nabrzydotę, który jak burza rozprzestrzenił się w internecie, pewne

jest, że ta piękna tancerka dotknęła tematu dotyczącego absolutnie wszystkich.

A teraz po kolei. W pewnym sensie rozumiem, co miała na myśli. Przynajmniej tak mi się wydaje. Może nie ubrała tego w odpowiednie słowa, może przybrała nie ten ton. Pamiętacie, jak opisywałam, że kiedy umieściłam swoje zdjęcie bez makijażu na jednym z portali społecznościowych, posądzono mnie o odwagę i dystans do siebie, co potem bezskutecznie prostowałam? No bo bez przesady! Jeśli odwagą jest pokazanie prawdziwej twarzy, to ten świat zwariował. Nie, nie jestem brzydka, a przynajmniej taka się nie czuję. Nie jestem też młoda. Umieszczam zdjęcia. Różne. Raz z makijażem, raz bez. Czasem wyglądam grubo, czasem szczupło. Brzydziej albo ładniej. Staram się po prostu pokazywać prawdę. Mam jednak granice intymności. Zbliżenia cellulitu? Nie sądzę. Cellulit posiadam, nie przeszkadza mi jakoś strasznie, ale nie czuję potrzeby epatowania nim. Mam też sporo rozstępów na brzuchu, które nawet polubiłam – w gronie przyjaciół kąpię się w dwuczęściowym kostiumie – nie spędzają mi snu z powiek, ale nie muszę pokazywać ich wszem wobec. I naprawdę jestem osobą, która w pełni akceptuje (nareszcie!) swoją fizyczność. Może tu o to chodzi?

To nie ciało mnie definiuje. Staram się kolorować swój świat na tyle, na ile pozwalają kredki, jak radzi tancerka. Tylko nie zawsze jest łatwo. Bo z tej plastikowej (nie)rzeczywistości, doprawionej filtrami i fotoszopem, tworzymy świat, do którego trudno doskoczyć. Którego nie ma. Media społecznościowe rządzą naszą codziennością. Sterują emocjami. I nie chodzi tu ani o rozczarowanie, gdy umawiamy się na randkę z internetu, a osoba, która się pojawia, nijak nie przystaje do zdjęcia, jakie widzieliśmy. Tą randką staje się nasze życie. Pozbawiamy się prawdziwych wspomnień, wybierając to najlepsze ujęcie. Nie, wcale nie było tak świetnie na tych wakacjach, padał deszcz, a robiąc fotkę w krótkiej sukience, marzałaś jak cholera. O tym zapominasz, ale dowód w postaci uśmiechniętego obrazka zostaje. W ogóle wydaje Ci się, że byłaś wtedy taka ładna

i szczupła, a zapominasz, ile filtrów nałożyłaś. Świat nie jest taki jak na zdjęciach ani taki jak w mediach społecznościowych. Jesteśmy różni. Ładni, brzydki, zmęczeni i wyspani. W lepszych i gorszych momentach. Z trądzikiem, rozstępami, nadwagą, łysiną, depresją czy też nerwicą lękową. I naszym cholernym obowiązkiem jest to pokazywać. Jeśli będzie powód ku temu, że bym sfotografowała sobie brzuch i pokazała go światu, zrobię to. Tak jak kiedyś napisałam o nerwicy lękowej, którą miałam. I wiecie co? Parę dni temu odezwała się dziewczyna, z którą korespondowałam po tym wyznaniu. Była wtedy w najgorszym momencie nerwicy. Napisała, że nareszcie jest dobrze i cieszy się, że jej zdrowa część pozwoliła jej wtedy się ze mną skontaktować, bo naprawdę pomogłam. Więc jeżeli ta moda na brzydotę ma komuś pomóc, to jestem jak najbardziej za.

PAMIĘĆ MIĘŚNIOWA

Skoro czytacie tę moją nieksiążkę, to pewnie też po to, żeby czegoś się o mnie dowiedzieć. Pisałam Wam już o smutku, gotowaniu i lękach, oraz o tym, że wcale nie jestem taka jak w telewizji albo w tych wszystkich podnoszących na duchu tekstach. A przynajmniej nie zawsze. Ale nie wiecie jeszcze, że strasznie się wszystkim brudzę.

Po moim ubraniu możecie poznać, co jadłam i co robiłam od samiuśkiego rana. Gdzie byłam, ewentualnie z kim się spotkałam. Mnie to nie przeszkadza, właściwie już się przyzwyczaiłam, ale są tacy, co nie za bardzo.

Taka Bilut na przykład, która jest kierowniczką produkcji mojego programu i ma zły wzrok, chociaż to dusza człowiek (jakbym to powiedziała na głos, toby miała jeszcze gorszy wzrok), uwierzcie mi na słowo. Więc Bilut, kiedy jestem na zdjęciach i mamy przerwę na obiad, okrywa mnie wszystkim, co ma pod ręką, albo każe się rozbiierać. I tak siedzę w tej zimnej przyczepie w staniku i jej kurtce, a po brodzie spływa mi buraczkowa. Klasyka.

Poza tym mam też kilka dziwnych umiejętności. Umiem wciągnąć ogień. Oraz włożyć do ust całą pięść, a moje stopy wyginają się pod dziwnym kątem, bo mam za mało więzadeł. No i potrafię też bezbłędnie wyczuć całkiem niedojrzałego faceta, który kompletnie nie nadaje się do związku. Z kilometra. Albo po samym zdjęciu. Nawet nieostrym. Mam do tego nosa. Gdybym posiadała taką samą umiejętność w kwestii narkotyków, to mogłabym być psem tropią-

cym. Choć, zważywszy na to, że ja się w tych facetach natychmiast zakochuję, raczej skończyłabym jako zwykły narkoman.

Mój mózg prawdopodobnie działa tak: ten dziadek z brodą z Byłoby sobie życie, który, jak wiadomo, żyje w każdym organizmie i dowodzi grupą krwinek i erytrocytów oraz rozwiązuje wszelkie problemy, wysyła kogoś na zwiady. Wiecie, szybki kurs po zmysłach, analiza mózgu – znamy te procesy. Wyśłannik wraca i raportuje – narcyz, egoista, słaby kontakt z rzeczywistością, na sto procent nic z tego nie wyjdzie, a jeśli nawet, to będzie katastrofa. Zdecydowanie i na pewno będziemy cierpieć. I wtedy dziadek przeciąga powoli ręką po brodzie, podnosi brew i krzyczy: CAŁA NAPRZÓD! I jeszcze przesuwam ten przyrząd, co jest na statkach, bo jak się tak krzyczy, to trzeba przesunąć tę wajchę, to chyba jasne, nie?

Jak na Titanicu.

Tylko że to ja się nie mieszcę na tych cholernych drzwiach.

I nikt po mnie nie płacze.

Czyli prawie jak na Titanicu. Ale łapiecie sens, co nie?

Ja czasem nie. Ale to nie jedyna dziwna rzecz. Miałam na przykład mleczny ząb do 21. roku życia; stały rósł sobie spokojnie i poziomo w podniebieniu. Dlatego mam inną mimikę po prawej stronie twarzy – nauczyłam się go zasłaniać. I mimo że dokładnie przez drugie tyle mojego życia zęby są już wyprostowane i równe, to mięśnie uważają inaczej. Z innymi rzeczami też tak jest. W środku czuję się nieatrakcyjna, jak w czasach liceum, kompletnie nie dociera też do mnie, że posiadam pieniądze. Pamięć mięśniowa. Tak myślę.



ak się tylko wtrącałam, żebyście nie pomyśleli, że jak piszę takie teksty

Tz przesłaniem w tonie akceptacji świata i siebie, to też taka jestem.
W życiu! To oszustwo. Ale jak sobie człowiek poczyta, to mu się robi
lepiej.

Może te teksty powinny być w kategorii: Jak chcę widzieć siebie?

ZWIĄZKI

Późny wieczór. Księżyc odbija się bezwstydnie w tafli jeziora, pachnie maciejką, a puszczyki z pobliskiego lasu dają co chwilę znać, że są. Towarzystwa dotrzymują nam jeszcze komary i jeden nietoperz, który robiąc za całe stado, w kółko lata nad naszymi głowami. Siedzimy z przyjaciółmi na oświetlonym pomoście i pijąc prosecco, oddajemy się bez reszty grze w kalambury. Nagle zamaszty ruch ręki pokazującego, który właśnie usiłuje być samolotem, wytrąca Marice kieliszek. Prosecco wsiąka szybko w bawełnianą bluzkę, Marika przeklina, jest mokra i wkurzona, rusza w stronę domu, a my już wiemy, że wieczór właściwie się skończył. Dom jest na tyle daleko, że zanim ona tam dotrze i się przebierze, nie będzie już jej się chciało wracać. Michał, jej facet i najlepszy zgadujący, idzie za nią, a my się powoli zbieramy, bo gra przestała mieć sens. I wtedy oboje wyłaniają się uśmiechnięci z ciemnej plamy lasu. Marika w suchej bluzie Michała, on w ciasnej i mokrej bluzce Mariki. Nic się nie stało. Gramy dalej. A ja sobie wtedy myślę, że to jest po prostu miłość w najczystszej postaci.

Pewnie się zastanawiacie, jak długo są razem, bo pachnie romantyzmem z gatunku „wersja demo” na początek związku. Otóż nie. Marika z Michałem od kilku lat tworzą udany związek – oboje po długich relacjach, których nie nazwałabym przejściami. Różne powody rozstań, różne drogi.



Poprzedni związek Mariki rozpadł się po latach chyba głównie dlatego, że facet nie poradził sobie z jej sukcesami zawodowymi.

Zresztą czy zauważyliście, że większość kobiet umiejętność wspierania i cieszenia się z sukcesów swoich partnerów wynosi z domu, a faceci niekoniecznie? Traktują to jako zagrożenie, mając zupełnie niesłuszne przekonanie, że pewność siebie, jaką zyskają kobiety, zabierze im je na zawsze.

Michał szczęśliwie umie we wspieranie. Oboje umieją. Spotkali się jako dorośli, ukształtowani ludzie, wiedzący, czego chcą, i okazało się, że to po prostu gra. I żadne się specjalnie nie stara, nie musi spełniać oczekiwań drugiego. W ich związku jest spokój. Taki najprawdziwszy, który otula nawet tych, co stoją obok.

Patrzę na nich codziennie z podziwem i zadaję sobie jedno pytanie. Czy przypadkiem nie jest tak, że dopiero kiedy poznamy własne „lubię – nie lubię”, możemy zderzyć to z oczekiwaniami innych? Co wiedzieliście o sobie, mając naście czy dwadzieścia lat? Jaką drogę przeszliście, żeby stać się sobą?

U mnie chyba ten proces zaczął się w okolicach trzydziestki. Obłe dotąd kształty mojej osobności uformowały się w coś, co nie tylko zaakceptowałam, ale też polubiłam. Mankamenty ciała przestały mi nadmiernie przeszkadzać, a pomiędzy ugruntowanymi już przekonaniem co do tego, czego w życiu nie chcę, nieśmiało pojawiły się też cele. Bo umówmy się, dużo mocniej odczuwamy dyskomfort. Uświadomienie sobie, że czegoś nie lubimy i co NIGDY, z całą stanowczością i absolutnie NIE, przychodzi znacznie wcześniej niż umiejętność określenia się wobec tego, co NA PEWNO TAK. To jak z poznawaniem smaków, próbowaniem nowych potraw. Od jednej od razu nas odrzuca, a by docenić smak innej, potrzebujemy czasu.

I oto jesteśmy. Jacyś. Odrębni wśród tak samo odrębnych i całkiem już uformowanych osób. Szukamy się, odbijamy od siebie jak w jakimś eksperymencie chemicznym. Czasem pęd powoduje, że kropla wchłonie drugą, tworząc coś większego. Tylko że od zawsze karmi się nas opowieściami o romantycznych licealnych miłościach, które przetrwały do grobowej deski, o tym że w dorosłym ży-

ciu trudniej znaleźć przyjaciół i najważniejsze są relacje, no, najdalej ze studiów, że wspólnota, że wspólne wzrastanie i kształtowanie. To jak w końcu jest?

Znam kilka naprawdę fajnych par. Chciałabym napisać, że wiele, ale wtedy potwornie bym skłamała. W jednych ludzie wzrastali obok siebie przez długie lata, dzieląc się słońcem i deszczem, w innych, przesadzeni, splekli się od razu tak mocno, jakby tylko na siebie czekali. W obu przypadkach mianownik był ten sam – przestrzeń na odrębność. To tak jak z roślinami. Te, które rosły oddzielnie, mają swoje przyzwyczajenia. I albo przyjmą się od razu w nowym miejscu, albo uschną bez tego, czego potrzebują. Te, które były blisko siebie od ziarenka, jeśli umieją podzielić wszelkie składniki potrzebne do życia tak, że żadna nie cierpi, też stworzą piękny ogród. A gdy zdarzy się susza albo jedna zachoruje, druga będzie ją wspierała, zanim nadejdzie lepszy czas. Z nami jest tak samo. Żebyśmy byli prawdziwie szczęśliwi, musimy karmić siebie, stworzyć siebie, ale jeśli chcemy być w związku, najważniejsze jest to, by umieć się dzielić. Tylko kiedy znamy i określimy własne potrzeby, możemy to robić naprawdę. Żaden nawóz nie pomoże, jeśli jedna z roślin agresywnie pnie się do góry, a druga na to pozwala. I ta druga w końcu uschnie, nie mając dostępu do słońca, chyba że ktoś ją przesadzi, dając szansę na lepsze życie. To jej siła i chęć walki o siebie decydują o tym, czy przetrwa.

I tego Wam właśnie życzę – przestrzeni, odrębności i siły. Czasu dla siebie i pełnej akceptacji wokół. Bądźcie szczęśliwi w starych i nowych relacjach, dbając o siebie.

PRZYMUS SAMOWYSTARCZALNOŚCI

Od miesiąca Justyna nikła w oczach. Całkiem dosłownie. Ubrania w rozmiarze S wisiały na niej, udając z powodzeniem owersajzy i powiększając się z każdym dniem, zupełnie jak sińce pod jej niebieskimi oczami. Każda próba rozmowy kończyła się warczeniem, aż w końcu udało nam się wspólnymi siłami wyciągnąć ją na wino.

Wiecie, typowy zabieg. Babskie grono, pierwsze pół godziny gadamy o pierdołach, skrzętnie omijając jakikolwiek poważny temat, aż w końcu poziom alkoholu we krwi ofiary jest taki, że można precyzyjnie uderzyć, by odkryć tajemnicę rosnących ubrań i sińców.

– Robert kogoś ma – wydukała w końcu.

Zamilkłyśmy.

– No co tak patrzycie? Chciałyście wiedzieć, to proszę bardzo... Tylko bez współczucia proszę. – Justyna była w bojowym nastroju. – I tak, jestem pewna, sam mi powiedział. Że mu ciężko, nie wie, co ma zrobić. Kocha nas obie. Do końca miesiąca ma zdecydować, czy zostaje ze mną, czy... – Tu słowa zamieniły się w urywany szloch, a potem w łkanie.

Marta rzuciła się do Justyny, żeby ją przytulić, ale została odepchnięta.

– Żadnego współczucia, przecież mówiłam! – krzyknęła Justyna. – Nie po to wam powiedziałam. Nienawidzę współczucia – dodała przez łzy.

Jeżu, jak mi było jej żal! Nie tylko dlatego, że Robert, którego znałam od liceum, okazał się tak słabym gościem. Że przerzucił na żonę ciężar swojej zdrady i zrobił z siebie ofiarę, rozdartego miłością faceta, który na oczach Justyny podejmuje decyzję o rozstaniu. Najsmutniejsze było to, że Justyna postanowiła być w tym wszystkim sama.

Zdałam sobie sprawę, że wchodzimy w dorosłość, znając królestwo eukariotów, cykl rozwojowy sosny zwyczajnej, umiając założyć maskę przeciwgazową i ściemniać rodzicom. Nie umiemy za to rozliczać podatków, przyjmować pomocy, nie znamy się na podstawowych lekach i nie odróżniamy współczucia od litości.

A przecież, jak sama nazwa wskazuje, współczucie to współodczuwanie z drugą osobą. Empatia. Staram się postawić w twojej sytuacji, zrozumieć cię. Jestem z tobą najbardziej, jak potrafię. Nie wywyższam się, jak w przypadku litości. Jestem obok. Więc dlaczego tak trudno przychodzi nam bycie razem, kiedy tego najbardziej potrzebujemy?

Piszę to jako osoba, która bywa naprawdę trudnym wsparciem. Moi przyjaciele wiedzą, że jeśli potrzebują się tylko wygadać i z kimś pomilczeć w niemym porozumieniu, to albo muszą mnie pominąć, albo opowiedzieć o swoich oczekiwaniach na początku, zanim wyłuszczą problem. Dlaczego? Bo od razu szukam rozwiązań. Drażę, wyciągam, snuję plany zniszczenia wszystkiego, co skomplikowało ich sytuację. Podobno to domena mężczyzn. I moja, jak widać. Pracuję nad tym i uczę się współczucia. Tego, że nawet sytuacje beznadziejne są łatwiejsze, jeśli ktoś jest przy nas. To jak trudna droga – nie zawsze potrzebujemy przewodnika, czasem wystarczy po prostu towarzysz.



Nie wiem, kto i kiedy wpaja nam potrzebę samowystarczalności. Wstyd przed przyjmowaniem pomocy. Blokadę przed proszeniem

o nią. Tak jakby chwilowa słabość podważała całe nasze jestestwo. Boimy się zależności od osób, które są wsparciem. Długu wdzięczności. A może też tego, że ktoś wykorzysta to potem przeciwko nam. Nie chcemy, by ktoś widział nasze łąy i niemoc. Mamy być silni, mamy być najlepszą wersją siebie, wziąć się w garść. Tylko po co? Podajcie mi jeden sensowny powód. Ja taką postawę przyplaciłam nerwicą lękową.

I choć kocham swoją niezależność, to osiągnęłam ją dopiero, przyznając, że jestem zależna od wielu rzeczy. To przyniosło spokój. Poznałam jej granice. I swoje. Umieję przyjmować pomoc i o nią prosić. Czasem wykonuję nawet nocne łązawe telefony do przyjaciół, jak coś już we mnie pęknie. I nie mam potem problemu, żeby spojrzeć im w oczy. Przytulam się, jak tego potrzebuję, i potrafię przytulić innych. Bywam słaba. Jak płaczę, bo wali mi się życie, to przynajmniej w dobrym towarzystwie. I takich umiejętnościę Wam właśnie życzę :)

URODZINY

Skończyłam 40 lat. Przyznam szczerze, że zupełnie nie wiem, jak to się stało, bo przed chwilą jeszcze zbiegałam z piętra po dwa stopnie, przemierzałam Polskę w harcerskim mundurku i czekałam na trzepaku na niejakiego Arka, w którym byłam beznadziejnie zakochana, a który był synem mojej wychowawczynie w klasach 1–3. Zważywszy na to, że Arek był starszy, musi być już bliżej „50”, co jest jeszcze bardziej niewyobrażalne i przerażające.

Zdecydowanie jestem już dorosła. A nawet jestem „proszę pani”. Nie mogę tego dłużej ignorować, chowając się za logo Myszki Miki na bluzie. Już nie wypada! Mam dorosłego syna i małą córkę, a dziennikarze pytają mnie o różnice między wczesnym a późnym macierzyństwem. Mam też kredyt, firmę i samochód w leasingu. Trzy koty, psa, który spędza pół życia u weterynarza, a jego „naprawy” przekroczyły już wartość kucyka lub trzech alpaki. Jeśli chodzi o alpaki, to mam nieśmiałe marzenie, żeby rzucić wszystko i hodować je w moim domu na wsi. To znaczy koło domu, rzecz jasna, choć znając siebie, nie mogę przysiąc, że w zimne grudniowe wieczory nie spędzalibyśmy razem czasu na kanapie. Wiecie, jakie alpaki są miękkie? Poza synem, córką, wczesnym i późnym macierzyństwem, kredytem, firmą, leasingiem, kotami, psem i marzeniami o alpach mam jeszcze cudownych przyjaciół, 12 kilogramów nadwagi, przepukliny kręgosłupa, w tym jedną, która uciska na nerwy, widmo operacji tej przepukliny i brak czasu (chroniczny) nie tylko na operację, ale przede wszystkim dla siebie. No i 40 lat na karku i żadnego pomysłu, co z tym zrobić.

Reagować? Ignorować? Mogę się cieszyć, że w końcu wiem, czego chcę, umiem doceniać proste rzeczy, komunikować swoje potrzeby, odpuszczać. Wiem, kiedy powiedzieć „nie”, i nie zamykam już oczu, kiedy w głowie zapala mi się czerwona lampka. Świadomość tego, kim jestem, co mnie zbudowało i gdzie się zaczynam, a gdzie kończę, jest bezcenna. Jestem wdzięczna za wszystko, co mnie spotkało, bo każda, nawet najgorsza rzecz sprawiła, że dziś jestem taka, a nie inna. I lubię siebie. Choć stając dziś przed lustrem, myślę głównie o tym, jaka byłam dla siebie niesprawiedliwa i niedobra w czasach, kiedy kończyłam 30 lat. Postrzegałam siebie jako grubą, brzydką i nieatrakcyjną, co było absolutnie niedorzeczne. Znalazłam ostatnio sukienkę z tamtych czasów – mogłabym ją dziś włożyć na udo. Jedno. Jako pończochę. Mój przyjaciel Cezary kazał mi tę sukienkę powiesić w sypialni przed orbitrekiem, żebym miała cel. Tylko że moim głównym celem jest w tej chwili odciążenie bolącego kręgosłupa, a to już na pewno świadczy o starości. I to, że mnie relaksuje odkurzanie. I kocham płyny do płukania tkanin. Staram się chodzić spać przed 23.00. Wymieniam się ze znajomymi namianami na lekarzy. No właśnie...

Czy jest we mnie zgoda na starzenie się? W naszym społeczeństwie to nadal temat tabu. Nie będę już nigdy wyglądać lepiej, moje ciało ma termin ważności, nie chcę na siłę udawać kogoś, kim nie jestem. Nie mam też zamiaru spełniać niczyich oczekiwań związanych z moim wiekiem. Choć oczywiście nie marzy mi się łątko dzi-dzi piernik. Z drugiej strony, jeśli zrezygnuję z własnej drogi, z tego, co lubię – czasem zbyt głośnego śmiechu i egzaltowanych zachwyków – przestanę być sobą. A żeby się godnie starzeć (to takie modne określenie), należałoby jednak wejść w inne rejestry. Niestety nic z tego. Solennie Wam obiecuję, że będę się starzeć całkiem niegodnie, za to mam zamiar być cholernie szczęśliwa. I tego mi życzcie.

Wszystkiego najlepszego z okazji moich urodzin :)



SZUFLADA ŚMIERCI

Dwadzieścia osiem, tyle razy się przeprowadzałam. Nieźle, co? Część z Was pewnie wzdrygnie się na samą myśl o dźwięku rozwijania brązowej taśmy i zapachu pudeł, które potem zbyt długo zalegają złożone pod ścianą w korytarzu. I każdy je potrąca, wiadomo.

A samo pakowanie! Trzeba wyjąć wszystko z każdej szafki, posegregować, podjąć decyzje... Nawet z „szuflady śmierci”, do której od lat wsypujemy wszystko, z czym nie wiadomo co zrobić, mając cichą nadzieję, że to po prostu zniknie. Są tam drobniaki, papierki i stare paragony, gumki recepturki, śrubki, jakaś ważna część do czegoś, ale nie wiadomo do czego, choć lepiej nie wyrzucać, siedem baterii R5, z których dwie może są dobre, karty na kawę – piąta gratis – każda z jedną pieczętką, zapalki, pięć długopisów, spinacze, szyszka, pendrive, zaschnięty na kamień klej kropelka i awizo. Sztuk siedem. Molska, jak jej powiedziałam, że jestem w trakcie tego procesu, stwierdziła, że gdyby posiadała jakieś ważne informacje o bezpieczeństwie państwa, w takim CIA dajmy na to, to można by ją było tak torturować. I niestety wszystkie by wtedy zdradziła.

A ja to kocham!

Tak jak sprzątanie. I robienie bałaganu. I potem znowu sprzątanie.

Jedynym remedium na moje przeprowadzki jest taki solidny generalny remont. Co dwa lata. Taki, co też się przed nim trzeba pakować, a potem rozpakować. Inaczej biegnę dalej.

I tu się można oczywiście zatrzymać i zastanowić, za czym gonię. Albo od czego uciekam. Byłam tam oczywiście.

Przeprowadzka właściwie niewiele różni się od terapii. Chcemy czegoś nowego, inaczej, coś nas uwiera i nie pasuje. Podejmujemy decyzje w kierunku zmian. Czasem bardzo trudne. Oczywiście najprościej by było, żeby tak jak w moich programach ktoś zrobił to za nas. Nawet zdecydował o samym remoncie. Przyjechał, spakował, zaprojektował nową przestrzeń i dokonał tego wszystkiego w tydzień – wszystko nowiutkie łącznie z wazonami i plakatem na ścianie. Cud-miód. Posprzątane. Ale potem bohaterowie Totalnych remontów i tak muszą sami rozpakować swoje rzeczy. I to jest najtrudniejsze. I tak staną przed wyborem, co ładuje w szafce, co oddają, a co do kosza.

W terapii też musisz przyjrzeć się wszystkiemu, co masz w sobie, nawet we własnej „szufladzie śmierci”. To ty decydujesz, czego się pozbyć, co chcesz zmienić, a co akceptujesz albo lubisz.

Bierzesz do „nowego mieszkania” nie tylko rzeczy oczywiste – drogi fotel, na który zbierałeś pół roku, czy uśmiechnięte zdjęcia z rodziną. Koszulka z logo liceum, której już nigdy nie włożysz, bo rozmiar nie ten, może nie wisieć na wieszaku w szafie, ale spokojnie znaleźć się w pudle „Pamiętki”. Tak jak wytarty na karku miś bez nosa, z którym kiedyś zasypiałeś. Możesz znaleźć też miejsce na brzydkie krzesło, które miałaś pomalować, nawet jeśli się to nigdy nie wydarzy. Ale może po prostu lubisz żyć z myślą, że to zrobisz. Ty decydujesz. Tylko ty wiesz, co sprawia, że jesteś szczęśliwy. Choć warto co jakiś czas to weryfikować, bo może się okazać, że Twoje przekonania na ten temat się przeterminowały.

Ja ostatnio odkryłam, że potrzebuję mniej. Przeprowadzam się do mniejszego mieszkania, oddałam połowę rzeczy, czuję, jakbym mniej niosła. Zdecydowanie tego potrzebowałam. I porządku. Każdą szafę zaprojektowałam z myślą o tym, co mam. Prawie nie

zostawiłam sobie możliwości powiększania zasobów. To ograniczenie z jednej strony przeraża, z drugiej – dziko ekscytuje.

Ostatnio żyję też z myślą o przerobieniu swojego samochodu dostawczego na kamper. Z 6 metrami kwadratowymi przestrzeni życiowej. Tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Budzisz się codziennie tam, gdzie chcesz. Ciekawe, czy to by zaspokoilo mój głód zmian, gdyby zmiana była wpisana w codzienność. No i w kamperze nie nagromadzisz gratów, których się potem trzeba pozbyć. Bo nie ma miejsca. Dokonujesz segregacji, zanim kupisz. Żadnych „szuflad śmierci”.

Choć nie, nie oszukujmy się. Jakąś by się wykombinowało. To tak jak w terapii – nie pozbędziesz się wszystkiego, co cię denerwuje, pewne rzeczy trzeba po prostu zaakceptować. Poza tym, co to za dom bez miejsca, gdzie można znaleźć zarówno przejściówkę do kabla, jak i wyblakły paragon z pralni, i starą szminkę? Bez sensu :)

DEFICYTY

Kiedyś myślałam, że należy się ulepić z tego, co najlepsze. Że przyjdzie taki moment, gdy dostanę ładniejsze kredki, nową plastelinę, szczęśliwe dzieciństwo, supermoce. Zasłużę na to wszystko i na nowo się poskładałam albo przynajmniej pozalepiam tymi pięknymi rzeczami zielejące pustką rany. I tak wejdę w dorosłość. Nic tego.

Bo składałam się z deficytów. Głównie tych z przeszłości. Właściwie jestem bardziej lub mniej sprawnie poskręcana z elementów z lat 80. i 90., choć i jakaś bioniczna ręka, którą zdobyłam w krwawej walce sama ze sobą na terapii i w bitwie z myślami na śmierć, też się znajdzie.

Siniak, gdzieś w okolicach mostka, od kluczy noszonych na szyi; poczucie winy, bo zazdroścuję Izie, że to jej mama umarła, i teraz moja najlepsza przyjaciółka Ania, zgodnie z przykazaniem rodziców, przyjaźni się z nią, a nie ze mną; lęk, że w płóciennych tenisówkach z importu znowu wyjdzie mi duży palec, a w tym roku nowych już nie będzie. A w żyłach płyną wszystkie niezdrowe składniki z gumy turbo, co ją podobno przez nie wycofali. No i serce mam też posklejane gumą, tyle że arabską, dlatego pewnie ciągle zdarza mu się pękać.

Ciało pamięta jeszcze ten skomplikowany układ, jak od fikołka do przodu, z górnej części trzepaka, zejść do fikołka do tyłu na dolnej. Wystarczyło się odpowiednio zaczepić nogami i nie stracić przytomności, jak człowiek nie wymierzył. Po co pamięta, nie wiadomo.

W ogóle nie wiem, po co tyle pamiętam. Zapach wnętrza hydroforu w upalny dzień, kiedy Ala kazała mi oddać pierścionek przyjaźni, bo zabiłam mrówkę, a przecież wiadomo, że to był tylko pretekst, bo jak powiedziała, że jeśli ją zabiję, to koniec naszej przyjaźni, musiałam to zrobić, żeby się przekonać. Dotyk jego ręki, trajektorię spadającej gwiazdy, smak najdroższej coca-coli, wypitej na deptaku w Cannes w 1997 roku. I to, w którym odcinku Beverly Hills 90210 Shannen Doherty została zastąpiona przez Tiffany Amber Thiessen, a w „Bravo” napisali, że to dlatego, że Shannen była nieznośna. I jak Babcia Lidka się zdenerwowała, smażąc naleśniki, kiedy zapytałam, co to jest „chuj”.

– To taki nieporządek – odpowiedziała.

Nigdy jej nie zapytałam, co to właściwie miało znaczyć; nawet jak już wiedziałam.



Ale i tak moim największym deficytem nie była niezajomość znaczenia słów powszechnie uznanych za wulgarne, tylko to, że

chciałam być u kogoś na pierwszym miejscu. Miłość bezwarunkowa. Ojciec mnie nie wybrał, bo miał nową rodzinę, Matka wybierała przetrwanie. To znaczy, teraz wiem, że to było przetrwanie, ale będąc dzieckiem, po prostu czujesz, a nie wiesz. I nie zdajesz sobie sprawy, że twoja matka robi jakiś potworny życiowy piruet, żeby ogarnąć ci wakacje z ciotką i wujkiem, a sama pracuje na trzeci etat. W głowie zostają ci tylko te wakacje. Bez matki. Z tęsknotą za nią i złością, i tym, że nie zostałeś wybrany.

Byłam już naprawdę bardzo duża, kiedy uświadomiłam sobie, że żaden świat, partner ani nikt i nic nie może dać mi tej bezwarunkowej miłości. Ja za to mogę i od tamtego momentu żyje mi się zdecydowanie lepiej. Bo z wielu deficytów może wyjść coś fajnego. Zaczynamy coś robić, bo masz kompleksy, a potem się okazuje, że to coś kochasz najbardziej. Albo masz większą wrażliwość, empatię, potrzebę opieki. Umiesz działać w stresowych sytuacjach. Jeśli tylko wiesz, skąd to się bierze i jakie są granice, to naprawdę jest okej. Więc składałam się głównie z deficytów. Jestem jak rzeźba z recyklingu i to lubię. Raz bardziej, raz mniej oczywiście, ale trochę nie mam wyjścia. To ja.

A jak ostatnio wróciłam z randki i mówię, że było super, tak normalnie i nic bym nie zmieniła, choć, oczywiście, wolałabym być dwudziestopięcioletnią modelką, to Cezary spojrzał z miłością i powiedział, że nic nie ujmując moim zdolnościom aktorskim, łatwiej mi będzie udawać wadę wymowy niż dwudziestopięcioletnią modelkę. Więc po co?

CZUŁOŚĆ

„To jest taka wspaniała kobieta! Zawsze można na nią liczyć! W ogóle nie myśli o sobie, zadba o wszystkich, a siebie stawia na końcu. No serce na dłoni!”. Taka oto laurka. Komplement. Powód do dumy. Znacie to? Świetnie. To teraz należy to zdanie wyciąć, spalić i rozsypać w niebyt. I rozprawić się ze wszystkim, co w nim było.

Bo dlaczego dla innych umiemy poruszać góry? Załatwić, ogarnąć, dopilnować, a same gnuśniejemy w jakimś niedosycie. Dlaczego dużo łatwiej przychodzi nam współczucie komuś niż samemu sobie?

I w końcu dlaczego, mając w sobie tyle miłości, narzekamy, że nie mamy jej komu dać, zamiast po prostu dać ją sobie? Odpowiedź jest prosta. Bo nie umiemy. A za brakiem umiejętności czai się jeszcze potworne poczucie winy. Bo jak to tak?

Obserwowaliśmy nasze matki i babcie – one nie siadały z nami do stołu, tylko bawiły się w „Stoliczku, nakryj się”, bezszelestnie donosząc kolejne potrawy. Nie były głodne, bo najadały się, gotując. A gdy w końcu po długich namowach udawało się je usadzić, to po prostu w to nie umiały. Na szczęście kończył się sos i można było rzucić się do kuchni na ratunek. Sobie i suchemu mięsu.

Sypiały na rozkładanych fotelach, bo „tatuś musi się wyspać”, zdobywały deficytowe towary, stojąc pół dnia w długich kolejkach, by nawet niczego nie spróbować. Bo to dla dzieci. A jak jechaliśmy na wakacje w góry, z samym tatą, co było normalne, to strasznie

nam było żal tej mamy, która, biedna, zostaje w domu. Sama. I ominię ją tyle atrakcji. A to był jedyny czas w jej życiu, kiedy mogła po prostu odpocząć. Ale to zrozumieliśmy dopiero znacznie później.

Czułość to empatia i dotyk. To niebranie z półmiska najgorszego i najbrzydszego kawałka mięska, bo partner i dzieci. To siadanie na wygodniejszym fotelu. W czułości jest egoizm na spółkę z delikatnością. To czesanie włosów tak, żeby nie ciągnąć, i powolne ruchy dłoni, kiedy rozprowadzasz krem na ciele.

Ale czułość to też zadbanie o siebie. Czasem niewygodne. Łatwiej to zrozumieć, kiedy pomyślimy o sobie jak o własnym dziecku, które kochamy bezgranicznie, akceptujemy i dla którego chcemy jak najlepiej. I poza dobrymi radami jesteśmy w stanie zatrzymać świat, żeby się udało. I zmusić do czegoś, co wiemy, że jest dobre.

Droga do czułości to nie tylko akceptacja siebie, ale też pokazanie sobie, kto tu rządzi. Brzmi przewrotnie, prawda? Ale jeśli pół życia spędza się na tym, żeby mieć kontrolę nad światem i wszystkim, nad czym nie można mieć kontroli, to odnalezienie w tym wszystkim siebie jest naprawdę oczyszczające.

Siebie nie oszukasz. W środku zawsze wiesz, że coś jest nie tak. I kiedy nagle poczujesz swoją sprawczość, poczujesz też siłę. Ja to znalazłam w aktywności fizycznej, której szczerze nienawidziłam. Zresztą ćwiczenie mało różni się od terapii – czuje się coraz więcej mięśni, tak jak w terapii czuje się coraz więcej emocji w zbitej kuli naszego jestestwa.

Na początku boli. Wszystko. Potem okazuje się, że na to „wszystko” składają się jednak jakieś elementy. Czworoboczny, dwugłowy, pośladkowy. I że można pracować z nimi oddzielnie. Wzmacniać. Kontrolować. Coś wspaniałego! I najważniejsze – jeżeli jestem w stanie zmusić się do tego, to mogę naprawdę wszystko. Zadbłam o siebie, bo to jest dobre. I wtedy przychodzi czułość. Wszechogarniająca. A ona jest kluczem, bo nie ma miłości bez czułości, a jak umiesz pokochać siebie, to znaczy, że znasz

swoją wartość i wiesz, że zasługujesz na najlepsze. I tak można iść przez świat!

NIE TAK

„Taka fajna dziewczyna... ładna, inteligentna... naprawdę atrakcyjna... a nikogo nie ma... No coś z nią musi być nie tak!”. Ile razy usłyszeliście takie zdanie? Ja słyszałam wielokrotnie. Ostatnio też. Nie o sobie, bo po trzech rozwodach wiadomo, że ze mną jest aż tak nie tak, że nawet nie warto o tym wspominać. To jest po prostu oczywiste, jak wynika z komentarzy pod tekstami na mój temat, bo znajomi, na szczęście, nabrali wody w usta. Jestem trudna, zadziwiam nosa, a piskliwy głos i fałszywy uśmiech nie pomagają. Wymagam, marudzę, być może mam penisa. Mężowie odchodzą. Uciekają w popłochu, jak tylko o tym „nie tak” przekonają się na własnej skórze. Jeden uciekł dlatego, że nie chciałam dzieci. Akurat to zabolalo – po latach starań przeczytać coś takiego... Ale nieważne, trudno posądzać osoby publiczne o uczucia. Mam zły charakter, deficyty emocjonalne jako efekt równie złego dzieciństwa i żywię się odwłokami kolejnych partnerów. Kto by ze mną wytrzymał?

Ta fajna, atrakcyjna dziewczyna z opowieści też pewnie coś ma. Niewidocznego na pierwszy rzut oka. Łuski pod ubraniem, złe przyzwyczajenia i nienawiść do mężczyzn. Może też mieszkanie pełne porcelanowych lalek, gdzie nie da się nawet usiąść, bo na kanapie rządzą Amelia, Rita i Izydora, martwo wpatrujące się w komodę ozdobioną metodą decoupage’u? Postawiła, biedna, na karierę i jest już za późno? Ma nawyki starej panny? A może to zwykła lesbą?! Jaki to potworny cios dla świata prawdziwych związków! Jakiś mężczyzna będzie musiał sam sobie gotować i pracować, bo z nią to

naprawdę jest coś nie tak. Powinna zacząć się z kimś widywać. Najlepiej z terapeutą. Ha, ha, ha.

A teraz przeczytajcie jeszcze raz to pierwsze zdanie i odpowiedzcie szczerze, czy nie uważacie, że coś w nim jest? I... trochę się z nim zgadzacie, co? Auć. Atawizm, wygoda, wzorce społeczne, tradycja czy... No właśnie. To działa w dwie strony niezależnie od płci. Taki przystojny, miły facet. Zabawny. Na stanowisku. I sam. Co z nim jest nie tak? Zresztą czasem stawiamy też taką atrakcyjną i samotną osobę na piedestał. „Jest tak silna, że inni się jej boją, zbyt inteligentna, ma wysokie wymagania – i dobrze”. Tłumaczymy, dodajemy sił – „samodzielny”, „singiel”, „w związku też można być samotnym”.

No dobrze, Drodzy Państwo, a co powiecie na to, żebyśmy się po prostu radośnie odpiardolili od innych? Nie przykładali naszych miarek i oczekiwań do tego, jak ktoś żyje? Nie komentowali i nie odpowiadali na niezadane pytania? Przepraszam za natężenie emocjonalne tej prośby, podbite słowem z rynsztoka, ale jak jeszcze raz usłyszę, co z kim i dlaczego jest nie tak, to przejdę do rękoczynów. Czy bycie „tak” jest gdzieś w Sèvres obok wzorca metra? No błagam!

Jest taki terapeutyczny żart. Facet w stresowej sytuacji zawsze się moczył. Szef wysłał go na terapię. Facet wraca po kilku tygodniach.

– I jak, pomogło? – pyta szef.

Facet kiwa głową.

– Nie moczy się pan już?

– Nie, nadal się moczę, ale jestem z tego dumny.



Można być w związku albo w nim nie być. I to jest okej. Więcej, nic nie jest z nikim nie tak ani jeśli lubi być sam, ani kiedy czuje się

samotny i marzy o wielkiej miłości. Tak samo jak wtedy, gdy rezygnuje z kariery zawodowej, by wychowywać dzieci, lub z posiadania dzieci, bo wybiera karierę, podróżę albo cokolwiek innego. Życie jest kwestią wyborów, ważne tylko, żeby być w nich uczciwym w stosunku do samego siebie. Nawet jeśli robimy coś dla kogoś, poświęcamy się, jest nam z czymś niewygodnie, ważne by to zauważyć i poczuć ze wszystkimi konsekwencjami. Żalem, smutkiem, strachem. Wtedy mamy szansę coś zmienić albo pozostać z tym, co mamy. Ale to już jest nasz świadomy wybór.

BEZ FILTRA

„Szelałowska pokazała się bez makijażu!” – nagłówek na portalu plotkarskim krzyczał tak, że niemal zakrztusiłam się poranną kawą. A musicie wiedzieć, że rano niełatwo mnie wyprowadzić z równowagi, bo moje myśli są tak ospałe, że raczej niewiele do mnie dociera. Tym razem jednak wpadłam w panikę. No bo jeśli coś na mnie krzyczy, to ma powód. Komu ja się, do cholery, tak beztrąsko pokazuję? No sobie to codziennie. Swoim dzieciom, potem wszystkim sąsiadom, którzy mijają mnie na spacerze z psem i w drodze do pracy. Następni są moi pracownicy i nierzadko klienci biura. Panie w sklepie, fryzjer, dostawca pizzy, znajomi, przyjaciele... Ale jeszcze nikt nigdy nie zrobił z tego nagłówka. Chwilę później zagłębiłam się w tekst, który wychwalał mnie pod niebiosa, bo oto na instagrawym zdjęciu nie przykryłam twarzy toną tapety. Wśród komentarzy przeważały te gratulujące odwagi, a pomiędzy nimi szeroko omawiano moje zmarszczki, nos, umiejętności, a także to, kto i kiedy załatwił mi pracę.

Zamarłam. Ktoś naprawdę poświęcił czas, by poinformować świat, że umieściłam gdzieś zdjęcie bez makijażu, i w dodatku wziął za to pieniądze... Oczywiście, gdyby przejrzał mój Instagram, znalazłby takich zdjęć co niemiara, ale wtedy nie byłoby krzyżącego nagłówka. Ani newsa.

Mój mózg obudził się już na tyle, że postanowiłam zgłębić temat. Zaczęłam od przejrzenia kont moich znajomych. Nie bankowych, rzecz jasna, ale tych na portalach społecznościowych. Rzadko mam

na to czas, więc ze zdziwieniem odkryłam, że mało kogo rozpoznaję. Anka, którą widziałam nie dalej jak tydzień temu, i trochę jej się przytyło, w internecie prezentuje się zupełnie inaczej. Szczupło znaczy. I straciła rysy twarzy. Ale pokazywała mi nowy telefon, który od razu robi zdjęcia z filtrem, żeby zawsze być młodym i wyspanym. Na ekranie takiego samego telefonu znajoma kosmetyczka usiłowała mi pokazać niesamowite rezultaty zabiegu odchudzającego, jaki oferuje. Wiecie, o co chodzi – mniejsze fałdy, gładza skóra, prawie niewidoczne rozstępy. Problem był tylko taki, że telefon na tyle wygładził zdjęcia „przed”, że na tych „po” nie było widać różnicy. W takim razie może zamiast odchudzania, zabiegów i treningów wystarczy dobry filtr? Dobry kadr czy odpowiednie ujęcie też mogą odmienić życie. Taki Tomek z Jolką na przykład kłóć się przez 12 godzin dziennie – serio. Byłam z nimi na wakacjach. Ona w co drugim zdaniu straszy go rozwodem, on nie pozostaje jej dłużny i nawiązuje bliższe znajomości z kolejnymi sekretarkami w firmie, w której pracuje. Nie znoszą się. W życiu oczywiście. W internecie są najbardziej zgodną parą. Wiem, bo Jolka wrzuciła na Facebooka zdjęcia, jak uśmiechnięci, w białych strojach, trzymając się za ręce, pozują pośród polnych kwiatów na wzgórzu obok domu. „Poślubiłam najlepszego przyjaciela” – brzmiał podpis. Miałam ochotę zapytać czyjego.

Może właśnie dlatego ta normalność w sieci zasługuje na nagłówki? Stworzyliśmy sobie nierealny świat. Coś jak staromodny album na zdjęcia, który leży w salonie i pokazujemy go gościom przy specjalnych okazjach. Jest nasze zdjęcie z wakacji – uśmiechnięci, opaleni, przy palmie. Piękni. Co prawda mąż rano zatruł się jedzeniem i wyszedł z pokoju tylko zapozować, a „chwilówka”, która pokryła nasz podróżniczy kaprys, okazała się złodziejska, ale to nie ma znaczenia. W oczach widza jest zachwyt. Następna strona – stoisz wyprostowana na tle okna. Sukienka wygląda zabójczo, ważysz ze 20 kilogramów mniej niż dziś. A naprawdę? Pasek niemiłosiernie wpijał się w ciało, majtki wyszczuplające masakrowały uda, a ta

poza, nonszalancki luz, sprawiła, że o mało nie wypadł ci dysk. Ale tego już nie pamiętasz, więc potem porównujesz się do tej nieprawdy i jesteś wiecznie niezadowolona. Nie żyjesz jak ci z Instagrama, nie wracasz do formy po dwóch tygodniach od porodu, a Twoje posiłki nie przypominają tych, jakie jedzą „piękni i bogaci”. Pamiętam, jak kiedyś na Warmii ugotowałam pyszną kolację. Nakryłam do stołu, słońce zachodziło, dania wyglądały pięknie. Postanowiłam to sfotografować. Ustawiałam i przestawiałam, przeganiałam zdezorientowanych przyjaciół z kąta w kąt, żeby nie weszli w kadr. Podmieniałam i dodawałam. Zepsułam tę kolację. Kiedy usiedliśmy, wszystko było zimne, a słońce zaszło. Nie było warto dla tych kilku pięknych zdjęć.

Nie, media społecznościowe nie są złe. Filtry pięknie podkreślą kontrast, ładnie wykadrowane zdjęcia cieszą oczy. Tylko przeplećmy to czasem jakąś prawdą. Nie musi być naga. Nikt nie lubi epatować mankamentami. Ale przecież zawsze jest coś pośrodku. Pamiętajmy, że to właśnie do tych kadrów będziemy się porównywać za kilka lat. Więc chyba lepiej odnosić się do rzeczywistości...



KOBIETA KOBIECIE KOBIECIE

Niedawno na jednym z osiedli pojawiło się ogłoszenie, a właściwie odezwa do mieszkanki lokalu numer 12. Otóż niżej podpisane sąsiadki proszą, by ta pani przestała nosić kuse sukienki i zbyt głębokie dekolty, bo mężowie sygnatariuszek posyłają jej tęskne spojrzenia. Jak się możecie domyślić, ogłoszenie (ostrzeżenie?) brzmiało bardziej dosadnie. Na początku nieźle mnie to rozbawiło. Taka zbiorowa odezwa, niby anonimowa, a jednak myślę, że adresatka doskonale wie, z kim ma do czynienia. A potem uświadomiłam sobie, że to przecież kwintesencja tego, jak my, kobiety, traktujemy siebie nawzajem. I zrobiło się smutniej.

Okropnie. Najgorzej. Bez szacunku. Krytykujemy, wiemy lepiej. Nie wspieramy, tylko podstawiamy nogi. Szufladkujemy. Rywalizujemy, zazdrościmy, złorzeczymy. To my jesteśmy obrończyniami dobrego smaku i zasad oraz ram, w jakich kobiecie wypada się pokazywać.

Nie wierzycie?

Wystarczy spojrzeć na komentarze w mediach społecznościowych. Dowiedcie się z nich, co kobiecie wypada, a czego nie, w jakim wieku i stanie cywilnym. Co powiedzą dzieci, kiedy zobaczą zdjęcia. Jak należy trzymać niemowlę i że matka, która urodziła przez cesarskie cięcie, to nie matka, a ta, co nie karmi piersią, to już w ogóle patologia po całości. Pamiętam, jak moja znajoma – która zawsze marzyła o wielkiej rodzinie i marzenie to we współpracy z niezwykle udanym mężem zrealizowała – została odsądzona od czci

i wiary, bo zamiast się rozwijać i robić karierę, utknęła na zawsze w pieluchach. I jeszcze kłamała, że jej dobrze. A ona miała wybór i go dokonała.

Ostatnio umieściłam na Facebooku filmik – krótki zwiastun zapowiadający nowy projekt – nagrany na szybko telefonem między ujęciami do sesji. Jest seksownie. Serio. Nie mam kasku i T-shirta, tylko siedzę sobie szczęśliwa w za dużej koszuli na wyspie kuchennej. Broń Boże nie świecę tym, czym nie powinnam! Piję kawę i oblizuję rękę upapraną czekoladą z croissanta. Zasłaniam obiektyw. Flirtuję z nim, z okna sączy się ciepłe światło poranka. Całe 6 sekund. Z jakim zaskoczeniem odkryłam między przeróżnymi komentarzami zażartą dyskusję, składającą się głównie z obraźliwych tekstów. Nie będę ich tu przytaczać, bo wstyd, wiedzcie jednak, że „słodka idiotka” to najbardziej delikatny. Napisała go kobieta. Chodziło o to, że wcale się nie szanuję, powinnam zmienić branżę i to głupota, i skandal. Nie wiem, jak na podstawie sześciosekundowego filmiku można rozpoznać w człowieku idiotę, co się nie szanuje, ale jak widać można. A skoro z tym dyskutuję, to nie umiem przyjąć krytyki, a jestem osobą publiczną, więc muszę. Próbowałam wytłumaczyć pani różnicę między krytyką a obrażaniem na przykładzie komentarzy pana, który w bardzo kulturalny sposób takową wyraził, ale nie dało rady. Ręce mi opadły.

Dziewczyny, dlaczego takie dla siebie jesteśmy? Dlaczego jeśli nasz facet obejrzy się za ładną kobietą, musimy od razu wypatrzyć u niej cellulit i głupotę, o czym go natychmiast informujemy? Po co krytykujemy się i wpychamy w jakieś nie przez nas ustalone ramy? Dlaczego nie możemy sobie pozwolić na to, byśmy były takie, jak chcemy? Lubię się w wersji roboczej, matczynej i seksownej. Z makijażem i bez. I chcę się taką lubić. Tyle czasu zmarnowałam na pielęgnowanie swoich kompleksów i zazdrosczenie innym wyglądu czy pewności siebie. I nareszcie nie muszę.

Walczymy o równość, parytety, o to, by być wolne i mieć wolny wybór, jednocześnie na to wszystko sobie nie pozwalamy. To my wyznaczamy długość spódnicy, jaką wypada nosić. To my powtarzamy, że strój prowokuje i sama się prosiła. To my mieszmamy z błotem kobietę, która odbiła męża koleżance, jemu samemu odbierając sprawczość. Wiemy, jak mamy żyć, rodzić, wychowywać. Tworzymy sabaty, które krytykują i karzą te, co się nie przystosują.

Stop! Czy naprawdę tego chcecie? Ja nie chcę ze względu na swoją córkę. Chcę, żeby czuła się pewnie w każdej roli i z każdą podjętą decyzją. Żeby miała wolny wybór. I o to z całych sił będę walczyć.

Patrzę dookoła i mam wrażenie, że wiele kobiet z ofiar stało się oprawcami. To już nie męski świat wpycha nas w z góry ustalone ramy, robimy to świetnie same. I tylko my możemy to przerwać. Życzliwością – najzwyczajszą na świecie. Ugryźmy się w język. Przyjmijmy, że może nie wiemy lepiej. Mądrze wychowujmy dzieci, pamiętając o szacunku, prawie do wolności wyborów i znaczeniu partnerstwa. Myślę, że to jest łatwiejsze, niż nam się wydaje. Ścisłkam Was najmocniej z nadzieją – jesteście wspaniałe, wielozadaniowe, silne, zobaczymy i doceniemy to w sobie nawzajem.

JAK POWIETRZE

No dobra, nie ma co udawać, wakacje skończyły się tak bardzo, że bardziej już się skończyć nie można. Oczywiście, gdybym była złośliwa, przytoczyłabym przykład prezentera telewizyjnego, który był przestępcą i aktorem, a skończył się chyba bardziej, ale po co? Zostańmy przy końcu wakacji.

W takim wrzeźniu to jeszcze można sobie poudawać, że są. Weekend w Kazimierzu na przykład – chmury tak fajnie suną, a resztki babiego lata przyklejają się do twarzy. Wieczory nawet nie takie zimne. Trochę jak w lipcu – he, he. Ale potem wkracza październik i człowiek już jest całkiem bezbronny wobec jesieni. Właśnie wtedy przychodzi czas na przeglądanie letnich pamiątek. Ja sobie w tym roku przywiozłam z Hiszpanii dużo szczęścia i pewności siebie. Ale od początku.

Wiecie, co jest najfajniejsze w Hiszpanii? Bo ja nie wiedziałam. Myślałam, że jedzenie, słońce, kafle we wszystkich wzorach i kolorach oraz rolety zewnętrzne. A tu nie! Bo w Hiszpanii najfajniejsze jest to, że nikt nie zwraca uwagi. Nie komuś, ale na kogoś. Na przykład na mnie, co było super. I w ogóle na nikogo. Robisz, co chcesz, wyglądasz, jak chcesz, trzymasz za rękę, kogo chcesz.

Już tłumaczę, żeby nie było, że Szelałowska narzeka na popularność i ucieka za granicę. Swoją drogą tak właśnie powstają tytuły w plotkarskich portalach internetowych. Ale my tu nie o tym.

Otóż jakoś w sierpniu siedziałam sobie na hiszpańskiej plaży i jak zwykle obserwowałam ludzi. Bo lubię. Ludzie, jak to z tym gatunkiem bywa, są różni. Grubi, chudzi, ładni, brzydzy, a nawet całkiem

przeciętni. W każdym wieku i wielu narodowości. W mniej lub bardziej zabudowanych strojach, a zdarzało się, że i topless. Spoceni. Najczęściej uśmiechnięci lub z błogością wypisaną na twarzy. No, chyba że byli z dziećmi. Widziałam ich dobrze, bo zapomnieli z domu parawanów. Wszyscy. Zresztą głośników do słuchania polskiego rapu na full też zapomnieli. Dziwni, co nie? Okoliczności przyrodniczo-atmosferyczne możecie sobie wyobrazić. Ukrop. Żar leje się z nieba. Wszystko dookoła pachnie – ocean, olejek do opalania z mdłą nutą kokosa i nieprzyzwoicie rozgrzany piasek. Czując na plecach siedemnastą z rzędu strużkę potu, spływającą wzdłuż kręgosłupa, postanawiam się ochłodzić. Wstaję i zmierzam w stronę fal. Robię trzy kroki i stoję. Czegoś zapomniałam. Jako że słońce wykorzystuje ten fakt i z potrójną mocą smaga mi ramiona za pomocą promieni UV, ruszam dalej. Niepokój pozostaje. Towarzyszy mi podczas kąpieli i potem, gdy sól bezlitośnie napina mi skórę na całym ciele. No właśnie – ciało. Obserwuję swoje uda pokryte rozstępami. Lśnią niczym aksamit. Lubię je. Choć skóra mogłaby tak bezwstydnie nie zwisać. I wtedy do mnie dociera – zapomniałam się wstydzić. Zwinąć. Zgarbić. Owinąć pareo. Wykąpać w spodenkach. Pierwszy raz poczułam się totalnie niewidzialna. Nie dla ludzi, tylko dla ich oceniających spojrzeń. Okazało się, że poza parawanami i głośnikami wszyscy zapomnieli też o krytykowaniu innych.



Nikt się tu niczym nie zasłania. Nie wciąga brzucha. Nie zwraca uwagi ani na otyłość, ani na sterczące piersi młodych dziewczyn.

Ciało przy ciele, przecież nie da się uciec wzrokiem, a jednak wszyscy są jak powietrze. Zabawne, że to się po prostu czuje. Ja poczułam. Zanim dotarło do mnie co i dlaczego. Wolność.

Gdy kilka dni później rozmawiałam o tym ze znajomą, która mieszka od kilku lat w Barcelonie, usłyszałam, że miała tak samo. Przeżyła taki szok, spowodowany nadmiarem normalności i naturalności, że zastanawiała się, czy nie wracać do Polski.

– Wiesz, co było najtrudniejsze? – zapytała. – Wyłączyć swojego wewnętrznego krytyka. Nie oceniać siebie i innych. To dopiero była masakra. My to mamy jakoś wpojone.

Owszem, mamy. W gruncie rzeczy oprócz gościnności i niezwykłej umiejętności jednoczenia się w kryzysowych sytuacjach to nasza główna cecha narodowa.

Polecam ćwiczenie – mnie pomogło. Za każdym razem, kiedy w głowie pojawia się jakaś krytyczna uwaga w stosunku do kogoś, szczególnie jeśli ten ktoś nie pytał, lub do siebie, nawet jeśli pytaliśmy, obrócić ją w coś miłego. Albo przynajmniej wyciszyć. Powtarzać do skutku. A na następne wakacje jechać do Hiszpanii. Bez parawanu, głośnika i oceniania. Serdecznie polecam.

ODPUSZCZANIE

No i trafiło mnie! Nie na mnie, niestety, i nie wygrana w lotto ani nawet zwykła statystyka, że oto jedna osoba na dziesięć lubi, jak jest zimno i wieje. To niestety nie ja. Za to mnie trafiła precyzyjnie, w sam dół kręgosłupa, rwa kulszowa, więc padłam i tak sobie od kilku dni leżę.

Początki były trudne, nie mogę zaprzeczyć. Po nierównej walce, w której towarzyszyła mi rehabilitantka, maści przeciwbólowe i przeciwzapalne i wielkie nadzieje, musiałam odwołać zdjęcia. Co ja mówię zdjęcia? Życie musiałam odwołać. Bo trzeba Wam wiedzieć, że raczej jestem z tych, co nie odwołują. Stawiają się w pracy ze skręconymi nogami, złamanymi palcami i zapaleniem płuc. Ale tym razem, gdy o 6 rano, trzymając się ścian, podążałam żółtym tempem korytarzem z sypialni do kuchni, ciągnąc za sobą prawą nogę, dotarło do mnie, że się po prostu nie uda. Czyli świat się skończy.

Zdjęcia się nie odbędą. Remont u bohaterów przesunie się po prostu o tydzień, ale co z moją ekipą? Wystawiam ich. Jak sobie poradzą z niechcianym wolnym, co to im je właśnie podarowałam? No i co z zamówieniami i transportami? Czy Darek już zaczął robić meble? Pewnie zawalają mu całą stolarnię i biedaczek nie da rady pomieścić innych swoich zleceń... Moje biuro też na pewno stanie, bo jak to beze mnie? A dom? Co z domem? Najpewniej pokryje się kurzem, niezmyte naczynia sięgną sufitu już po trzech dniach.

Dzieci będą głodować. Pies i koty zjedzą się nawzajem. Grawitacja osłabnie. Zdecydowanie nadchodzi koniec.

Z tych katastroficznych myśli napędzanych poczuciem winy wyrwał mnie mejl od kierowniczki produkcji, informujący o zrzuceniu zdjęć. Z życzeniami powrotu do zdrowia. I potem wszyscy odpisywali, że też mi dobrze życzą i właściwie to świetnie się składa, bo Łukasz dźwiękowiec miał szkolenie na strzelnicy, co to je odwołał, bo zdjęcia, a teraz to może, Jacek w końcu odbierze motor od mechanika, a Tomek weźmie swoją rodzinę na dwa dni w góry. Hmm. Potem napisała Marika z biura, czy czegoś nie potrzebuję, i żebym się w ogóle nie martwiła, bo transporty zamówionych na odcinek rzeczy pojedą po prostu do stolarni – Darek już zrobił miejsce i nie ma sprawy, bezpiecznie tam poczekają. Hmm po raz drugi. Następnie przyszła niania mojej córki i kazała mi się położyć, bo co tak będę stała, a ona bez problemu zostanie dłużej. Wstał też syn i wkładając naczynia do zmywarki (ha, od dawna podejrzewałam, że to potrafi!), oświadczył, że robi zakupy i jakby co, wróci wcześniej.



Oniemiałam. Z jednej strony, wizja odpoczynku, jakiegokolwiek, nawet z bolącymi lędźziami, brzmiała absolutnie cudownie. Z dru-

giej jednak, poczułam smuteczek. Jak to? Świat się kręci beze mnie? Odwróciłam się więc niezdarnie i zawlokłam prawą nogę i resztę do sypialni. Kiedy się położyłam do łóżka i znalazłam wygodną pozycję, zmorzył mnie sen, a wraz z nim odpłynął smutek. I wiecie co? Nic lepszego niż ta rwa nie mogło mnie trafić. Owszem, boli, ale nareszcie nadrobiłam wszystkie seriale, które od roku czekały na możliwą do zarwania noc. Przeszłam setki poziomów w telefonicznej grze w owocki, w którą do tej pory pykałam tylko, siedząc na klatkach schodowych i czekając na ujęcie. Wyspałam się za wszystkie czasy. I tylko raz Maria z biura przyszła do mnie ze stertą papierów do podpisania. Okazało się, że moja absencja nie zagraża porządkowi tego świata, w domu lśni, córka zadowolona, syn świetnie gotuje, biuro prosperuje bez zarzutu, a ekipa jest wdzięczna, bo takie nieoczekiwane wolne to czysta przyjemność.

Postanowiłam więc mieć rwę przynajmniej raz na trzy miesiące. No dobra, żartuję. Ale postanowiłam dać sobie prawo do odpoczynku. Takiego prawdziwego. Bo chyba klucz tkwi w tym, żeby samemu sobie odpuścić, ponieważ świat sobie doskonale poradzi. A to pocieszające.

KŁAMSTEWKA

Dziś, Szanowni Państwo, będzie o kłamstewkach. Małych. Pozornie nieszkodliwych. Takich, za które nie idzie się prosto do piekła i trudno się obrazić. Nie można nawet jednoznacznie uznać, że są złe, bo mają najczęściej aksamitną podszewkę z dobrych intencji. Kłamstewka w przeciwieństwie do kłamstwa nie mają krótkich nóg. To zabobon. Ich nogi potrafią być zgrabne i długie jak u supermodelki, co jest zdecydowanie gorsze, niż gdyby miały nikczemnie krótkie ikсы. Serio. Ale od początku.

Polecam od razu wyjąć kajety i zanotować pierwsze pytanie. Gdzie najczęściej kłamiemy? Jako że odpowiedź może Wam zająć trochę czasu, ja zacznę, bo sobie to wcześniej przemyślałam. Otóż najczęściej kłamię u fryzjera. Zaczynam zwykle na myjce.

– Dobra woda? – pyta urocza młoda dziewczyna, fundując mi krioterapię lodowatym strumieniem, który zamraża mózg i połowę karku.

– Super! – odpowiadam z uśmiechem, zaciskając usta, żeby nie było słychać szczękania zębami.

Potem jest jeszcze gorzej. Chwalę kolor, który mi się nie podoba, oświadczam, że nie ma żadnego problemu, że włosy są 10 centymetrów krótsze, niż miały być, a ślady farby na mojej bluzie w ogóle, ale to w ogóle mi nie przeszkadzają.

Kłamię też w salonach masażu. Chociażby ostatnio, kiedy przeurocza masażystka z Bali usiłowała zdjąć mi skórę gorącym olejem. Spędziłam godzinę w napięciu i lęku przed polewaniem kolejnych

części ciała rozgrzanym tłuszczem. Pomiędzy był masaż. Oparzenia bolą. Jakby co, nie polecam.

No i oczywiście restauracja – nie szkodzi, że czekamy, zimna zupa jest tak samo dobra jak gorąca, było pyszne, tylko za dużo zamówiłam, na pewno tu wrócimy. Znacie to?

No to teraz zajrzyjmy do Waszych kajetów. Założę się, że większość zanotowała „W domu”. I to jest bardzo niedobra wiadomość.

Znany jest mi przypadek pary, która na terapii mającej uratować ich dwudziestoletnie małżeństwo odkryła ze zdziwieniem, że w rzeczywistości chodzi o pierogi. To znaczy, mąż na naprawdę dobrej sesji w końcu wybuchł i wśród zarzutów, że żona go nie słucha i nie bierze pod uwagę, wykrzyczał, że na przykład co niedzielę na obiad są pierogi z mięsem, których on nienawidzi. Żona najpierw zbladła, po czym nie pozostała mu dłużna; weszła na wysokie c, informując, że on jest jakiś nienormalny, ten mąż, bo ona nienawidzi ich robić, a musi i robi tylko dla niego. Że jej się wcale nie uśmiecha spędzać w kuchni trzech godzin i naprawdę wolałaby zrobić makaron albo iść do knajpy. Ale to on przecież na samym początku związku, jak jeszcze odwiedzał ją u matki, gdzie zawsze w niedzielę były pierogi, powiedział, że to najlepsze, co w życiu jadł, i chciałby, żeby tak wyglądały niedzielne obiady do końca jego życia. I ona sobie wtedy przyrzekła, że mu to zapewni.

Nie rozstali się, jeśli jesteście ciekawi. I nie ma już pierogów w niedzielę. No, może czasem, bo dzieci się przyzwyczyły. Okazało się jednak, że casus pierogów dotyczył nie tylko kuchni, ale też łóżka, planowania wakacji oraz wolnego czasu. Kłamstewka miały dorodne, mocne i długie nogi. Ich wyplenienie zajęło tej parze ponad rok.

No dobrze. Wróćmy do naszych kajetów. Dlaczego używamy kłamstewek? Znowu zacznę. Dla świętego spokoju. I żeby nikogo nie zranić. Bo nauczono nas, żeby stawiać się na końcu. Być grzecznym i nie sprawiać kłopotów. Nasze potrzeby nie są ważne, ale

mamy być uważni na innych. Dzięki tym przekonaniom umiemy sobie koncertowo zepsuć życie i wszelkie przyjemności. Nie dajemy światu żadnej szansy, żeby było nam miło. Więcej, nie dajemy też szansy innym, żeby mogli coś zmienić. Jako zadanie domowe polecam uważność. Na siebie. Zanim machinalnie sięgniecie po kłamstewko, żeby nikogo nie zranić, bo to w większości napisaliście w odpowiedzi na „Dlaczego”, zastanówcie się, czy nie ranicie siebie. Tylko tyle.



GRUDZIEŃ

Najszybszym miesiącem w roku jest grudzień. Znika, zanim się zacznie. Czas wyznaczony świętami i planowaniem, jakby potem już niczego miało nie być, a jedynym obowiązującym kalendarzem był ten adwentowy. Wyrób czekoladopodobny jedzony na wyścigi. Do biegu, gotowi, start! Maraton prezentowy, śledzikowy, kuchenny. No i jeszcze trzeba zdążyć ze wszystkim, co w pracy, bo za chwilę wszyscy się rozjadą. A dom niech pachnie pierniczkami i pastą do podłóg. Też tak macie? I naprawdę chciałabym teraz napisać: zwolnijcie, celebруйте, cieszcie się chwilą, ale byłabym hipokrytką. Od lat próbuję i niespecjalnie mi wychodzi. Chyba zdążyłam się już z tym pogodzić. Lubię grudzień i lubię ten maraton. Niemniej udało mi się opanować kilka trików, które zdecydowanie zmniejszają zadyszkę, i chętnie się nimi podzielę.

Po pierwsze, porządki. Pomaga plan i niezłomna postawa podczas rozdzielania obowiązków. Nie chodzi o to, by zamienić święta w koszmar i wciągać w to całą rodzinę, jeśli jednak każdy dostanie swoje zadanie, może być naprawdę przyjemnie. Niektóre prace warto zacząć wcześniej. Zastanówcie się też, jaki efekt chcecie osiągnąć (czy porządki w pawlaczu są naprawdę konieczne) i ile czasu możecie poświęcić. U mnie działa.

Po drugie, obłęd kuchenny. No bo jak inaczej nazwać kilkuniedniowe stanie z morderczym wyrazem twarzy między blatem a zlewem (w którym piętczą się naczynia), kiedy pot spływa z czoła? Jako że rodzina zaczynała się mnie trochę bać, musiałam w tej kwestii

odpuścić. Nie było łatwo, przyznaję, ale udało się osiągnąć kompromis. Wyrzuciłam ze świątecznego menu potrawy, które – mimo że tradycyjne – nie miały wielkiego wzięcia. Wydłubywanie ości z karpia, którego co roku przyrządzałam tak, żeby nie smakował jak karp, zajmowało wieki. I po co? Okazało się, że polędwica z dorsza, której przygotowanie zajmuje pięć minut, jest dużo smaczniejsza. I nikt się nie oburzał. Pierogi i uszka kupuję. Są pyszne, a ja jestem sześć godzin do przodu. Nikt nie narzeka. Zrozumiałam, że jedyną osobą, która wymaga, żebym była perfekcyjną gospodynią domową, jestem ja sama i że to zupełnie bez sensu.

Po trzecie, prezenty. Zdecydowanie wolę je dawać niż otrzymywać. I jest to przyjemność czysto egoistyczna, bo radość na twarzy obdarowanego i pewność, że trafiłam, mile łechce moje ego. Zdaję sobie sprawę, że trafić nie jest łatwo. Zwykle zostajemy z tym zadaniem na ostatnią chwilę (jak jest ugotowane, posprzątane, podopinane w pracy) z okrojoną kwotą w portfelu i dziką gorączką, bo za moment zamykają sklepy. Kompulsywnie wkładamy do koszyka to, co jest w promocji przy kasie, nieświadomie stając się pionkiem w strategii marketingowej sklepu, który chce się pozbyć zalegających towarów. Więc ja kupuję prezenty cały rok. A jeśli nie kupuję, to przynajmniej zapisuję, co dla kogo, kiedy wyłapię w rozmowie. Nie zawsze są to rzeczy czysto materialne. Można przecież spełnić marzenie o kierowaniu tirem (a jakże!) lub dać komuś voucher na wspólny wyjazd. Idealnym remedium na sklepowe tłumy są zakupy przez internet. Tu uczulam Was na dwie sprawy – czytajcie opinie o sklepie, żebyście nie zostali oszukani, i nie liczcie na to, że rzeczy zamówione po 15 grudnia dotrą przed świętami, niezależnie od tego, co obiecuje sprzedawca.

I to by było na tyle. Sama zaraz wpadnę w grudniowy wir, tak że ledwie mi będzie widać czubek głowy, ale trzymam za Was kciuki. Niech będzie dobrze, mądrze, spokojnie i pysznie. Oby do Nowego Roku!

WIGILIA

– Podobno w tym roku będzie już można bezpiecznie spędzać święta ze swoimi rodzinami. – Mój przyjaciel Adaś westchnął, odkładając telefon.

Spojrzałam na niego i wydał mi się zrezygnowany, jak nigdy dotąd. Brzmiało to właściwie jak informacja o jakiejś potwornej diagnozie lekarskiej albo komecie zbliżającej się do Ziemi. I może rzeczywiście tak było?

Siedzieliśmy w większym gronie, częściowo zeszłoroczno-covidowo-wigilijnym, więc doskonale rozumieliśmy to westchnienie. Każdy przetrwał tę piorunującą informację i zderzył się z tym, że rok 2020, mimo wariactwa, niepokoju i izolacji, zupełnie zmienił spojrzenie na sposób celebrowania. Nasze zeszłoroczne świętowanie, mimo że podszyte tęsknotą, składało się z samego dobra, bo to wnieśliśmy na wigilijny stół. Każdy przygotował potrawy, które kocha, a nie te, które muszą być, bo ciocia lubi, babcia gotowała je w '46 albo są częścią odwiecznej rywalizacji między ojcem a wujem. Nie spieszyliśmy się i nie czuliśmy presji. Wieczorami mieliśmy czas, żeby obejrzeć coś na Netflixie i najwyżej robiliśmy pauzę na pokrojenie sałatki w kuchni. Razem sprzątaliśmy, a obowiązki podzieliliśmy tak, że wszystko było zrobione, a nikt nie był zmęczony. Ubieranie choinki było przyjemnością – pojechaliśmy po nią razem, razem pokłuliśmy sobie ręce i nawet jak upadła podczas filmu o duchach, zamiast się wkurzyć, uznaliśmy to za niesamowicie zabawne. A potem ją przywiązaliśmy do belki i wróciliśmy do

filmu. W nocy dojechali kolejni goście, z innymi połączyliśmy się przez internet i świętowaliśmy do rana. Każdy dostał prezent, o jakim marzył, nikt się nie kłócił. Byliśmy sami sobie – z dala od tych, których kochamy, a jednocześnie całkowicie szczęśliwi.

Z tej melancholijnej podróży wyrwał nas głos Anki.

– Jeśli w tym roku podczas składania życzeń znowu usłyszę: „Żebyś sobie w końcu kogoś znalazła”, to przysięgam, że wsiadam w samochód i jadę do was.

– A my ruszamy, jak padną kolejne życzenia posiadania dziecka – rzuciła Marta.



Marek zapytał, czy może dołączyć, jeśli po raz 42 będzie oglądał swoją matkę najpierw w trzydniowym szale sprzątnia, gotowania

oraz „nie potrzebuję pomocy” i „wszystko zrobię sama”, oraz „Edward, gdzie jest zastawa, a ty, Mareczku, siedź”, a potem leżącą podczas wigilii na kanapie, bo ona nie ma siły i „zaczniście beze mnie”. Kamila nie znosi swojego wujka, który od piętnastu lat klepie ją w tyłek ze słowami: „Znowu, Kamka, cię więcej!”. Ciotka mówi, że on tak po prostu ma i żeby dać spokój, a mama Kamili przecież nie będzie stawać przeciwko siostrze, tylko dlatego że Kamili się coś przywidziało. Gośka z mężem nie mogą dojść do porozumienia, z którymi rodzicami spędzać Wigilię i ta ostatnia była najlepsza, bo spędzili ją po prostu z dziećmi w domu, a nie w drodze z Łodzi do Warszawy. Tomek z Maćkiem, od 22 lat w związku, też chcieliby być w Wigilię razem, nawet w drodze, ale znowu będą oddzielnie, każdy ze swoją rodziną, bo one nie przyjmują do wiadomości, że facet z facetem to w ogóle może. Michał – weganin – powinien zjeść rybę. I jego rodzina wszystko rozumie, ale naprawdę mógłby się zmusić ten jeden raz w roku. Choćby dla babci. Babcia od 15 lat nie żyje, ale łypie gniewnym okiem znad kominka.

I rzeczywiście, tu pojawia się pytanie o sens. O to, co jest dla nas najważniejsze. O granice – czy umiemy je wyznaczać, a jeśli nie, to dlaczego. I czy zawsze ucieczka jest rozwiązaniem. Ale zamiast roztrząsać te problemy, tego wieczoru umówiliśmy się na wspólną wigilię w pierwszy dzień świąt. Skoro lejdis mogły mieć swojego sylwestra w lecie, to dlaczego my nie możemy? I tego właśnie Wam wszystkim życzę – świąt, jakie zawsze chcieliście mieć. Gdziekolwiek i z kimkolwiek sobie zamarzycie.

NA WŁASNYCH ZASADACH

Pomyślałam o mojej rodzinie i naszych Wigiliach. O konkursie na najlepszego karpia, który od lat prowadzą moja ciotka i wujek, grze w tabu albo beczułki po serniku. O prezentach, które Mama wrzuca pod choinkę na ostatnią chwilę w reklamówkach, bo nie znosi pakowania i wstążek, o jakiejś małej politycznej sprzeczce i corocznym nieudanym wybieraniu się na pasterkę. I naprawdę nic bym w tym nie zmieniła. Ale rzeczywiście zeszły rok pokazał mi, że mam też drugą rodzinę. Tę, którą sama wybrałam. Przyjaciół i inne bliskie osoby, z którymi budujemy swoją tradycję. Z lekkim wyrzutem sumienia, ale też wdzięcznością, bo to, co do niej wkładamy, wynieśliśmy właśnie z domu. I może to nie jest nic złego, że chcemy już świętować na własnych zasadach?

To dobry moment, żeby zmienić kategorię na tę najbardziej osobistą. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że tych tekstów jest mało, choć w jakimś sensie są mi najbliższe. Najprawdziwsze. Bez lukru i bez pouczania.

Bo wiecie, ja jestem profesorem od wszystkiego. Moja przyjaciółka Molska – ta, z którą przemierzam świat – uważa, że mam doktorat i profesurę ze wszystkiego, czego się tknę i obok czego stanę. Tak, wymądrzam się i nic na to nie poradzę.

Jestem w tym najlepsza. Czyli jestem najgorsza. Przybieram ten specyficzny ton i moja wszechwiedza wypływa oraz jaśniej, co jest

straszne i żenujące. Mam tego świadomość. I też to wyśmiewam.

Bo wiecie, z jednej strony, jestem Polką, a Polacy znają się na wszystkim: skoki, piłka nożna, strategia wojenna, z drugiej – celebrytką, a jak taka celebrytka schudnie, to jest ekspertem od żywienia. I pach – trzy książki! Po wywiadzie radiowym może napisać poradnik „Moje życie w radiu”. Albo w każdej chwili stać się kołczem i po wizycie na Bali oferować kurs dochodzenia (do siebie) i ceremonię kakao za miliony monet. Bycie celebrytą zobowiązuje!

No i ostatnie to osobowość. Mam coś takiego.

Walczę, ale raczej obśmiewam. Siebie samą, bo co ja mogę?

Więc jak mi się nagle uda coś napisać, gdzie nie pouczam i nie wynajduję lekarstwa na raka, to jest super.

Tę kategorię wypełniają moim przyjaciele, rodzina i dzieci. Tu jestem ja. Bardziej taka, jaka jestem, niż jaką chciałabym się widzieć.

Nadal nie wiem, dlaczego mnie lubicie. Ale to już chyba wiecie, prawda?

ANALOGOWA

Tak, jestem zdecydowanie analogowa. Albo stara. Niepotrzebne skreślić. Poczułam to po wizycie w sklepie AGD.

Ale od początku. Naprawdę doceniam postęp technologii. Dostęp do informacji, mapę w telefonie, możliwość słuchania muzyki – każdej i wszędzie – i tę aplikację, którą włączam, kiedy podoba mi się jakaś piosenka i ona ją wyszukuje. Ale aktualizacja pralki? No kto to widział? Włączasz sobie tę pralkę telefonem. Masz aplikację i wpisujesz, co tam dajesz do środka, a ona ci dobiera program, a potem łączy się z suszarką, żeby jej przekazać dane. Po co, wytłumaczcie mi, skoro i tak muszę pranie sama tam włożyć? I tak wszystko piorę na mix – 30°C, 1200 obrotów. Poza swetrami i ręcznikami.

Albo asystenci gotowania. To jest jeszcze gorsze. Piekarnik ma zdecydować, jak upiec moje danie. O nie! Ja mam przepis, drogi piekarniku. I nie interesuje mnie to, że uważasz, że 200°C stopni będzie lepsze, skoro moja Babcia piekła w 180°C i tak mi zapisała. No i kolejna aplikacja, żeby zdalnie włączyć piekarnik. A jedzenie to ma tam stać od rana czy jak?

Wiecie, że seria piekarników znanej firmy, jak ściągnęła aktualizacje oprogramowania, to te piekarniki przestały działać? Bo myślały, że są mikrofalówkami. Masz taki piekarnik i nic nie możesz, bo on się czuje mikrofalówką. Podobno firma będzie płacić odszkodowania, ale wytłumacz to gościom, którzy właśnie czekają na kolację. A miał być schab ze śliwką i sernik na przykład. Teściowa patrzy

na ciebie jak na nienormalną, a ty się nawet nie odstresujesz, bo nie naładowałaś papierosa.

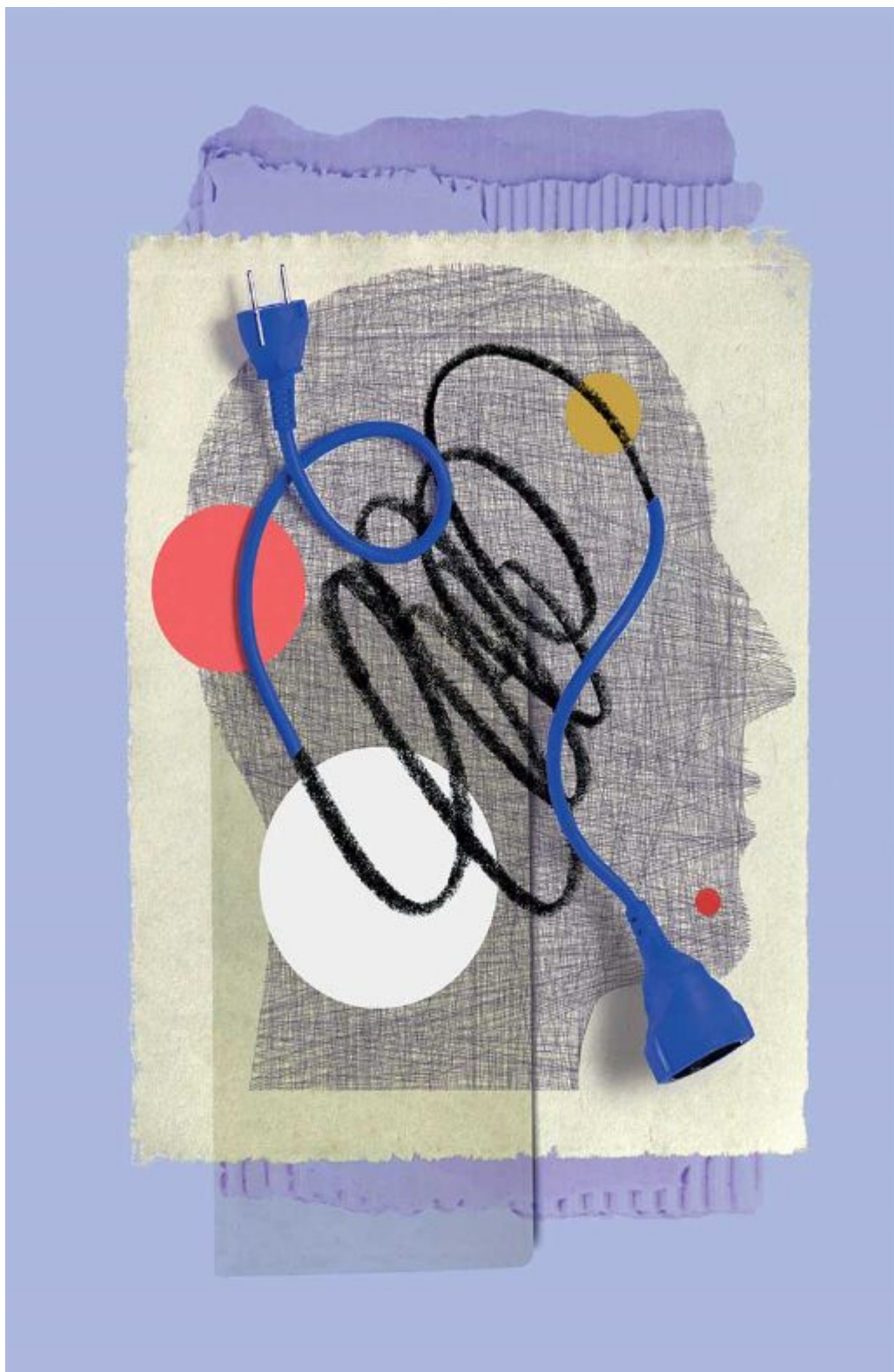
Ostatnio nie mogłam znaleźć kostki do ładowania, więc podłączyłam do komputera papierosa i książkę. W sensie kindla. I mój komputer wyświetlił pytanie, czy ma ufać tej książce? Skąd mam wiedzieć, skoro jeszcze jej nie czytałam? Ja nawet nie do końca ufam, że prąd istnieje. Kiedyś było łatwiej. Bo prąd kopał. Pamiętam, jak postanowiłam podłączyć nową lampę, ale zapomniałam wykręcić korki. No i ocknęłam się na podłodze, a pod sufitem był czarny ślad po tym prądzie. Teraz jest trudniej. Bo wytłumaczcie mi, proszę, taką ładowarkę indukcyjną? Dotykam i nic. Nie kopie. A kładę telefon i się ładuje.

W elektrycznego pastucha to wierzę. Moi koledzy podczas pewnego grilla w latach 90. zrobili eksperyment naukowy, udowadniając, że płyn przewodzi prąd. Jaki płyn, to się musicie domyślić. Pierwszy stał Maciek, w tradycyjny sposób pozbywając się przyjętego wcześniej piwa, a reszta stworzyła łańcuch, trzymając się za ramiona. Maciek ucierpiał najbardziej, ale ma dziś dwóch dorosłych synów, więc jest chyba okej. Na końcu stał Marcin i on nie ma dzieci, ale to dlatego, że ma chłopaka, a nie przez prąd.

Amerykańscy naukowcy na przykład (zauważcie, że są oni zastępnikiem „znajomej mojej znajomej”, można im wepchnąć w usta absolutnie każdą bzdurę i już wszyscy wierzą) pracują nad prądem bezprzewodowym, ale takim wysyłanym na odległość. W bezpieczny sposób. Taaa, na pewno.

I te ekrany dotykowe. Ostatnio jechałam samochodem mojej siostry i było tak gorąco, że ekran przestał reagować. Zgadnijcie, gdzie włączało się klimatyzację? Oczywiście że na tym ekranie. Jechałyśmy z otwartymi oknami, aż się schłodził, ale wtedy to już nie potrzebowałyśmy klimy. Bo po co? Niezdrowa jest. Co komu przeszkadzały pokrętła? Włącz/wyłącz.

Wiecie, ile czasu spędzam w sklepach, żeby znaleźć rzeczy analogowe? Poproszę opiekacz do kanapek. Bez dodatkowych wkładów. Bez wyświetlacza. Bez wi-fi. Ma się zamykać, otwierać i grzać. Jak to nie ma?



Dobra, jedno dziwne udogodnienie uważam za całkiem spoko. Kamerę w lodówce. Nie, nie do selfików, chyba że umiesz wejść do

lodówki, to wtedy okej. Jesteś sobie w sklepie, w domu nikogo, a nie wiesz, czy kupiłaś ostatnio ser, czy nie. Łączysz się z lodówką i wiesz. Ale z drugiej strony, w dobie pełnej inwigilacji, to trochę przerażające, co ona tam nagrywa.

Zauważyliście, że nikogo już nie dziwi, że godzinę po tym, jak odbyliśmy z przyjaciółmi rozmowę o wyjeździe do Paryża, kupnie kołdry obciążeniowej, nauce angielskiego, na każdej stronie internetowej pojawiają nam się reklamy wyżej wymienionych? Bo nasze uśpione telefony słuchają i nie jest to już powieść SF ani spiskowa teoria dziejów, tylko coś, na co się godzimy, klikając w regulaminy bez czytania.

Sami dajemy dane – wszelkie – które idą w eter. Mój zegarek połączony z telefonem mierzy mi puls i ustala plan ćwiczeń. Zegarek Duś, mojej mekkapistki, idzie krok dalej, bo włączyła opcję wsparcia. Ostatnio wspierał ją w przebieralni, gdy usiłowała kupić spodnie. Kiedy przymierzyła trzecią parę, pochwalił ją za świetny trening. „Tak trzymać” – napisał, wibrując na nadgarstku. Duś spodni nie kupiła, ale za to miała satysfakcję.

Dobra, kończę, bo zegarek polecił mi właśnie chwilę uważności i oddechy. Muszę go zdjąć, bo żaden zegarek nie będzie mi mówił, co mam robić!

SEN

Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Moja córka w pozycji horyzontalnej odprawia właśnie dziki taniec ludzikiem Lego, który z niewiadomych powodów pełni dziś funkcję przytulanki. Ludzik miarowo podskakuje na mojej głowie i plecach w rytm wyśpiewywanej przez Wandę autorskiej piosenki „Nie umiem spać, spać, spać”. Każde „spać” zaakcentowane jest mocnym wbiciem plastikowych nóżek w moje tkanki miękkie. Powinnam zareagować, ale jestem w zwierzęcym trybie „rodzic” i wiem, że jeśli wytrzymam, to wróg w końcu zmęczy się i zaśnie. Po chwili taniec zaczyna przypominać masaż gorącymi kamieniami. Kask ludzika powoli ześlizguje się po moim karku, a masażystka odpływa. Bezszelestnie zsuwam się z łóżka, odpędzam myśl o przykryciu chudych nóg wystających spod kołdry – lepiej poczekać na głębszą fazę snu przeciwnika – i wychodzę.

W kogo ona się wdała? Bo, Jezuniu, jak ja umiem spać! Jestem w tym mistrzem świata. Mam doktorat z zasypiania, habilitowałam się z drzemek. Mogłabym prowadzić kursy ze znajdowania zimnych miejsc na pościeli, ustawiania drzemek w budziku, żeby przedłużyć sen, doboru poduszek i kołder. Możliwość powrotu do łóżka po zbyt wczesnej pobudce, tak by jeszcze trafić na wygrzane miejsce, powoduje u mnie niezdrową ekscytację. Zasypiając zbyt późno, snuję już plany, jak to następnego dnia położę się tuż po 20.00. Potrafię przespać sylwestra i własne urodziny. Kocham moje łóżko, choć spać umiem wszędzie. Kiedy połowę życia spędza się na budowie, człowiek naprawdę potrafi dobrze wykorzystać karton i miej-

sce przy kaloryferze na klatce schodowej. Moja ekipa ma całe serie zdjęć, które, z jednej strony, kompromitują mój celebrycki status, z drugiej jednak udowadniają te niesamowite umiejętności regeneracyjne. Kiedyś na plan przyszła nowa pani z biura reklamy. Z braku miejsc do siedzenia postanowiła nieopatrznie wykorzystać górę kurtek, która miękko piętrzyła się w rogu. Nieopatrznie, bo tą górą kurtek byłam ja. Na obronę pani mam to, że do pełni sennego szczęścia w miejscach publicznych potrzebuję zakryć się w stopniu całkowitym. Z głową włącznie. Pani nie miała więc szans rozpoznać człowieka w stercie. Człowiek się jednak poruszył, pani wystrzeliła pod sam sufit i już więcej do nas nie przyszła. Nie sądzę, żeby przeszło jej przez gardło, że to dlatego, bo usiadła na prowadzącej.

Oczywiście nie zawsze tak było. I nie mam tu na myśli siadających na mnie specjalistek od reklamy. Kiedyś traktowałam sen jako zło konieczne lub ucieczkę od problemów. Szkoda mi było czasu na odpływanie w objęcia Morfeusza, jednakowoż zdawałam sobie sprawę, że to pauza, która jednocześnie przyspiesza czasoprzestrzeń. Przewrotne, co? Im jestem starsza, tym bardziej czuję, że sen jest po prostu mianownikiem wszelkich udanych działań. Minęły bezpowrotnie dni, kiedy cztery zarwane noce z rzędu można było zamaskować uśmiechem i dobrym korektorem. Może to dlatego szaleńcze zakochania, którym towarzyszą hordy motyli w brzuchu i nieprzespane noce, zarezerwowane są dla młodości. Czuję, że w moim wieku po prostu bym tego nie przeżyła. Z drugiej jednak strony, przy moim tempie pracy i trzyletniej córce, która niezależnie od tego, o której się położy, budzi się o 7.13, mam ciągły deficyt snu. Pobudka, śniadanie, przedszkole, praca, dom, spędzić jak najwięcej czasu z dzieckiem, bo praca, kąpiel, usypianie, jedyny czas, jaki mogę poświęcić na rzeczy domowe i odpisanie na mejle, „Jezuczemujesttakpóźno”, sen, pobudka... A najgorsze, że jak przychodzi taka sobota, kiedy córka jest u taty i mogłabym się wyspać, to budzę się o 7.13 i ni cholery nie umiem kontynuować. Robię więc profesurę z drzemek, przypominając sobie mojego Dziadka, który

sypiał pięć godzin w nocy, a resztę, niczym narkoleptyk, odrabiał w fotelu.

Starość, jak widać, nawet w tym temacie jest nielogiczna – jak już człowiek wie co i jak, to nie ma siły lub sposobności, żeby to realizować. Dobranoc :)



W KRYZYSIE

– Prawdziwy problem w ogóle nie polega na tym, że on mnie nie kocha – wysapała Gabi, zdejmując płaszcz, bo biuro na trzecim piętrze bez windy zdecydowanie miało plusy i minusy – tylko na tym, że ja go Kocham.

– Głębokie – rzuciła Maria zza komputera i wróciła do swojej excelowskiej tabelki.

Chyba na nikim nie zrobiło to wrażenia; Cezary parzył kawę, Piotruś rozmawiał z klientem przez telefon, a ja dłużałam w projekcie. Od miesiąca Gabi raczyła nas kolejnymi mądrościami już od wejścia i chyba po prostu przestaliśmy słuchać. Zupełnie niesłusznie, jak się za chwilę miało okazać. Gabi omiotła spojrzeniem open space i widząc trzy zupełnie obojętne twarze, zabrała torbę z laptopem i poszła do swojego pokoju. Drzwi trzasnęły cicho, Maria wydała z siebie zbyt głośne westchnienie ulgi, a Cezary bezszelestnie postawił przede mną kubek bezkofeinowej.

Sięgnęłam po kawę i dopiero wtedy dotarło do mnie, co właśnie powiedziała Gabi. To było najmądrzejsze zdanie, jakie ostatnio słyszałam!

– Gabriela! – zawołałam. – Możesz to rozwinąć?

– Zwariowałaś – bardziej stwierdziła, niż spytała Maria.

Cezary i Piotruś spojrzeli na mnie ze strachem. Nie żebyśmy nie lubili Gabi, ale ostatnio przebywanie z nią było wyzwaniem, a dokładniej „monotematycznym rozkminianiem i rozkładaniem na części jej od początku nierokującego romansu, który skończył się

z wielkim hukiem w okolicach sylwestra”. Brzmi trochę jak tytuł pracy magisterskiej. Omawialiśmy tę sprawę na sto sposobów. Wiedzieliśmy, co by było, gdyby on ją kochał, oraz czego nie ma i nie będzie, bo jej nie kocha. Zналиśmy każdy scenariusz, w którym Gabi albo Mireczek robią coś inaczej, i konsekwencje tego zakrzywienia czasu. Mieliśmy gotowe odpowiedzi na pytania: Dlaczego on mnie nie kocha? (Nie wiem, bo jest głupi, bardzo ci współczuję – każdy miał swoją.); Dlaczego nikt mnie nie kocha? (To nieprawda, mnóstwo ludzi cię kocha – tu mówiliśmy to samo.); Czy ktoś mnie kiedykolwiek pokocha? (Na pewno, nie wiem, bardzo ci współczuję – to ostatnie to Maria, bo robi studia podyplomowe z pomocy w kryzysie, choć nie wiem, jak można pomóc w ten sposób). Ze trzy razy zostaliśmy w biurze po godzinach i wypiliśmy zdecydowanie za dużo prosecco. Cezary omal nie przypłacił życiem prób zabrania Gabi telefonu, jak znowu chciała pisać do Mireczka. Na szczęście następnego dnia Gabi usunęła, a wcześniej zablokowała jego numer.

– Nie żeby do niego nie pisać – powiedziała – tylko żeby przestać czekać, że on się odezwie.

Uznaliśmy to za mądre posunięcie. Ale tak, mieliśmy dość. Dlatego właśnie trzy pary oczu wpatrywały się we mnie z pretensją.

– No dobra, ale do tej pory wszystko było dlatego, że on jej nie kocha. Nie rozumiecie? – zaczęłam się tłumaczyć. – Gabi była niešťęśliwa, bo on jej nie kocha. Nie jadła, bo on jej nie kocha. Nic nie ma sensu, bo on jej nie kocha; właściwie można było wstawić dowolne. A słyszeliście, co ona przed chwilą powiedziała?

– No, ja rozmawiałem z klientem – rzucił Piotruś.

– Ja wyłączyłam się po słowach „prawdziwy problem” – przyznała Maria, chyba przez te studia.

– Ten ekspres do kawy jest naprawdę głośny... – wtrącił Cezary.

– No właśnie, powiedziała...

– Że prawdziwy problem polega na tym, że ja go kocham – dokończyła Gabi, wycierając ręce. – W łazience byłam.

– Ale przepraszam, co to zmienia? – zapytała Maria.

– No, według mnie generalnie wszystko. – Objęłam Gabi z dumą. – Nasza Gabriela przesunęła wektor. Teraz strzałka wskazuje prosto na nią.

– Ale nie że z poczuciem winy? – upewniła się Gabi. – Bo tego nie mam, jakby co.

– Moim zdaniem bardziej z poczuciem sprawczości. Ale powiedz, jak do tego doszłaś.

– Bo wiecie, z tego i tak by nic dobrego nie było.

– Wiemy – powiedzieliśmy chórem.

– I wiedziałam to od początku.

– Wiedziałaś – przytaknął tym razem sam Cezary, ale wyglądał na niepokieszonego, że nie dołączyliśmy.

– Przecież on mi się nawet nie podobał. I te jego żarty to mnie też do końca nie bawiły.

– Nikogo nie bawiły – odezwał się nagle Piotruś.

– O nie, przepraszam – zaprotestował Cezary. – Jego bawiły!

To była akurat prawda. Mireczka bardzo bawiły jego własne żarty.

– To dlaczego ja się, do cholery, zakochałam?

Zamilkliśmy. Nie mieliśmy pojęcia dlaczego.

– Ja to wszystko sobie wmówiłam, sama się przekonywałam, wiecie, że jest tak super i w ogóle. A wcale nie było. I nie byłoby – dodała cicho. – Więc tak naprawdę to nie ma znaczenia, czy on mnie kocha, czy nie.

Nikt nie wiedział co powiedzieć. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że oto Gabriela zderzyła się z prawdą, a nawet ją nazwała, tym samym przechodząc kolejny etap żaloby po niedoszłym związku. I wszyscy temu kibicowaliśmy. Ale nie sądziliśmy, że to nastąpi tak nagle, a przede wszystkim, że będzie tak rozdzierająco smutne. Gabi kucnęła, oparła się plecami o ścianę i wydawała się

jeszcze mniejsza niż zwykle. Przejmujący widok. Nagle zerwała się na równe nogi.

– No, ale powiedz mi, Cezary, dlaczego ja zawsze muszę wybierać takich dupków? Idiotów znaczy? – spytała, celując palcem w biednego Cezarego.

I wtedy szybko rozeszliśmy się do swoich zajęć. Poza Cezarym, który aż odskoczył pod okno, ale i tak świdrujący wzrok Gabi trzymał go w szachu.

– Poradzi sobie – szepnęła cicho Maria, wkładając kurtkę. – Zajęcia mam, będę za dwie godziny.

I pobiegła pomagać ludziom w kryzysie.

WYPROWADZKA

Dziś wyżalę się Wam bez wstępu – syn mi się wyprowadził! Napisałam „mi”, bo jak się okazuje, tylko mnie to zmiotło z powierzchni ziemi falą smutku i tęsknoty. Syn natomiast radzi sobie świetnie, samodzielna rzeczywistość nawet przerosła jego oczekiwania, życie jest piękne, a studencka codzienność – zachwycająca. Ostatnio żyję więc sobie w nastroju ambiwalentnym – z jednej strony, rozpira mnie duma i szczęście, z drugiej, rozdziera smutek.

Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że to takie trudne? Żadna ciężka, poród lub połów, ząbkowanie, bunt dwu- i trzylatka, wywiadówki, zarwane noce, grypy żołądkowe, poszukiwania bloku technicznego o 23.00 w niedzielę, pierwszy zawód miłosny i czekanie, aż syn wróci z imprezy – nic nie było tak trudne jak jego wyprowadzka. I żeby nie było, naprawdę wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. Podchodziłam do sprawy rozsądnie, bez specjalnego strachu – wszak to normalne, że dzieci wyfruwają z gniazda. Ja zrobiłam to mniej więcej w jego wieku, no ale przecież to ja, a nie on. Taki synek to powinien jednak dłużej korzystać z wygod domu rodzinnego. Tak sobie myślałam. O ja głupia!

Wiecie, co jest najgorsze? Że ja się naprawdę zupełnie nie spodziewałam, że tak to przeżyję. Trzeciego wieczoru, łkając do kolejnego papierosa na balkonie, postanowiłam szukać pomocy w ostatnim miejscu, gdzie należy jej szukać, czyli w internecie. „Syndrom opuszczonego gniazda” – wpisałam. I „Jak sobie poradzić po wyprowadzce dzieci”. Po chwili dowiedziałam się, że taka wyprowadzka

najczęściej prowadzi do obnażenia naszych związków, bo oto rodzice zostają sami i może się okazać, że mają ze sobą mało wspólnego. Tyle że do takich wniosków to już kilkakrotnie dochodziłam bez wyprowadzki dzieci, więc jakoś mnie to nie dotyczy, przynajmniej na razie. W większości artykułów niestety nie było nic na temat opuszczonych gniazd, które już wcześniej były niepełne. Aż w końcu znalazłam – „Samotne matki a wyprowadzka dzieci”. Swoją drogą ktoś, kto wymyślił to określenie, nigdy w pojedynkę nie wychowywał dzieci. Pojedynczy rodzic nigdy nie jest samotny, nawet jeśli bardzo tego chce. Nie jest samotny w kąpielni, toalecie, podczas prób pracowania, gotowania ani kiedy myśli, że dziecko już śpi, więc on usiądzie sobie z książką, bo dziecko nie śpi. Nigdy. A przynajmniej o to je podejrzewam. Ale do rzeczy.

Jako samotna matka powinnam znaleźć jakieś zajęcie, które odwróci moją uwagę od pustki. Z chęcią bym się dostosowała do tej rady, tylko wolny termin mam w okolicy grudnia. Jeden weekend. I jeśli wcisnę tam cokolwiek, to kolejny jest w marcu, więc nie zdążę zrobić zakupów świątecznych. A poza tym obiecałam córce, że odwiedzimy alpaki.

Napisali jeszcze, żeby się skupić na plusach, na przykład na przestrzeni, jaką zyskaliśmy w domu, czy też wolności. Niestety nie było nic o matkach, które pracują na 16 etatach, poza wyprowadzonym dzieckiem mają jeszcze jedno, i to małe, więc zamiast zyskać wolność, straciły pomoc, ich mieszkanie nagle okazało się stanowczo za duże i na pewno nie są samotne, tylko samodzielne. Okazuje się, że takie też tęsknią i po prostu nie ma na to rady. Nie wytnę tego i nie zapełnię czymś innym. To, że syn jest daleko i że jest dorosły, nie oznacza też, że się mniej martwię. Dla mnie zawsze będzie małym Antosiem.

Powoli więc przyzwyczajam się do tej sytuacji. Jestem cholernie dumna z mojego syna i myślę, że wykonałam kawał dobrej roboty jako matka. Z radością przyjmuję wszystkie peany na temat samo-

dzielnego życia i zachwyty nad domowymi obowiązkami wykonywanymi na swoim. Wspieram, trzymam kciuki, kocham, tęsknię. I pozwoliłam mojej niespełna trzyletniej córce spać ze mną w łóżku. A co mi tam. Czas strasznie szybko płynie i zanim się obejrzę, ona też się wyprowadzi. I mam nadzieję, że poradzi sobie tak samo dobrze jak brat.

JUŻ NIGDY

Najbardziej nie lubię słowa „nigdy”. Niepozorne dwie sylaby, zaimek przysłowny nieokreślony – kłopotliwa część mowy, nadużywana, będąca pretekstem i argumentem w małżeńskich kłótniach. To też mój lęk, co na oślepnie powietrze jak nóż. Świst ostrza tuż obok i za każdym razem, kiedy uświadomię sobie, że słowo jest adekwatne do tego, co akurat. Wolę go nie widzieć, nie czuć, nie wypowiadać. Jest moim odwiecznym wrogiem. Ostatecznością i tym, co nieodwoływalne. Oczywiście są chwile, gdy otulam się nim, bo kto nie lubi od czasu do czasu spaść w otchłań rozpacz. Jest jak seans Czujących słówek, kiedy chcesz się wypłakać.

Nigdy, którego się boję, można łatwo rozbroić. Wystarczy, że dodamy do niego „jeszcze”. Podczas gdy poloniści nadal spierają się, czy to przysłówek, partykuła, czy modulant, dla mnie pozostanie panaceum na nigdy.

Bo „jeszcze nigdy” daje nadzieję. Co z tego, że do tej pory tego nie robiłeś – masz szansę! A nawet więcej. To „jeszcze nigdy” wypowiadamy w sytuacjach magicznych i wyjątkowych. Czując wypełniającą nas radość, ekscytację, spełnienie i miłość – bo jeszcze nigdy, a w tej chwili już tak. Możemy wyszeptać te dwa słowa z zachwytem i smakować je, niczym perfekcyjnie przygotowaną rybę fugu. Tę samą, która źle przyrządzona zabija.

Skoro udało nam się chwilowo rozbroić ostateczność, to czas, by na scenę wszedł precyzyjny i śmiertelny booster. Słowo „już”, które

w połączeniu z „nigdy” zdmuchuje mnie z powierzchni ziemi. „Już nigdy” to śmierć. Koniec. Zmarnowana szansa.

Czasem wiemy, kiedy następuje, czasem zdajemy sobie z tego sprawę po latach. Nikt przecież nie zapamiętuje ostatniej wizyty w piaskownicy, która dała dziecięcą radość, fikołka na trzepaku czy podwórkowej zabawy w krowę. Pamiętacie, kiedy ostatni raz założyliście wrotki, a wiatr między blokami pchał Was do tyłu, aż upadliście ze śmiechem na trawnik? Nie wyszliście z tej piaskownicy, otrzepując rączki o spodenki, z myślą – wrócę tu dopiero z moimi dziećmi i słowami: „Wyjmij to z buzi” i „Pozwól Antosiewi pobawić się wiaderkiem”. Te końce nastąpiły niepostrzeżenie, być może dopiero teraz je sobie uświadomiliście, ale to nie zmienia faktu, że już nigdy... Ostatnia rozmowa i ostatnie spotkanie – rzadko mamy szansę, żeby to wiedzieć. Potem wyrzucamy sobie różne bzdury zupełnie bez sensu. Bo to by nic nie zmieniło. Bo już nigdy. Bo nie można na zapas. Nawet końce, które są świadome, nie leczą mojego lęku. Nawet te, w których sama podejmuję tę decyzję. Te, które celebруемy, jak ostatni dzień lata, kiedyś szkoły. Sylwester, którego nienawidzę. Urodziny, żegnające młodszą mnie.

Już nigdy nie pojedę na obóz harcerski i nie będę leżeć pod sosną z mchem pod głową i widokiem na chmury leniwie przecinające wierzchołki drzew. Ziemia nie będzie tak bliska, a ogień tak gorący. Nie poczuję mdłego zapachu płótna namiotowego i nie obudzę się, drżąc z zimna w wilgotnym śpiworze. Już nigdy nie porozmawiam z moją Babcia. Nie ulepę z nią pierogów, nie poczuję szorstkiej wełny pod palcami, jak wtedy, gdy tkaliśmy kilimy. Nigdy nie zobaczę, jak marszczy czoło, czytając moje teksty, i ma uwagi absolutnie do wszystkiego. I nie pokłócę się z nią o każdą zmianę, a potem nie poprawię dokładnie tak, jak ona chce, nie przyznając się do tego za nic. I ona też nie uda, że tego nie widzi. A potem nie zagramy w scrabble i nigdy już z nią nie przegram. Nigdy już nie powie mi, jak przyprawić ogórkową, jak posadzić pelargonie, zrobić skalniak, jaki ścieg wybrać na czapkę i jak żyć.

Nie ma już Babci, nie ma mnie w spłowiałym harcerskim mundurku. Nie ma podwórka z mojego dzieciństwa i trzepak też zlikwidowali. Nie ma tylu rzeczy. I już nigdy.

Chyba największą pracą, jaką wykonuję każdego dnia, jest robić, przeżywać, kochać, chcieć, mimo że to prosta droga do „już nigdy”. Do straty i cierpienia. Ale wiem, że tylko tak da się naprawdę – a inaczej po prostu nie ma sensu. Pomimo.



PRZYJAŹNIE

Czy zastanawialiście się kiedyś, dlaczego jedni ludzie pojawiają się w naszym życiu na chwilę i znikają tak szybko (i często równie efektownie), jak się pojawili, a inni zostają z nami dłużej? I nie mam na myśli powierzchownych kontaktów. Czasem spotykamy kogoś, kto po prostu pasuje. Nie wiadomo dlaczego. Coś klika, przeskakuje jakaś iskra, mamy o czym rozmawiać i śmiejemy się z tych samych żartów. Absolutnie nie ograniczam się tu do sytuacji romantycznych. Dlaczego zaprzyjaźniamy się z tym, a nie z innym? Co nas do siebie przyciąga? Czy nasze relacje mają termin ważności?

Ostatnio przeczytałam, że przyjaciół na całe życie spotyka się między 19. a 24. rokiem życia. I choć zupełnie się z tym nie zgadzam, rozumiem ziarno tej teorii. To wtedy przecież kształtuje się nasza osobowość. Spotykamy ludzi i wspólnie przeżywamy historie, które nas tworzą. Budują. I tak oto na skrzyżowaniu naszych dróg pojawia się pojazd, który jedzie w tym samym kierunku. Całą drogę, do końca, nieważne, kto wsiada na miejsce pasażera, jakie warunki panują na drodze i jakie przeciwności napotkamy. Przyjaciół do końca świata. Potem jest zdecydowanie trudniej. Jesteśmy już „jacyś”. Dopasowanie kogoś, kto na kolejnym skrzyżowaniu nie zarysuje nam lakieru, jest trudniejsze. A może to ten autostopowicz, którego bierzemy po drodze z nadzieją, że nie wydarzy się nic złego, za to poznamy kogoś interesującego? Czy mamy w ogóle taką odwagę?

Moje dwie najważniejsze przyjaźnie pojawiły się na początku lat 90., czyli prawie 30 lat temu. Mery i Kaśka – przyjaciółki z podstawówki. Całkiem niezależne relacje, bo chyba nigdy nie spędzałyśmy czasu we trzy. A to oznacza zupełnie inne przyległości. Ale to nie zmienia faktu, że nasze korzenie splątały się wtedy na zawsze. Tak jakby obie wrosły we mnie niczym egzotyczne rośliny. Niby moje, a osobne. Zupełnie różne i na inne czasy. Razem dojrzewałyśmy, przeżywałyśmy pierwsze zawody miłosne, próbowałyśmy papierosów za górką obok sklepu, obgadywałyśmy koleżanki, buntowałyśmy się, chodziłyśmy na imprezy. Pamiętam, jak pachniał śpiwór, w którym nocowałam u Kaśki, i jak smakowały kanapki z serem z mikrofalówki u Mery. Rarytas. Mogę do dziś czerpać z tego okresu garściami. Dziewczyny mieszkają teraz za granicą. I choć spotykamy się rzadko, myślę o nich codziennie. Mery na przykład przyjeżdża do Polski dwa razy w roku – i od lat tocymy tę samą rozmowę. Kończy się nad ranem w lipcu, by powrócić koło osiemnastej w lutym. Ciągniemy te same wątki, jakby dzieliły je godziny, a nie miesiące. Kaśkę widuję jeszcze rzadziej, ale wiem, że gdyby zadzwoniła o 3.00, mówiąc, że mnie potrzebuje, to jeszcze przed świtem byłabym w samolocie, choć uwierzcie mi, boję się latania bardziej niż starości, pajaków i firanek skróconych do wysokości kaloryfera.

Dziewczyny są moje, są rodziną. Kimś wrytym w sercu. Nie ważne, jak długo się nie widzimy, ile rzeczy, o których nie wiemy, wydarzy się na co dzień. Jak bardzo rozbudowane są światy, w których żyjemy, kogo kochamy, kto nas zranił. To nie jest istotne. Nadal, kiedy się spotykamy, po szybkim streszczeniu ostatnich miesięcy, lat, dekad, wracamy do wątku porzuconego w dzieciństwie. To jest jedna z najcenniejszych rzeczy, jakie można mieć.

Zdarza mi się myśleć o ludziach jak o oddzielnych Układach Słonecznych. Poruszamy się bezpiecznie między planetami o ustalonej trajektorii. I nagle pojawia się kometa. Przecina niebo, a jej rozbłysk jest widoczny z każdego zakątka. Jest zachwycająca, ale znika tak

szybko, jak się pojawiła. Czasem jednak zjawia się zupełnie nowy obiekt, który zmienia wszystko. I staje się naszym Księżycem. Planety szaleją. Jedne opuszczają nasz układ, inne się przesuwają, tworząc nowe zależności. Tylko Słońce pozostaje niezmiennie. Może każdy z nas ma w życiu kilka Słońc? Jedne stare, inne nowe, współistniejące i niezależne. Niezagrożające sobie nawzajem.

Życzę Wam z całego serca, żebyście mieli przestrzeń na pielęgnowanie starych i nawiązywanie nowych przyjaźni. Żebyście zawsze czuli, że jest ktoś, kto zrobi dla Was wszystko i o każdej porze. Niezależnie od wszystkiego. A jeśli w czasie czytania tego tekstu przyszedł Wam na myśl ktoś, z kim nie macie kontaktu od lat, ale tęsknicie, to wykonajcie dziś do niego telefon. Bo nie ma chyba na świecie nic cenniejszego niż ta świadomość połączenia absolutnego. Ściskam Was mocno i lecę na spotkanie, bo Mery właśnie przyleciała do Polski i musimy dokończyć naszą rozmowę sprzed pół roku.

Zebyście wiedzieli o mnie więcej, bo jak ustaliliśmy, to jeden z powodów, dla których kupiliście tę książkę, opowiem Wam o Cezarym. To mój najlepszy przyjaciel, a nasi przyjaciele świadczą o nas. I trzeba ich doceniać oraz kochać.

Ja kocham Cezarego, bo jest mądry i dobry, ale też cholernie zabawny. (O tym napiszę Wam później, bo to śliska sprawa). Kocham go za to, że mój syn dzwoni do niego z każdym przypałem, żeby zapytać, czy musi dzwonić do mnie. I on zwykle mówi, że musi. I za to, jak pięknie zawiązał mu krawat na studniówkę. Za to, że godzinami opowiadał kilkutygodniowej Wandzie o Bangkoku, bo co tak będzie siedział. Że jak zaczynam zdanie od „być może właśnie”, to nie dostaje zawału serca, a przecież wszyscy wiedzą, że za tym idą konsekwencje. Dalej może być wszystko. Kupiłam stado krów w Marakeszu, nalałam dużo płynu do naczyń do zmywarki i piana wyszła już na klatkę schodową, rozkułam podłogę, bo tu na pewno

jest skarb. (Dwie rzeczy z poprzedniego zdania mamy za sobą). Idziemy więc sobie z tym szaleństwem pod rękę i jest strasznie fajnie. I mogę Cezaremu wszystko powiedzieć albo nie mówić nic, i nawet jak go skręca, to udaje, że mam prawo do sekretów. A jak się kiedyś dowiedział, w kim się zakochałam, to wskoczył w ubraniu do stawu, ale tak naprawdę to chciało mu się siku.

I jeszcze kocham go za to, że robi zdjęcia napisom na ścianach. I że na pewno powie coś, czego nie wypada na ważnym spotkaniu, na którym ja jestem nieodpowiednio ubrana. I nienawidzi tej melodii głosu w „Cezaaaryyy?” i słyszy tam pretensje, których nie ma. Za to, że nie przyjmuje do wiadomości, że chcę spędzać urodziny całkiem sama. Za kwiaty, kawę bez kofeiny, którą mi przesładza, odkąd przestawił się na erytrytol. Za jego zeszyt z taskami. Za to, że dzięki niemu nie wyłączają mi prądu albo włączają, jak wyłączą, i że nie znosi, jak mu znikam z oczu w klubie. Za wszystkie wieczory i poranki na Warmii, majówki w pustej Warszawie, miłość do moich psów. Za niemiłość do kotów, ale poczucie obowiązku wobec nich. Za to, że wie lepiej, gdzie w moim domu jest śpiwór, i zapisuje w notatkach, kiedy gadam do siebie, co muszę kupić, i natychmiast zapominam. I za to, że wiem, że cokolwiek wymyślę, nawet najgłupszą rzecz na świecie, to po prostu będzie przy mnie.

Dodatkowo uważam, że Henry Cavill bardzo dużo traci, nie będąc jego chłopakiem. Ja na jego miejscu wpadałabym w czarną rozpacz tuż po przebudzeniu. Codziennie.

Dobrze, że nie jestem amerykańskim superaktorem, tylko warszawską celebrytką. Ufff.

Wspomniałam, że Cezary jest strasznie zabawny i że do tego wrócę. To właśnie wróciłam. Ale zanim Wam o tym opowiem, uprzedzam, że jego teksty znacznie przekraczają granice dobrego smaku. Dla wrażliwych, nieletnich i tych, co przypuszczają, że

mogą poczuć się urażeni, umieszczam na następnej stronie rysunek szpaka. To znak, że już jest bezpiecznie i można czytać dalej. A to, co jest pomiędzy – pomińcie.

Dobra, zostaliście. Ale nie możecie potem mówić, że nie ostrzeżałam.

Ostatnio na przykład Cezary poszybował opowieścią w czasoprzestrzeń, w której to odkrył, że jest gejem. To były czasy, w których naprawdę można było nie podejrzewać, że szczęście ma trochę inną fizjonomię, szczególnie jeśli się miało jakieś doświadczenia z dziewczętami i było może bez fajerwerków, ale znośnie. Więc Cezary miał już lat 21, jak poznał przystojnego Niemca. A potem sprawy potoczyły się dosyć szybko, co w opowieści Cezarego brzmi następująco:

– I jak mnie ten Niemiec wygrzmocił! Jak w trzydziestym dziewiątym! Zrobił ze mną to, co Schleswig-Holstein z Westerplatte!

Cezary mówi oczywiście z wdziękiem oraz jest wspaniale pretensjonalny, ale nawet jak to piszę i zaznaczam, że to nie moje słowa, jakaś część mnie chciałaby przenieść się do szpaka.

Ale bawi mnie to. Bardzo. Tak jak Family Guy, Roger z American Dad! i Biuro. Oraz jak powiedzenie Cezarego: Jara się jak pedofil w Smyku. Przykro mi – nadal uważam, że to zabawne, choć żyłam pod jednym dachem z pedofilem.

Myślę, że żarty nie muszą być poprawne politycznie. Oczywiście można je teraz wyjąć z kontekstu i dać jako clickbaitowe tytuły, ale trudno. Wolę to niż hipokryzję. Tej nienawidzę. Za to lubię szpaki.



Tu już jest bezpiecznie. Ale nie mam nic więcej do powiedzenia.
Co zrobić...



SPODNIĘ

Siedziałam sobie spokojnie w biurze i gapiłam się tępo w okno, zastanawiając się, o czym napisać felieton. I wtedy on sam się napisał.

Cezary zaczął się drapać. Wiecie, tak kompulsywnie. Spojrzałam na niego karcąco, a on, że to z nerwów. Zanim zdążyłam zapytać jakich, do pokoju weszła Renia z plikiem papierów, które miałam podpisać (oni mi ciągle każą coś podpisywać), i zapytała:

– Mówiłeś Dorocie o spodniach?

– Nie mówił, najpierw ma mi powiedzieć, skąd te nerwy – odpowiedziałam za niego.

– To chyba ta sama opowieść – zasugerowała Renia, kładąc przede mną papiery.

Popatrzyłam pytająco na Cezarego, on odpowiedział mi smutnym spojrzeniem, westchnął i zaczął mówić:

– Pamiętasz, jak się przedwczoraj ubrudziłem tym czerwonym mazakiem, kiedy dawałem ci długopis do podpisywania zdjęć? – (A nie mówiłam? CIĄGLE coś podpisuję). Oczywiście, że pamiętałam. Czerwona poświata na biurowym stole długo nie pozwoli o tym zapomnieć. – No to zrobiłem sobie wtedy taką czerwoną kropkę pod kolanem. I dziś, jak wychodziłem do pracy, to stwierdziłem, że jej nie widać, i włożyłem te same spodnie.

– Okeeej. – Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Czekaj dalej. No i jak byłem w tramwaju, już na wysokości Dworca Centralnego, to nagle zobaczyłem, że spodnie w kroku są czerwone. Jakbym dostał okresu. W mojej głowie już wszyscy to widzieli i komentowali, więc wysiadłem i wróciłem do domu, żeby zmienić spodnie. I jak już zmieniłem, to okazało się, że sweter nie pasuje. Więc zacząłem szukać innego, wszystko wyleciało z szafy, ale dobra, w końcu jeden pasował. Taki brązowy, rozpinany.

Jako że Cezary miał na ramionach, zdawało mi się, dokładnie to samo co poprzedniego dnia, a poprzedniego dnia nie miał rzeczowego swetra, nadstawiłam uszu. Historia robiła się coraz ciekawsza.

– I jak już byłem w przedpokoju, i wkładałem kurtkę, to poczułem, że jakoś mi zimno w łokieć. Więc się rozebrałem i okazało się, że mam dziurę. Taką wielką na pół przedramienia. Poszedłem więc do szafy i włożyłem bluzę. Ale okazało się, że nie pasuje do spodni.

Tylko mina Cezarego sprawiła, że powstrzymałam się od śmiechu.

– Przekopałem szafę i w końcu znalazłem takie spodnie, co pasowały. Tylko że te wszystkie czynności sprawiły, że czułem się jak po treningu. Serio. Pamiętasz, jak w przymierzalni zegarek Dusiovej gratulował jej postępów w ćwiczeniach?

Pamiętałam.

– No więc tak było. I stwierdziłem, że muszę wziąć prysznic. Więc rozebrałem się, poszedłem do łazienki i potem znowu ubrałem. I kiedy już spóźniony godzinę, ale za to niesamowicie czysty i w pasującej górze z dołem, wyszedłem na podwórko, to spotkałem sąsiadkę z psem, który tak się ucieszył na mój widok, że zaczął skakać z radości. Na mnie.

Spojrzałam za okno. Styczniowy śnieg z deszczem na ulicach i chodnikach zamieniał się w błoto. Kolejna para spodni Cezarego nie miała szans w starciu z entuzjazmem jakiegokolwiek czworonoga.

– Moje spodnie nie miały szans – potwierdził Cezary. – Wróciłem więc do domu, usiadłem na łóżku i pomyślałem, że się rozplacę.

Tu już zaczęłam chichotać. Nic nie poradzę.

– No ale spojrzałem na zegarek i postanowiłem wziąć się w garść. Ruszyłem do szafy przez zasieki z ubrań, które wcześniej z niej wypadły, ale nie miałem już czasu ich pozbierać, i cudem znalazłem ostatnią parę spodni. Na najwyższej półce. Kupiłem te spodnie trzy lata temu i były za małe. Ale teraz pasowały! I taki zadowolony poszedłem do przedpokoju, żeby włożyć kurtkę, i spojrzałem w lustro, i okazało się, że...

– Bluza nie pasuje – wydusiłam przez łzy.

– Bluza nie pasuje – potwierdził smutno Cezary. – I wtedy stwierdziłem, że mam to gdzieś, wyjąłem rzeczy z wczoraj z kosza na pranie, ubrałem się i przyszedłem do pracy.

– Mogę napisać o tym felieton? – zapytałam, ale zanim uzyskałam odpowiedź, do biura wpadła Grzesiakowa. Znienacka, bo już drugi dzień miała pracować z domu.

– Wiecie, jakie szczęście?! – krzyknęła od progu.

Nie wiedzieliśmy.

– Tomasz wczoraj nie był u siebie w firmie!

Spojrzeliśmy na nią zaskoczeni.

– No właśnie dlatego jestem! – wytłumaczyła, ale nie zrozumieliśmy.

– Bo dziś Tomasz też nie jest w firmie.

– Ahaaa... – powiedział ostrożnie Cezary.

– No ja nie umiem pracować z domu, jak on jest. Ale wczoraj miało go nie być. Tylko najpierw wylała nam pralka, więc był pół godziny w plecy. A potem się okazało, że jakiś kretyn zastawił nam auto. Kiedy już zdecydował (Tomasz, nie kretyn, co wynikało z kontekstu), że pojedzie autobusem, to na trzecim przystanku się zorientował, że zapomniał laptopa. I jak wrócił po niego do domu, to

szef zadzwonił, żeby już nie przyjeżdżał, bo bez sensu, i tak wcześniej kończą pracę, bo pani prezes ma urodziny. I na tych urodzinach, na których Tomasz by był, podali tort. No i dzisiaj firma zamknięta, bo wszyscy się pochorowali. Sanepid, cuda-wianki. Wiecie, jak on się wczoraj wściekał? A dziś chodzi, jakby wygrał los na loterii.

Grzesiakowa zadowolona włączyła komputer, a potem wszedł Piotruś z faworkami, które zrobiła jego żona. Cezary ich nawet nie ruszył, co było dziwne, bo kocha faworki. Ale przynajmniej już się nie drapał.

KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU

Wyrwali mi zęby. Na szczęście nie wszystkie, bo tylko dwa, no i nie bez mojej zgody, ale zawsze. Boli jak cholera. Do tego wyglądam jak chomik, a właściwie półchomik. Obie ósemki były z jednej strony, więc twarz straciła symetrię, ale przecież wiadomo, że symetria jest estetyką głupców, więc się nie przejmuję. Może odrobinę. (Tak naprawdę zapalałam nagle i nieoczekiwanie miłością do symetrii i dostaję fioła oraz mam odmrożenia mózgu od okładów z lodu, ale w życiu się do tego nie przyznam).

Zrobiłam to sobie, a właściwie zrobił mi to chirurg szczękowy, dzień przed tłustym czwartkiem, co z perspektywy czasu okazało się bardzo sprytne, bo nie zjadłam ani jednego pączka, faworka, a gwoli ścisłości to nie zjadłam nic poza garścią leków przeciwbólowych. Jedna znajoma po wyrwaniu zęba tak bardzo nie jadła, że schudła 3 kilogramy. Liczę na to. Właściwie mogłabym poświęcić jeszcze ze dwa zęby, żeby osiągnąć wymarzoną sylwetkę bez ćwiczeń. W końcu nie trzeba się aż tak szeroko uśmiechać, prawda?

Oszczędzę Wam szczegółów zabiegu – napiszę jedynie, że siedziałam na fotelu 3 godziny, z czego wyrwanie dolnej ósemki razem z szyciem trwało jakieś 7 minut.

Moja Mama mówi, że mam to po niej. Takie głupie korzenie w górnych ósemkach. Nie mogłabym mieć po niej nóg, ja się pytam? Straszna niesprawiedliwość.

Kiedy minęły trzy pierwsze doby, twarz przestała boleć jako jedność oraz udało mi się:

a) zmniejszyć dawkę przeciwbóli,

b) zjeść zupę, siorbiąc niemiłosiernie, a następnie zagryźć ją, a właściwie dożuć, serniczkiem (zegnajcie marzenia o smukłej sylwetce),

c) odróżnić język od podniebienia i zębów, co było wcześniej niemożliwe.

I kiedy już to wszystko nastąpiło, zupełnie nieoczekiwanie okazało się, że... jestem księżniczką na ziarnku grochu. Ha! Nie tego się spodziewaliście. Ale tak właśnie jest. Bo oto rzecz, która mi najbardziej przeszkadza, to nie dwie wielkie rany czy zmasakrowany policzek, ale centymetr ostrego nylonu. Szew znaczy. Co ja mówię centymetr – z 5 milimetrów mi przeszkadza. Nawet jakby ten szew skrócić o 3 milimetry, to już by było dobrze.

– Nie skupiaj się na tym – mówi moja Mama z grymasem przerażenia, kiedy pytam, czy ma cienkie nożyczki, płyn odkażający i laktarkę.

Bo jak ja mam się nie skupiać, kiedy porany język boli przy każdym słowie albo przelękaniu śliny. Wycięłabym go sobie sama (szew, nie język, rzecz jasna), ale poza bólem i opuchlizną mam jeszcze szczękościsk, więc nożyczki się nie mieszczą. Sprawdziłam.

Trzy milimetry absurdu. Przyznacie. To jest jak kamyk w bucie, który – mimo że nie ma nawet centymetra średnicy – odbiera radość ze spaceru. Jak zacięcie się kartką tak wąskie, że go nawet nie widać, a szczypie pół dnia. Drzazga pod paznokciem. Jeden zgubiony puzzel w układance, gdzie jest ich 1000. No, 999, jak się nagle okazuje. Brak parmezanu, żeby posypać makaron, a mogliśmy przysiąc, że był w lodówce. I już nie smakuje tak samo. I możemy mieć milion poważnych problemów – dużych, prawdziwych – ale najczęściej czarę goryczy przelewają właśnie takie upierdliwe drobiazgi. Czujemy je jakoś mocniej.

Z baśni o księżniczce na ziarnku grochu wynika, że wszystkich tak wrażliwych natychmiast powinien pojąć za żonę księżę, bo oto okazaliśmy się prawdziwymi księżniczkami. Tymczasem ja już nigdy nie chcę żadnych ślubów. A chwilowo też nie chcę księcia. Wystarczy stomatolog z narzędziem, które usunie mój szew. I potem możemy się rozejść, każde w swoją stronę. To znaczy on niech lepiej zostanie w gabinecie, a ja pójdę.

Życzcie mi powodzenia, bo inaczej nie zrozumiecie ani słowa z mojego programu o remontach, co go pojutrze nagrywam. Dobrze, że przynajmniej podczas pisania nie seplenię.



KONTROLA

Nie wiem, czy to ja ją zauważyłam wcześniej, czy ona mnie. Blondynka, wysoka, wiek nieokreślony. Mogła mieć zarówno czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Cienkie włosy zebrane ciasno w kucyk, wojskowa sylwetka i smutek wypisany na twarzy. Taki przeraźliwy. Doskonale widoczny z końca kolejki do kontroli bezpieczeństwa na lotnisku. Nie wiem, dlaczego zwróciłam na nią uwagę, ale chyba właśnie przez ten smutek. Nie pasował tam. Ona tam nie pasowała. Kolejka przesuwała się powoli, kobieta podawała pudełka na rzeczy, surowo wskazywała na bagaże, czasem coś przekładała i kazała zdejmować buty. Zerknęłam na swoje – zwykle nie każą mi ich zdejmować, ale może tym razem będzie inaczej. Uśmiechnęłam się, natrafiając na lodowate spojrzenie. W końcu moja kolej.

Jak najszybciej wkładam rzeczy do pudełek. Osobno elektronika, kosmetyki, lekarstwa. Wszystko w torebkach strunowych. Swoją drogą lotnisko w Warszawie to chyba jedyne miejsce, gdzie trzeba wyjmować elektronikę z bagażu. Zdejmuję buty. A co mi tam.

– A dlaczego ma dwa bagaże? – pyta kobieta.

– Lecę biznesem, mam tylko bagaż podręczny.

– To dlaczego nie stoi w fast tracku?

– Lecę ze znajomym – wskazuję na Maćka, który właśnie wyklada swój sprzęt do czterech pojemników.

Kobieta nie słucha; pochyla się nad moją torbę.

Jestem dumna, że wszystko tak idealnie zapakowałam. Siedem torebek strunowych – żeby nic się nie wylało. Lekarstwa oddzielnie, pasta razem ze szczotką, osobna torebka na utensylia do mycia,

osobna na perfumy. Płynów nie ma dużo: żel pod prysznic, odżywka, szampon – wszystko przelane do pojemników 100 mililitrowych, dwa razy perfumy 50 mililitrów. Pasta do zębów, maść na ugryzienia, podkład. Kobieta bierze wszystko do ręki, otwiera. Sprawdza mililitry. Kolejka się niecierpliwi.

– Ma pani złe torebki, może być tylko jedna o pojemności litra – mówi w końcu z satysfakcją.

– Słucham?

– Jedna; wszystkie płyny ma tam pani zmieścić.

Stoję jak wryta. Przez ostatnie 12 miesięcy przechodziłam taką kontrolę kilkanaście razy. Upewniam się, że kobieta ma rację. Ma. Niestety.

– No to teraz pani pójdzie tam na bok i się przepakuje do tej torebki. – Rzuca torebkę strunową na stos moich torebek strunowych.

– Ale pani dobrze wie, że nie zmieszczę tu wszystkiego – odpowiadam.

– To trzeba będzie wyrzucić. – Kobieta po raz pierwszy się uśmiecha.

– Daj, ja ci wezmę, przecież swoje kosmetyki nadałem – proponuje Maciek.

Podaję mu perfumy, które jako jedyne nie zmieściły się w torebce. W kobietę jakby piorun strzelił. Jednym susem pokonuje maszynę do prześwietlenia bagażu i staje po drugiej stronie bramki.

– Ale co ty tu robisz? – dziwi się strażnik. – Miałaś być po tamtej stronie!

Kobieta nie słucha, tylko wyrywa mu z ręki wykrywacz niebezpiecznych substancji.

– Ma pani dużo cierpliwości – słyszę cichy głos po lewej stronie – i dobry charakter.

To stojący do tej pory bez słowa kontroler.

– Ta pani zawsze tak ma? – pytam, ale lojalnie milczy.

Staję na linii przed bramką.

– No jeszcze musi się pani nauczyć, żeby stać, jak trzeba stać, a nie idzie – syczy kobieta z drugiej strony.

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo stoję.

– Idzie!

Przechodzę, dziękując sobie w duchu, że włożyłam miękki stanik, bo druty zawsze piszczą. Jest cisza.

Kobieta i tak doskakuje do mnie i zaczyna dokładną kontrolę. Każe wystawić ręce i przesuwają wykrywaczem. Na jej nieszczęście nie miałam styczności z prochem strzelniczym ani narkotykami. Jest niepokojona, ale tylko przez chwilę, bo widząc moje zdenerwowanie, nie potrafi ukryć satysfakcji i wraca na miejsce po drugiej stronie bramki.

Reszta strażników unika mojego wzroku. Nie wiem, chyba im głupio.

Odchodząc, zerkam jeszcze na kobietę. Jest uśmiechnięta. Żartuje. Po przeraźliwym smutku na twarzy nie ma śladu. Chyba zrobiłam jej dzień. Być może musiała oddać to, co dostała od innych, może oberwałam za bycie celebrytką, a może podobna blondyna odbiła jej kiedyś chłopaka. Nie ma znaczenia. Wiozłam to ze sobą do Bangkoku i potem na północ Tajlandii, i łódką na Koh Mak. Mam nadzieję, że jej satysfakcja i radość trwały choć połowę tego czasu.

CZAS

Budzę się w nocy. Bo śnią mi się głupoty, ale takie, że nawet śpiąc, wiem, że śpię. Naprawdę nie mam pojęcia, na jakiej podstawie mój mózg produkuje te obrazy. Budzę się i dziwię; w tej samej chwili. Co noc. Wstaję, palę papierosa albo wypalam pół paczki. Robię kawę, bo co tak będę palić o suchym pysku. Ekspres mi mówi, że niedługo zabraknie wody. Jakbym nie wiedziała. Wszystkiego zabraknie, bo jesteśmy idiotami. Potem, jeśli wieje wiatr, chwyta mnie nagle przejmujący lęk, że nie mam czasu. Już nie mam czasu. A jeśli nie wieje, to że po prostu czasu mam mało. Wiatr roznieca lęki. No więc nie wracam do łóżka, bo i tak nie zasnę.

Gdzie ja, do cholery, biegnę?

Koty oprotowały mój ostatni wyjazd na zdjęcia, załatwiając mi się do łóżka. Jak wróciłam, rzecz jasna, bo czemu nie. Córka pyta, czy dorośli mogą zmieniać pracę, bo ona by chciała, żebym pracowała w przedszkolu. Codziennie, wstając, obiecuję sobie, że dziś położę się wcześniej spać. Niby wiem, że kłamię, ale udaję, że nie. Przez chwilę. Pracownia, projekty, bus na zdjęcia, szukanie terminów w kalendarzu. Są dwa dni w listopadzie! Dom, córka, syn. Telewizor w tle, ja w kuchni. Córka zasypia; biorę się do sprzątnięcia. Dochodzi 23.00 – czy sąsiedzi, jak zwykle, wezwą policję na dźwięk odkurzacza? Jeszcze jedno pranie.

Nie mogę odhaczyć sześciu punktów z listy na dziś, którą zrobiłam o 6.00. Przepisuję na jutro, kiedy schnie podłoga. Nie włożyłam skarpetek, więc utknęłam przy stole. Bez skarpetek zostawiłabym

ślady. Ale przynajmniej coś robię. Na listę równie dobrze mogłabym wpisywać rzeczy, których na pewno nie zdążę zrobić. Plan na jutro: „Nie napisać felietonu, nie zrobić zakupów, nie umówić się do lekarza”. Ale bym wtedy odhaczała!

I naprawdę się nie żalę. Bo jak mnie potem w nocy budzą te galopujące absurdy, a poczucie braku czasu chwyta za gardło, i myślę o bezcelowości tego wszystkiego, i już nie śpię, to nie dlatego, że zwijam się w smutku, tylko dziko fantazjuję o zmianach. Choć jak głupia trzymam się wdzięczności za wszystko, co mam. To chyba moja najlepsza cecha.

Dokonałam jakiegoś wyboru i to jest ekstra, ale przecież nie znaczy, że nie można wybrać jeszcze raz. Nie spośród tego, co było, rzecz jasna, ale z tego, co przed nami. A poczucie braku czasu w tym pomaga, nawet jeśli przeszywa nas na wskroś. Bo jeśli ono się pojawia, to przewrotnie znaczy, że mam jeszcze czas. I to ode mnie zależy, co z nim zrobię. Czy wybiorę paniczny pośpiech i chwytność się erzaców, czy spokój, odwagę, otwartość, prawdę i uważność. W skrócie – pogodę ducha. A tej nie ma bez świadomości, tak samo jak nie ma tu puenty. Przepraszam. Jeszcze nad tym pracuję. Ale jak podejmę jakieś decyzje, to z przyjemnością Państwa poinformuję.

Trzymajcie kciuki.

RZECZY PO ZMARŁYM

Sprzątaliście kiedyś rzeczy po zmarłym?

Dokumenty, notatki, zdjęcia – to wszystko przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy odchodzi właściciel. Zapisany niedbale na rachunku z pralni numer telefonu, który na pewno był niezwykle ważny, skoro rachunek przetrwał w szufladzie piętnaście lat, list od szkolnej miłości, fotografia przystojnej koleżanki z osobistą dedykacją na odwrocie, korespondencja z przyjaciółką, która wyjechała do Australii we wczesnych latach 80. – ale cała rodzina ją pamięta, choć jak przez mgłę – więc przyjaźń, w przeciwieństwie do listów, nie przetrwała próby czasu. Nieważne czy trzymane w bałaganie, czy skrupulatnie segregowane w papierowych teczkach – większość tych rzeczy traci jakiegokolwiek znaczenie, kiedy umiera ich kontekst.

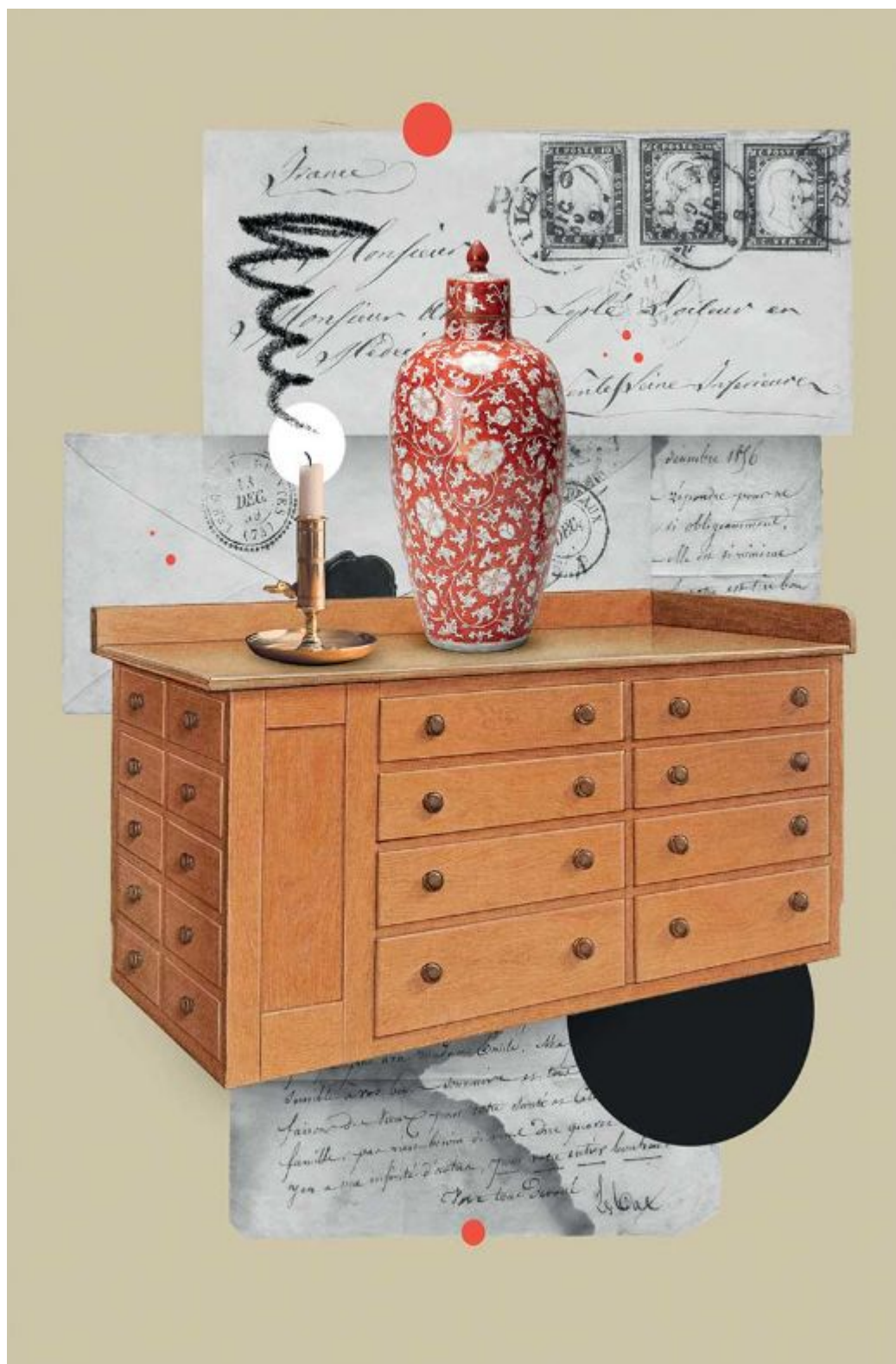
To uczucie towarzyszyło mi, gdy wraz z rodziną porządkowaliśmy rzeczy po mojej wspaniałej ciotecznej babce. Siedzieliśmy w ogrodzie przy stole tuż obok skalniaka, na który poprzedniego wieczoru rozsypaliśmy część jej prochów. Ten sam skalniak ciotka plewiła jeszcze zeszłego roku, więc miejsce wydało się całkiem odpowiednie „na odsypkę” – jak uroczo nazwała to pani z zakładu pogrzebowego, dodając, że to nielegalne, a także na zagłębienie się w sprawy niełatwe.

Kupka z rzeczami, które straciły sens i znaczenie, rosła w oczach. Wujek poszedł rozpalić ognisko – tyle papierów, a on i tak ma problem z oczami, bo tak łzawią – słońce powoli zachodziło, a świersz-

cze zaczynały swój koncert. Był nawet nietoperz, który latał wte i wewte nad ogrodem, w czym upatrywaliśmy znaku.

Pięć bliskich sobie osób, każda w skupieniu usiłowała posegregować wspomnienia kogoś, kogo nie ma. Decydowała o ich ważności. Listy z oflagu od pradziadka – do muzeum, zdjęcia – do albumu, ale na tym nikogo nie znamy, więc do spalenia, plik listów z zagranicznymi znaczkami – bierzesz jeden, mimo wpojonej zasady, że nie czyta się cudzej korespondencji, czytasz, decydujesz, że reszta też idzie do ognia. To nie twoje, to intymne, tego już nie ma i nie masz prawa.

Za każdym razem, gdy czytam pośmiertnie wydaną korespondencję czy inne rzeczy z szuflady Wielkich, poza ciekawością czuję wstyd. I zżera mnie ambiwalencja i własna słabość. Bo jakże to tak?



To był dobry wieczór. Bliski i rodzinny. Jestem wdzięczna, że umiemy to robić razem, że śmierć nie jest dla nas tematem tabu.

Ale zostawił mnie ze świadomością, ile rzeczy umiera razem z nami. Teraz, za każdym razem, kiedy robię porządek w swoich rzeczach osobistych, staram się myśleć o tym, że może kogoś z nimi zostawię. I co z tych rzeczy tak naprawdę ma znaczenie, a co jest tylko, a może aż – i to w tym przypadku wystarczy – w mojej głowie. Pozbyłam się ostatnio wierszy (słabych), które pisałam jako siedemnastolatka, kiedy rzucił mnie niejaki Igor i skończył się świat. Notatek (świetnych) z pierwszego roku dziennikarstwa, kalendarzy z końca lat 90., kiedy zaczynałam pracę w telewizji, i mnóstwa innych rzeczy. Obiecuję też sobie porządki w komputerze, choć ze wspomnieniami w wersji cyfrowej chyba jest łatwiej. Czy w ogóle otwariłabym komputer osoby, której już nie ma? Chyba raczej wrzuciłabym go do szuflady, niczym najcenniejszą pamiątkę, a w tęsknocie – ostatnią deskę ratunku, po którą nigdy nie sięgnę. Sama świadomość, że tam jest, byłaby pomocą. Niczym przeterminowany xanax w torebce, kiedy lecisz samolotem.

Staram się więc porządkować wszystko zawczasu. Od testamentu po piosenki, przy których chcę być chowana, i charakter pogrzebu. Oswajam śmierć, choć kocham życie – to po prostu jego nieodłączna część. I nie, nie widzę w tym nic niestosownego. Nie uważam, że to powinien być temat, przed którym uciekamy albo kogokolwiek chronimy. Szczególnie póki to, czego chcemy, ma jeszcze znaczenie.

KOBIETY W MOJEJ RODZINIE

Moja rodzina, odkąd pamiętam, składa się głównie z kobiet. Samodzielnych, mądrych, silnych i zaradnych. Do tego atrakcyjnych i aktywnych zawodowo. W mojej rodzinie, odkąd pamiętam, wszystko kręci się wokół mężczyzn. Tych, co byli, mogliby być albo może będą. Jak dobrze pójdzie. Moja Babcia, choć kochała mnie nad życie, skupiała się głównie na tym, żeby zadowolić kulinarnie i intelektualnie moich kolejnych parterów, być może mając nadzieję, że dzięki jej zabiegom któryś zagości w moim życiu na dłużej. A uwierzcie mi, dla jej pierogów można było zrobić wiele. Ale jak widać nie wszystko. Niemniej według mojej Babci – wybitnej redaktorki i autorki książek, najmądrzejszej osoby, jaką znałam, do tego całkowicie niezależnej finansowo i zawodowo rozwódki – prawdziwe szczęście można było osiągnąć tylko u męskiego boku. Ale żeby to zrobić, należało się porządnie poświęcić. Wiedziałaś, że robisz to dobrze, kiedy twoim jedynym celem stawało się zadowolenie partnera. I on cię wybierał, i pozwalał ci przy sobie trwać. I mogłaś o niego dbać już po wsze czasy z obrączką na palcu. Wtedy Babcia była ukontentowana i mówiła, że masz prawdziwe szczęście. Bo w mojej rodzinie żaden mężczyzna nie miał szczęścia, gdy związał się z jedną z tych niesamowitych kobiet. Za to one łapały Pana Boga za nogi, kiedy tylko stawały na ślubnym kobiercu. A przynajmniej tak się jakoś utarło.

Kobiety w mojej rodzinie nie osiągały sukcesów. Im się udawało. Nie były ładne, tylko przystojne. Specjalnie się nie stroiły, bo skromność. Oszczędzały drogie kosmetyki, które dostały w prezencie, aż

te zaczynały wydzielać specyficzny zapach starej szminki. Ale nic dziwnego, skoro data ważności minęła przed dziesięcioma laty. Kobiety w mojej rodzinie grały świetnie w brydża, ale starały się nie wygrywać z mężczyznami, na których im zależało. Umiały ugotować trzydaniowy obiad z resztek, jakie zostały w lodówce, i podzielić go między dowolną liczbę niespodziewanych gości. Komunikowały się świszczącym szeptem w kuchni – zagłuszał je gwizd czajnika – bo sprawy rodzinne załatwia się po cichu, a na zewnątrz nosi blady uśmiech.

Za prawdziwie męski wzór uznawały mojego pradziadka, który wrócił z wojny z *Virtuti Militari*, za to bez nogi i chęci do życia. Prababcia kochała go miłością szczerą i czystą, którą potem przelała w niezmienionej formie na syna, skutecznie zabierając mu możliwość zbudowania jakiegokolwiek związku z inną kobietą. Pamiętam, że jej córka, czyli moja cioteczna babka – feministka, budystka, autorka książek, niezwykle świadoma kobieta – miała łzy w oczach, wspominając, jak tatuś wziął ją raz na kolana. A może już wtedy na kolano? Pradziadek bohater raczej nie był dobrym mężem i ojcem, za to dawał się wielbić, a to kobiety w mojej rodzinie naprawdę umiały.

Miały też jeszcze jedną wspólną cechę – połączone krwiobiegami i przyjaźnią, ściągały się w dół z wielką miłością i troską. I nie wiedziały, że można inaczej. Wychowana w rodzinie tych pięknych, silnych kobiet, umiałabym napisać podręcznik, jak nie wychować szczęśliwej dziewczynki.

Mimo że moja Matka była już tego świadoma i starała się z całych sił, żebym miała poczucie własnej wartości i dumy z siły, jaką nie siemy od pokoleń, to dopiero od niedawna OSIĄGAM, a nie UDAJE MI SIĘ, i mogę kroczyć samodzielnie w poczuciu szczęścia, ale to już raczej wynik terapii, a nie jej starań.

Patrząc na moją czteroletnią córkę, drzę. Wiem już, że to, co przekazujemy, nie tkwi w słowach. Czy będę umiała zrobić to wy-

starczająco dobrze? Nasze matki zasłaniały przed nami swoje ciała, nerwowo reagowały na komplementy i nie celebrowały z nami zakupu pierwszego stanika. Nieważne, co mówiły. To przecież tak bardzo odbiegało od tego, jakie były, a my chciałyśmy być takie jak one.

Wygląda na to, że jedynym wyjściem jest stać się tym, na kogo chcesz wychować własną córkę. Szczęśliwą, silną, mądrą, piękną kobietą. Albo po prostu dostrzec, że taka jesteś.

A teraz będzie tekst, o którym pisałam na początku książki. Nie lubię go. Jest niedbały. Nieładny. A jednocześnie cholernie prawdziwy.

Wróciłam z Azji albo Hiszpanii. Już nie pamiętam. Jak człowiek postanawia w rok nadrobić 20 lat niepodróżowania, to tak się kończy. Demencją.

Następnego dnia był deadline, musiałam wysłać dwa felietony. Miałam jet lag, byłam wykończona. Swoją drogą teraz jestem zażenowana użyciem słów „deadline” i „jet lag” w dwóch sąsiadujących zdaniach. Za chwilę będę na kornerze i ruftopie. Blee.

Więc (nie zaczyna się zdań od więc) nie jestem w formie, wszystko wali mi się na głowę i niczego nie ogarniam. Przede wszystkim Mamę choroby, która spadła na nas nagle i stała się najważniejsza. Mam trzy rozgrzebane teksty na komputerze, usiłuję coś napisać, wybija 23.00, w mojej głowie około 5.00. I stwierdzam, że pieprzę to! Piszę list do przyjaciółki. Chaotyczny, o tym, co czuję i jak czuję. Nie zastanawiam się, kto to przeczyta, wyrzucam z siebie słowa i klikam Wyślij.

Potem, kiedy rozpętała się burza, błagałam Mamę o wybaczenie. To jest to słowo. Bałam się zadzwonić, więc napisałam esemesa. Nie miałam prawa wywlekać Jej choroby, czułam się z tym najgorzej.

Wicie, taka nieodwracalna rzecz, nic z tym już nie możesz zrobić.

I Ona zachowała się najcudowniej.

Bo jest najlepsza.

Mam po Niej wszystko, co najlepsze.

I dzięki Niej.

Nawet jeśli to wymagało odbicia się od deficytów.

Fajnie to poczuć.

LIST

Kochana,

przepraszam, że się nie odzywałam, ale kompletnie nie ogarniam rzeczywistości. Tydzień temu wróciłam z Azji i nie wiem wciąż, która jest godzina. Nie, nie mam jet lagu, bo mogę spać, kiedy tylko zechcę. Ze wstaniem jest gorzej, ale nie naj. Było super. Uwielbiam podróżować z Molską. Choć widok trzymetrowych fal niosących śmieci i Manili z lotu ptaka nie napawa nadzieją na dobrą przyszłości tego świata. Ale to nie wina Molskiej, rzecz jasna.

Mikołajczakowa wyprowadza się nad morze. Wiedziałaś o tym? Muszę się z nią spotkać na dniach. Ostatni moment.

Mama ma raka. Nie mówiłam Ci, bo to się nagle okazało. Za kilka godzin operacja. Powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

A wczoraj byłam na premierze spektaklu, w którym gra mój syn. Jestem z niego taka dumna! Przedstawienie genialne, Antek świetny! Zryczałam się jak głupia podczas owacji na stojąco. W antrakcie dzwoniłam do Matki, ale nie miała siły gadać. Pójdzie pewnie w grudniu, jak wyjmą jej dreny. Ale to już w Krakowie, bo pierwsza premiera była w Gdańsku – Słowackiemu zabrali dotację za Dziady. Mickiewicz się w grobie przewraca na te słowa, ale to prawda, co zrobić.

Anka umarła miesiąc temu i nawet nie byłam na pogrzebie, bo miałam finał programu. Daleko. Nieprzystawialny. Chciałam wesprzeć Misia i Manię, ale wyszło na to, że teraz to oni próbują wesprzeć mnie. Głupio wyszło.

Na Filipinach coś mnie w nocy pogryzło. Wpadłam w taką paranoję, że po powrocie włożyłam plecak do zamrażalnika na trzy dni. Na pluskwy podobno działa. No i się przeprowadziłam. A właściwie zostałam przeprowadzona, bo wszystko się opóźniło. Remont miał się skończyć przed moim wyjazdem, ale wiesz, jak to jest. Ja nie wiedziałam. U mnie się musi zgadzać. Dziwnie tak wracać po kilku tygodniach do „nie wiadomo gdzie”. Ale już się zadomowiłam. Pierwszy raz, zamiast myśleć: „O Boże, jak tu pięknie, nie mogę uwierzyć, że to wszystko moje”, czuję po prostu, że wróciłam do domu. Trochę jakbym przez ostatnie lata żyła nie swoim życiem. Było luksusowo i pięknie, ale to nie ja. Ja jestem skrzypiącą podłogą i zgrzebną klatką schodową. Ten spektakl Antka to właściwie musical, taki hipopowy. Boże, ale on jest dobry!

A wiesz, że miałyśmy z Molską pająka wielkości dwóch dłoni w łazience na wyspie? Zjadł gekona. Później mrówki roznosiły jego członki po ścianach. Sikasz sobie, a tu pochód z łapką sunie w kierunku sufitu. Potem miałyśmy zapalenie zatok w Bangkoku, ale to bez związku. Tam jest straszny smog. I duchota. I hałas. Non stop. Jeden raz, o szóstej rano, i tylko ten jeden, poczułam chłód. To znaczy może nie chłód, ale wychodząc z hotelu, nie czułam się, jakbym stała przy klimatyzatorze. Tej części, co jest na zewnątrz i dmucha gorącym powietrzem.

Teraz jest mi ciągle zimno. Nie mogę rozgrzać stóp.

Byłam wczoraj z Marią u notariusza. Matka chce pozałatwiać jakieś sprawy, a ja w sobotę jadę do Hiszpanii na trzy tygodnie. Musiałam ją upoważnić do różnych rzeczy. Nie, nie na wakacje, remont robię. Do pracy. Na razie nie swojego, ale kto wie? Być może trzeba się wynosić z tego kraju. Cały czas myślę, że może nie powinnam jechać? Sis twierdzi, że ciągle uciekam. Nie kłócę się z nią, choć mam argumenty. Bo przecież wszystko jest super. Od czego bym miała uciekać? Od braku czasu na życie czy braku życia? Za wielką miłością będę tak samo tęsknić pod każdą szerokością geo-

graficzną. Ale w ciepłym jest milej, co? Kończę, bo jeśli chcę dziś jeszcze pojechać do szpitala, to muszę ogarnąć czasoprzestrzeń. Trzymaj kciuki. Odezwę się.

Całuję.

Do



MATKA

Lato się kończy – obwieszczam ponuro zawsze w okolicach czerwca, ale oczywiście nikt mi nie wierzy. Więcej, patrzą na mnie jak na wariatkę, a potem szast-prast i już jest koniec sierpnia. No i się okazuje, że miałam rację. A nie mówiłam? I tak co roku.

Zresztą ten czas to w ogóle jakoś przyspieszył. Widzę tylko kolejne pory roku, nie wiem, kiedy co się zdarzyło – w środę, w kwietniu czy jesienią. Świat się starzeje razem ze mną, moimi dziećmi, nawet Matką, a byłam pewna, że ją to ominie.

Ja wiem, że tu się teraz mogą pojawić myśli oburzenia, a nawet głosy, jeśli ktoś lubi tak sobie mamrotać pod nosem, czytając. Ale nie martwcie się, szczęśliwie w mojej rodzinie jest przyzwolenie nie tylko na starzenie się, a nawet umieranie, ale przede wszystkim na to, żeby głośno o tym mówić. Ja tam się lubię starzeć, serio. Mam nie tylko więcej czułości dla siebie, ale przede wszystkim dla bliskich. A moja Mama na przykład występuje w dwóch osobach – jedna ma koło „80” i raczej katastroficzne podejście do świata, druga zaś niedługo skończy 15 lat.

Ta pierwsza przychodzi do mnie i właściwie już od wejścia wychodzi, bo mam za gorąco. I ona się martwi, i dusi, i chodź zapalić na balkon.

– Nie wiem, jak ty możesz w tych remontach, bo ja jestem ledwo żywa – zaczyna – i już o was nie zadbam. Dlaczego to dziecko tak skacze? Antek, trzymaj ją! Przecież ty nie masz prawa jazdy. Jak ty sobie poradzisz? Za ostre to jedzenie, masz śmietanę? Tu do

szklanki sobie włożę i zmieszam, nie chcę talerza, po co brudzić. Ty chcesz, żebym ja cię odebrała z tego szpitala? Co mam ugotować? Jajeczka jakieś zrobię. Jak to nie obchodzisz? Magda zaprasza na śniadanie wielkanocne, możesz u nich też przecież leżeć. Jak to w niedzielę? Ja się o ciebie tak martwię. Ja już jestem bardzo stara, mam sześćdziesiąt pięć lat. Czy ja mogę mieć jedno ładne zdjęcie z tym dzieckiem? No Dorotka, nagramy coś na Instagram? No chooodź. Ale ty jesteś. Idę, bo taka już jestem ledwo żywa. Antek, chodź, odprowadź babcię. – I wychodzi.

Oczywiście mogłabym pograżyć się w ciężkiej depresji od tego ładu emocji, gdyby nie to, że wiem o tej drugiej.

Moja niespełna piętnastoletnia Matka odwiedza mnie raptem tydzień później i nawet zostaje na dwa dni. Można z nią zwariować. Na przykład wszędzie rozrzuca książki (mój syn robi to samo ze skarpetkami). Zabija szerszenia Vonnegutem, więc przepada na godzinkę w dziwnej pozie obok jego truchła (nie Vonneguta), bo się zaczytała. Wstaje o 6.00, żeby czytać o serialu Przyjaciele. Kończy o 11.00, książka nadal leży na balkonie. W jednej łazience rozłożony Wilk stepowy, w drugiej Szpetni czterdziestoletni. Na kanapie Barańczak, co go jej na pewno ukradłam.

Poza generowaniem bałaganu literackiego ma na pieńku z elektroniką. Wszelką. Ale jak zachodzi potrzeba, by pójść do mojego biura za miedzą, to zgłasza się na ochotnika. Co ma wspólnego elektronika z tą wycieczką? Otóż kod do bramy, kod do furtki i kod do alarmu. Obiecałam wszelkie wsparcie i nawet włączyłam dzwonek w telefonie, żeby mogła się ze mną skomunikować, jak już będzie u kresu. Kres nastąpił 8 minut później.

– Wyje! – darła się słuchawka. – Ogłuchnąć można.

– A wbiłaś kod?

– Jak miałam wbić? Tu nie ma żadnych przycisków. I tylko siedemnaście sekund miałam!

– A dotknęłaś ekranu?

– Dotknęłam, ale nic tu nie ma!

Na szczęście poza dźwiękami alarmu, który słyszałam zarówno przez uchylony balkon, jak i przez telefon, pojawiły się też piknięcia świadczące o tym, że jednak coś tam jest.

– Rozbroiłam.

– Super. To teraz po prawej stronie masz szafę i tam są dokumenty. – Cisza. – Mamo?

– Tu nie ma żadnej szafy.

Jak już rozwiązałyśmy problem szafy, włączenia alarmu (kolejny telefon) i tego, czy na pewno został włączony (jeszcze kolejny), i wyglądało na to, że będzie dobrze, przyszło połączenie wideo. Mama. Odebrałam. Ekran pozostał czarny, za to zdyszany głos wykrzyczał:

– Nie, Dorotka, nie dzwonię do ciebie, próbuje tylko wyłączyć lartarkę.

Byłam z niej bardzo dumna. Choć piętnastoletnia Mama wywołuje też u mnie czasem konsternację, kiedy patrzy na mnie nagle z czułością i wskazując ławeczkę na balkonie, mówi:

– No dobra, to teraz chwila dla ciebie. Siadaj. – Siadam grzecznie, bo to jednak matka. – Możesz mi dać ten „Przekrój”, ale na zawsze? – pyta, wskazując gazetę.

– Oczywiście.

– To dobrze, bo tam są ćwiczenia oddechowe – mówi, zaciągając się papierosem.

– Mamuś, ale jeśli chwila dla mnie ma tak wyglądać, że ci daję rzeczy, to już była wczoraj, jak znalazłaś moją szufladę z okularami.

– Nie, no co ty. Poza tym okulary mi byłaś winna, bo tamta twoja koleżanka złodziejka ci ukradła te moje.

– Moje, bo mi je dałaś.

– Trzysta euro kosztowały.

– Kupiłaś je w outlecie za trzydzieści.

– Ale były warte trzysta.

RAZEM

– Chodź, napiszemy coś razem – mówię do Mamy w jej kuchni, gdzie jest za dużo rzeczy.

W całym domu jest za dużo rzeczy, ale jakimś cudem nie ma tych, które są niezbędne. Nie ma miksera, małych garnków, głośnika z Bluetooth, ekspresu do kawy ani pasujących kołder i powłoczek. Jest za to z 6 kanap, 30 dywanów, ze 20 stolików kawowych (po cholere, skoro nigdy nie ma kawy?) i pomocników, i 7 stołów. Jeden stoi nawet w łazience zamiast wanny, którą Mama kazała wynieść, bo była niewygodna. Nie wiem, czy stół jest wygodniejszy, ale co ja tam w ogóle wiem.

– Dobra – odpowiada. – To zacznij.

– Już zaczęłam, chcesz przeczytać?

Czyta.

– Po pierwsze, nie ma trzydziestu dywanów. Musisz to napisać – mówi, więc notuję. – Po drugie, nazwa stoliki kawowe jest beznaoczna, bo to są stoliki do wszystkiego. Po trzecie, garnki mi obiecałaś na urodziny w dwa tysiące dwudziestym drugim roku; mówiłaś, żebym nie kupowała, bo kupisz. Mikser wystawiłaś przed świętami na mróz, bo się zaczął palić, jak miksowałaś ser na sernik, ale szczęśliwie po świętach i dwukrotnym zmoczeniu przez deszcz okazało się, że działa, więc wrócił do kuchni. – Na jej twarzy widzę wyraźną satysfakcję.

– Ale wiesz o tym, że to nie był mikser do sera? Nie miałaś innego. To był ręczny blender – tłumaczę.

– Na pewno! Dlatego jak miksuje, to robię powoli, z przerwami, a poza tym chcesz, żebym mieszkała w Warszawie, a ja w Warszawie nie będę miała takiego widoku...

– Inny będziesz miała, może ładniejszy – przerywam z nadzieją – możemy znaleźć parter z ogrodem przecież...

– Ale tu mam widok na osiemdziesiąt metrów trawnika, kalinę przyciętą, w zeszłym roku przyfrunęła biała czapla i dwie kaczki... – i wylicza dalej.

– To jest nudne, przestań. Przeprowadź się, proszę.

– Tu mam przyjaciół, przyrodę, psy, koty, sąsiadów, sarny dwieście metrów od domu, w lesie.

Tu wtrączę, że Mama nie ma kotów ani saren oraz ma płot, więc nawet obce sarny nie miałyby szans. Las za to jest pół kilometra w prawo i była tam ostatnio w 2007 roku. Jeżeli chodzi o przyrodę, to w okolicach lutego są tu błotniste połacie z zielonymi plackami starej trawy i suchymi brązowymi kikutami. Ale oczywiście polemizowanie z jej argumentami nie wchodziło w grę. Mimo to próbowałam dalej.

– Przyjaciół masz w Warszawie. Jakich masz tu przyjaciół poza Marzenką?

– Ołę, Agnieszkę...

– Mamo! One mieszkają w Warszawie!

– Ale tu przyjeżdżają, bo przyjaźń nie zależy od tego, gdzie mieszkasz.

– Wiesz, że sobie przeczysz? Bo w takim razie Marzenka też by przyjeżdżała.

– Zagrasz w kości? – pyta pojednawczo, ale odpowiadam, że nie, bo muszę pisać.

No i tak siedzimy. Widzę ją zza ekranu komputera. Gra w kości. Ze sobą.

– Wygrałam! – cieszy się, jak ma generała z ręki. Wygrywa też, jak gra z kimś, więc to nie dlatego, że teraz sama.

– A wiesz, że mówię o tobie mama, nie matka, odkąd miałaś operację, mimo że wszystkim zawsze tłumaczyłam, że matka nie jest nacechowana pejoratywnie. Że u nas tak się mówi.

– Bo w „matce” jest coś dostojnego – odpowiada. – A jak będziesz mówiła, kiedy umrę? Mamunia?

– No to ja bym wołała, żebyś zamiast umierania się przeprowadziła.

– To ja też! Jeśli miałabym wybierać, to zdecydowanie wybieram przeprowadzkę. Jezu, mięso miałam zrobić! – Zrywa się nagle i idzie do lodówki. – Już je wczoraj zamarynowałam.

– Ja nie jem mięsa.

– To strasznie szkoda, bo będzie pyszniętkie.

Podchodzę i podaję jej patelnię.

– Zobacz, jak spada, nie znoszę tej płyty. Nic się nie mieści. Muszę nową kupić. Ale może już do nowego mieszkania – mówi.

Głupieję. W kuchni, w której jest za dużo wszystkiego, za to nie ma rzeczy, które są naprawdę potrzebne, łącznie z płytą gazową właściwych rozmiarów.

Nadal jesteśmy w tekstach najbardziej osobistych, tylko pojawia się podkategoria – pisane ze zmęczenia, bezsilności i wkurwienia.

Tyle.

Aha, i zdradzę Wam sekret.

Spoiler.

Na końcu to ja zabiłam.

GRANICA

Budzik 5.40. Po pięciu godzinach snu zaczynamy drugą zmianę. Byłoby sześc, nawet powinno, ale przez pierwsze 60 minut nie możesz opanować bicia serca, emocji, a w mózgu masz otwartych kilkadziesiąt zakładek. I nasłuchujesz, czy nie przyjeżdża autokar, ale jest cisza. Niby wiadomo, że między 22.00 a 6.00 w Ukrainie jest godzina policyjna i ostatnio nocą karmimy tylko służby, ale i tak spodziewasz się wszystkiego. Potem niepostrzeżenie odpływasz.

Otwieram oczy i przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Szelest śpiwora Gosi i spokojne mruczenie agregatu wytwarzającego prąd włączają autolokalizator. Lubycza Królewska, punkt recepcyjny. Tu, czwartego dnia wojny, Kacper Salzman przywiózł swoje grille, namiot z logo Grill Bastards i razem z przyjacielem, szefem kuchni Julkiem Karewiczem, postanowili karmić ludzi. Przez kolejne dwa tygodnie obrośli we wszystko. W wolontariuszy, którzy przyjeżdżają gotować i serwować posiłki, w tych, co wpłacają na zbiórki, bo jedzenie jest oczywiście za darmo, w firmy dostarczające potrzebne produkty, w setki przyjaźni i powodującą niewiarygodny wyrzut endorfin wdzięczność i radość tych, których karmią.

Koncept, dzięki naszym gościom, zyskał nawet nazwę Swinina-Bar. Sami przyznaliśmy sobie 3 gwiazdki Michaiła. A co!

Wygrzebuję się ze śpiwora i wkładam trzy warstwy ubrań na to, co mam na sobie. Wszystko jest przesiąknięte dymem i zapachem smażonego tłuszczu. Myję zęby i twarz. Nie ma sensu brać prysznic, bo przyjechałam tylko na dwie zmiany. Po chwili uderza mnie

mroźne powietrze poranka. Michał i Iwan zdają kuchnię, noc była spokojna. Jeden bus. Na zimnym grillu karkówka w gwień, jak mówią na pojemniki z nierdzewki. Wygląda jak przyrządzona metodą sous vide. Będzie idealna do chilli con carne. Stawiam pięćdziesięciolitrowy garnek na palniku i zapalam gaz. Dochodzi reszta zmiany.

Karkówka, kurczak, kiełbasa, barszcz, warzywa z kminem rzymskim dla wegetarian, zupa chrzanowa i kartoszki. Kartoszki są najważniejsze. Są jeszcze lawasze, czyli parówka zawinięta w tortillę. Ryż na słodko, który zrobiłam dla dzieci, nie schodzi. Dzieci wołają sosiczki.

Jacek puszcza muzykę – tupiemy w miejscu, zanim ogrzeją nas grille.

Najpierw przychodzą służby. Policjanci, strażacy, OSP, wolontariusze. Chłopaki z Jagodą zaraz ruszają do Ukrainy po ludzi, u kawalerów maltańskich też zmiana warty. Nie otwierasz wiadomości, wiadomości dosłownie przychodzą do ciebie. Nad ranem ostrzelali Łuck, korytarze humanitarne otwarte, na granicy na razie spokój, nie ma zastoju. Nikt nie wie, kiedy przyjadą autokary, ilu ludzi będziemy dziś karmić. Za to powoli przychodzą z punktu recepcyjnego – kilkadziesiąt osób, które spędziły noc w Lubyczy. A może kilkaset? Dziennie SwininaBar wydaje ponad 1000 posiłków. Pysznych. I tu też powstają jakieś miliardy kilowatów dobrej energii.

Kolejne godziny to ciężki fizyczny zapierdol. Przyjeżdżają kolejne autokary, dym szczypie w oczy, kończą się kartoszki, brakuje gazu. Jeden z policjantów pomaga nam podłączyć nową butlę.

– Przed chwilą jakiś czteroletni chłopiec spytał mnie, dlaczego do nich strzelamy, uspokoił się dopiero, jak mu dziadek wytłumaczył, że to nie my. Kurwa, jemu się z tym zawsze będzie mundur kojarzył – klnie.

Jesteśmy potwornie zmęczeni. Wiem, że jak usiądę, to nie wstanę. Wtedy Gośka pokazuje esemesa od kogoś z Torwaru: „Przy-

jechali ludzie od Was, dawno tak dobrze nie jedli, ale najważniejsze, że poczuli się jak na jakimś festiwalu rockowym, a nie jak na wojnie”. I w tym momencie masz już siłę na wszystko. Kolejne 30 kilogramów karkówki, nastawić warzywa, kończy się barszcz.

Patrzę na telefon. Nieodebrane od Kaśki. Oddzwaniem. Słyszała, że jestem na granicy, od dwóch dni usiłuje ściągnąć rodzinę z małymi dziećmi spod Lwowa, może pomogę.

– Kto ma telefon do Jagody? – pytam.

Mają. Wysyłam do Kaśki i piszę, że Jagoda powinna być już gdzieś pod Lwowem, więc trzeba się pośpieszyć. Kilkanaście godzin później rodzina jest w Warszawie.

Powoli zapada noc. Temperatura spada do 10°C poniżej zera. Rozlega się kolejny dzwonek w punkcie recepcyjnym. Dzwonek szkolny. To znak, że za chwilę rusza autokar.

– Kraków desiat’ chwyłyn. – Głos przez megafon informuje, że za 10 minut jest odjazd do Krakowa.

Jacek ciągnie mnie do koksownika przy wejściu do punktu recepcyjnego. Jeden z wolontariuszy gra na gitarze, ukraińskie dziewczyny tańczą, z talerzy i pudełka ktoś zrobił zestaw perkusyjny, pojawiają się kolejne instrumenty. I tylko kamizelki odblaskowe oraz wóz policyjny pełen maskotek przypominają, że to nie jest biwak.

Koncert przerywa dziewczyna z punktu recepcyjnego.

– Mamy dla was kanapki!

Idę za nią. Okazuje się, że przyjechali z Krakowa po ludzi, ale całe busy są wypełnione jedzeniem.

– Ksiądz powiedział na mszy, że jedziemy i może ludzie zrobią kanapki, no i się nie spodziewał, że będzie ich tyle. Resztę zostawiliśmy po drodze w innych punktach, wy już jesteście najbliżej granicy – mówi przemiły gość przepaszająco.

Biorę policjantów i wypakowujemy pełne kanapek busy obok naszego namiotu. Co my, kurwa, zrobimy z tysiącem kanapek o 20.00

przy minus 12°C? Biegnę do wojskowych, którzy obsługują autokary.

– Zanim odjedziecie, przychodźcie do nas po kanapki, inaczej się zmarnują, okej?

Chłopaki przytakują. Kawalerowie maltańscy rano jadą do Ukrainy, przewiozą resztę przez granicę. Tylko musimy je przenieść, żeby nie zamarzły. Słodkie bułki, rogaliki, kajzerki z serem. Serwetki z ludowym printem, do każdej przyklejony cukierek. Mnóstwo miłości. Padam z nóg. Wracam do wydawki, zaraz kończy się nasza zmiana, ale jeszcze trzeba ogarnąć jedzenie na kolejny dzień.

Po raz kolejny ktoś mnie poznaje i chce zdjęcie. Irek ze Śląska, z którym pracuję od rana, patrzy na mnie coraz bardziej podejrzliwie. W końcu pyta:

– Ej, a ty coś robisz czy to tak dziś?

– Coś tam robię, ale to nie ma znaczenia – odpowiadam i wracam do smarowania tostów na rano.

Trzeba zrobić trzy pudełka, żeby poranni mieli łatwiej. Ale nie mówię tak, żeby go zbyć. Bo to naprawdę nie ma znaczenia. Żadnego. Tak jak to, że Magda jest fotografką jedzenia, Gosia – producentką telewizyjną, Jacek ma firmę meblową, a chłopaki obok są kawalerami maltańskimi. Policjanci, strażacy, OSP, wolontariusze, władze samorządowe – przecudowni ludzie, którzy stają kilka metrów powyżej wysokości zadania. Tam nie jest ważne, w co wierzysz, jakie masz poglądy polityczne i czym się zajmujesz. Nic nie jest ważne. Nawet jak ktoś pytał potem, czy nie baliśmy się, że coś się wydarzy – przecież bomby spadały 30 kilometrów od nas. Nie. Tam o tym nie myślisz. Masz zadanie do wykonania. Po prostu. Inna czasoprzestrzeń, inne siły, inne spojrzenie i perspektywa. Nigdy nie czułam się tak zmęczona i tak szczęśliwa, jak w drodze powrotnej. Na tylnym siedzeniu ukraińska rodzina. Babka nierozumiejąca zupełnie, dlaczego Polacy pomagają, i próbująca dociec, co z tego mamy. Ona zna przecież historię. Jej wnuczka nastolatka tak

strasznie zawstydzona pytaniami babki, które tłumaczy na angielski, i pomiędzy nimi sześciolatek zmęczony drogą. W drugim samochodzie matka i pies. Tacy jak my. Normalna rodzina. W dobrych ciuchach, z planami i marzeniami. Mają mieszkanie w Warszawie na tydzień, potem się zobaczy. A my za tydzień wracamy do Lubyczy, a potem się zobaczy.

WOJNA RELIGIJNA

„Jak wywołać wojnę religijną i stracić wiarę w ludzi” – taki powinien być clickbaitowy tytuł tego tekstu. Albo „Zamilknij, Szelańska”. Ale od początku.

Ledwo zawitałam do przecudnej hiszpańskiej miejscowości pośrodku niczego, za to nad brzegiem oceanu, by nareszcie skończyć książkę, prokrastynacja wzięła górę. Więc jak już ugotowałam i wyprałam, to postanowiłam zostać influencerką i w końcu zabrać się do mojego Instagrama. Q&A – kojarzycie? Ludzie zadają pytania w specjalnym okienku, a potem ty odpowiadasz. Było o tym, czy mam chłopaka, jaką farbą co pomalować, jak przełamać lęk przed lataniem i po co się znowu przeprowadziłam, a potem: „Czy wiara jest dla Pani ważna?”. I tu powinnam się była zatrzymać. I przejść do kolejnego pytania. Albo odpisać: „Tak”, bo w końcu jest, i nie wdawać się w szczegóły. Ale nie, oczywiście nie mogłam tak zrobić, bo nie posiadam instynktu samozachowawczego, i postanowiłam wytłumaczyć co i jak. Kretynka – napisałam Wam o tym we Wstępie. Więc odpowiedziałam, jak poniżej.

Wiara, nadzieja, miłość. Ale zdecydowanie nie jest to wiara katolicka. Nie z powodu afer w Kościele, pedofilii czy powiązania Kościoła z państwem. Po prostu nie zgadzam się z wieloma założeniami katolicyzmu – to nie są rzeczy, z którymi można dyskutować – Kościół katolicki, jak każdy inny, to przede wszystkim zbiór zasad, które obowiązują wyznawców. Tu mamy między innymi zakaz antykoncepcji, in vitro, medycyny chińskiej, akupunktury, jogi, związków jednopłciowych oraz wyrażony kilkukrotnie przez głowę Kościoła stosunek do wojny rosyjsko-ukraińskiej. Mówienie:

„Ja jestem katolikiem, ale nie chodzę do kościoła, jestem za in vitro i popieram społeczność LGBT” jest czystą hipokryzją. Szanuję osoby będące członkami różnych kościołów, ich wiarę i przekonania. Wierzę w Boga jako siłę wyższą, miłość i dobro.

I zanim opowiem Wam, jak internet zapłonął, to będzie errata. No bo dlaczego na początku wymieniłam te wszystkie niewygodne rzeczy, które są zwykle powodem odejścia z Kk, a potem napisałam, że nie o to, nie o to.

Bo nie o to.

Kiedyś mój przyjaciel franciszkanin, ojciec Lech, bardzo pięknie odpowiedział na utyskiwania wiernych na swoje parafie i księży. Kojarzycie, jak ludzie mówią: „Jestem wierzący niepraktykujący! Nie chodzę do kościoła, bo nudne msze i ksiądz gada głupoty z ambony”. Wiadomo, że nie w każdym kościele gadają głupoty. No więc Lech powiedział: „Jak człowiek chce znaleźć dobrego fryzjera, to po odwiedzeniu tych na osiedlu, jeśli nie spełnią jego oczekiwań, nie rezygnuje z usługi, tylko szuka dalej. I jeździ nawet na koniec miasta do takiego, który jest dobry”. I trudno się z tym nie zgodzić. Ja znam nawet kogoś, kto jeździ z Warszawy do Poznania. Serio.

„Kwestia pedofilii i wszelkich innych nadużyć wobec słabszych to nie tylko Kościół”. Taką odpowiedź zwykle słyszy ktoś, kto śmie wyciągnąć ten miecz. I jest to prawda. Z drugiej strony, to oczywiście głupie, tak jak: „No i co, że pani pomagała na granicy ukraińskiej? A na białoruskiej to co? Dzieci tam umierają!” albo klasyczne: „Inni mają gorzej”. Oczywiście kiedy rzecz dzieje się w miejscu zaufania publicznego – w szkole, Kościele właśnie – uderza nas to mocniej. Ale kłamstwem byłoby stwierdzenie, że to jedyna instytucja, gdzie dzieją się złe rzeczy.

Prawdziwym problemem jest tu społeczeństwo i państwo. Po pierwsze, my nie chcemy widzieć i wierzyć. To niewygodne. Wychowani w duchu „dorosły ma zawsze rację” oraz „dzieci i ryby głosu nie mają”, zwykle nie reagujemy. Tych, co to robią, czeka fala

hejtu i ostracyzm społeczny. A jeśli jakaś instytucja właściwie nie podlega prawu, tylko załatwia swoje sprawy we własnych strukturach, to zaczyna się prawdziwy dramat. Kościół nie może stać na piedestale. Księża to ludzie tacy jak my. Popołniający błędy, przestępstwa, mylący się. Nie rozumiem dlaczego, wobec udowodnionych przypadków ukrywania pedofilii, nie toczą się postępowania karne przeciwko tym, którzy zawinili. Prawie nikt tego nie rozumie.

Nie rozumiem też dlaczego, skoro wszelkie fundacje, których jedynym celem jest pomaganie innym, muszą się rozliczać z każdej złotówki, przygotowywać szczegółowe raporty i naprawdę, uwierzcie mi, sprawy papierkowe pochłaniają zwykle 70 procent ich czasu, to prawo podatkowe dla Kościoła katolickiego jest tak ogólne, że właściwie można wszystko. Bo to nieprawda, że Kościół nie płaci podatków – ale to możecie sobie sprawdzić w trzy minuty w internecie.

Nie wspominam już o funduszu kościelnym finansowanym z podatków, które płaci każdy z nas, bo dopóki ponad 80 procent społeczeństwa deklaruje, że jest związana z wiarą katolicką, dopóty w imię demokracji nie mam nic do gadania.

To wszystko są bardzo proste zagadnienia. Niewykraczające poza podstawową wiedzę. To nie biologia molekularna ani skomplikowane zagadnienia teologiczne. Podaję fakty. Nic więcej. Odnoszę się do nich jako zwykły obywatel. Nie celebrytka, projektantka wnętrz czy córka Grocholi.

Swoją drogą to zabawne, że z jednej strony ludzie oczekują od celebrytów wskazówek, jak żyć, nie szczepią się, bo jakaś piosenkarka ich przestrzegła, odchudzają się w sposób groźny dla życia, bo prezenterka tak schudła, a z drugiej, kiedy ktoś wyrazi swoje zdanie w prostej sprawie, która nie wymaga wiedzy niedostępnej dla normalnego człowieka, to musi się mierzyć z lawiną hejtu. Tak jest w kwestii polityki i religii.

Naprawdę nie trzeba kończyć politologii, żeby mieć prawa wyborcze. Ani teologii, by przynależeć do Kościoła. Być może niestety.

Staram się nie wypowiadać na temat tego, o czym nie mam pojęcia, choć – jak każdemu – czasem coś mi się wymysknie. Ale raczej nie w przestrzeni publicznej. Bo czuję odpowiedzialność. Po prostu.

No dobra, ale tu dopiero dochodzimy do meritum. Bo to co powyżej, to przecież wytłumaczenie, dlaczego nie skupiłam się na tych rzeczach, argumentując, że nie czuję się katoliczką. Skupiłam się na innych. Na oficjalnym stanowisku Kk wobec ważnych dla mnie zagadnień. Oficjalnym – powtórzę. Nie krytykowałam go, nie dyskutowałam, nie przekonywałam nikogo do swojej racji. Po prostu nie znoszę hipokryzji. Deklarując przynależność do jakiejś organizacji, która ma jasno określone zasady, zgadzamy się na nie. Kropka. Ja się nie zgadzam, więc nie przynależę. Nie można być trochę w ciąży. Szanuję wiarę i poglądy innych ludzi. Szanuję też swoje. Można żyć obok siebie i pięknie się różnić. Tak myślałam. Bo jednak nie można. To pokazały mi kolejne godziny.



Najpierw Wam zacytuję niektóre z tytułów, jakie po kilkunastu minutach pojawiły się na portalach plotkarskich:

„Dorota Szelałowska ostro o wierze: Nie zgadzam się z założeniami katolicyzmu! Wierzę w miłość i dobro”.

„Dorota Szelałowska o Kościele – katolików nazywa hipokrytami”.

„Dorota Szelałowska punktuje katolicyzm – nie gryzła się w język”.

„Dorota Szelałowska o wierze katolickiej – bliskie są jej inne wartości”.

No, jeśli wiara, nadzieja i miłość według autorów nie są bliskie katolicyzmowi, to co ja poradzę...

Tu już mogłyby mi opaść ręce, gdyby nie komentarze. Z nich dowiedziałam się, że jestem pustakiem, nic nie wiem, nie studiuję Biblii, jestem żydówką, Jezus to miłość, pluję na Kościół, plucie na Kościół jest modne, wszyscy celebryci to idioci, kiedyś to były gwiazdy, Urban jest moją rodziną, a nawet bratem mojej Mamy, płaci mi Tusk, jestem lewakiem, nic nie potrafię oraz jak mogę kogokolwiek oskarżać, skoro go nie znam, a ten ktoś mnie o nic nie oskarża. A jeden miły pan zasugerował nawet, że już niedługo się dowiem, jak jest po drugiej stronie. Mama mi opowie, jeśli zamówię seans spirytystyczny. Mama na razie nigdzie się nie wybiera, jakby co, ale owszem, umówiliśmy się już dawno – tak na wszelki wypadek – że damy sobie znać co i jak.

I jeszcze jakaś pani uważa, że gówno wiem, bo w ich kościele było tyle zbiórek dla Ukraińców, że głowa mała, a inna w wiadomości na Instagramie mi pisze, że nie można być za aborcją i miłością jednocześnie. A gdzie ja napisałam słowo o aborcji? – pytam. Już nie odpisuje. Chyba mnie zablokowała.

I tak oto przestałam się dziwić, że w wojnach na tle religijnym w imię Boga zginęło kilkanaście milionów ludzi.

Oczywiście dostałam też mnóstwo mądrych, wspierających wiadomości, ale i mnóstwo takich, co miały wspierać, ale mądre nie były. „To właśnie ich katolickie miłosierdzie! Wyszło sztydło

z worka”, „Kościół ogłupia ludzi, niech się pani nie przejmuję”, „Złodzieje i pedofile”. No właśnie nie. Nie, nie, nie. To się niczym nie różni od pudelkowych komentarzy. Tylko wektor inny.

W tym wszystkim w ogóle nie chodzi o to, jakie kto ma poglądy i w co wierzy. Chodzi tylko i wyłącznie o szacunek do drugiego człowieka. O to, żeby nikogo nie umniejszać. Nie czuć się lepszym i mądrzejszym. Niby proste, a jak człowiek to czyta, aż łaskocze w środku...

Bo wiecie, ja byłam katoliczką. Praktykującą, pielgrzymującą, przyjmującą sakramenty. To był piękny czas. Czy miałam wtedy inne poglądy? Pewnie trochę tak, ale przede wszystkim była to kwestia świadomej decyzji. Jeśli wybieram, to zgadzam się na zasady. Nie praktykowałam wtedy jogi, nie stosowałam antykoncepcji, co niedzielę chodziłam na mszę, w piątki nie imprezowałam i nie jadłam mięsa. I wiecie co? Nigdy nie spotkałam się z takim wykluczeniem. Moje supertolerancyjne środowisko ludzi kolorowych, o różnych poglądach, patrzyło na mnie, jakbym zwariowała. Jak na kogoś głupszego i gorszego. Wtedy zrozumiałam, że niezależnie od tego, po której stronie stoisz i jak bardzo jesteś przekonany o swojej racji, nie wolno na nikogo patrzeć z góry ani bagatelizować jego przekonania. Szacunek i empatia. Po prostu. Inaczej stajemy nad przepaścią, przeciągając linę. Albo oni, albo my. A zupełnie nie o to chodzi.

Pewnie jesteście ciekawi, co się takiego wydarzyło, że bycie członkiem Kościoła zaczęło mnie uwierać, skoro wiara była dla mnie taka ważna. To nie był jakiś nagły przebłysk, tylko proces. Dostyć długi. Katolicyzm jest nam tak wpojony, że na samą myśl o tym, że można z niego zrezygnować, czujemy, jak piekielne języki pieszczą nasze pięty. Poczucie winy to broń dużego kalibru. W końcu jednak stwierdziłam, że wolę nie być katoliczką niż być hipokrytką. Tak w dużym skrócie. Najbardziej to czułam podczas rozvodu kościelnego, który nie jest ani rozwodem, ani unieważnieniem małżeństwa, tylko stwierdzeniem jego nieważności. Tak jakby nigdy

nie zostało zawarte, bo zaistniały przesłanki, które to uniemożliwiały. Cały proces trwał dwa lata, nikt nikomu nie dał łapówki, księża ślęczeli nad aktami dotyczącymi intymnych szczegółów naszego życia, przesłuchiowano świadków, a kościelni prawnicy dostali niezłe wynagrodzenie. A ja czułam niesmak. Taki porządny. I miałam wrażenie, że nijak to wszystko ma się do tego, co wiedziałam o wierze i sakramentach. No a potem się okazało, że jesteś jednak wykluczony, jeśli nie zamierzasz brać kolejnego ślubu i nie zamierzasz też żyć w czystości. I w ogóle co znaczy czystość? No i później pytania już poszły lawinowo i zdałam sobie sprawę, że moje odpowiedzi i odpowiedzi Kościoła są na dwóch biegunach. Wiem, że niektórzy przymykają na to oko i po prostu żyją dalej albo podejmują dyskusję, stają się wierzącymi niepraktykującymi, ale właśnie to jest dla mnie hipokryzją. Bo nie ma czegoś takiego. Bycie katolikiem opiera się na praktykowaniu w tym, a nie w innym nurcie.

Więc oto jestem. Popierająca in vitro, dostęp do antykoncepcji, wiedzy, opowiadająca się za legalizacją związków jedнопłciowych. W imię równości wobec prawa. I szacunku. Niekatoliczka. Wierząca. Na razie nieprzynależąca. Jeżeli ktoś widzi w tym atak albo – jak jedna z komentujących pań – nagonkę, nic na to nie poradzę. Ale wiem jedno – jeżeli jak najszybciej nie nauczymy się słyszeć siebie nawzajem, to nie ma dla nas ratunku. Słyszeć, nie słuchać, nie rozmawiać, nie rozumieć. Słyszeć i akceptować. Możemy myśleć inaczej i szanować swoje poglądy. Nadal w to wierzę, choć chyba mniej niż w Boga.

SYNDROM GOTOWANEJ ŻABY

Dzień dobry. Nazywam się Dorota. Właśnie zadzwoniła do mnie moja Mama. Słabo było ją słyszeć, bo kupowała śpiwory dla uchodźców koczujących na granicy z Białorusią i chciała tylko zapytać, ile kupić ode mnie. Przerwała mi tym telefonem operację bankową – przelewałam pieniądze na najdroższy lek świata dla kolejnego dziecka, które walczy z SMA. Swoją drogą myślę, że rząd powinien się jakoś dogadać z Siępomaga czy Zrzutka.pl i rodzicom dzieci z niepełnosprawnościami czy wadami wrodzonymi dawać w pakiecie login i hasło przy wypisie ze szpitala. Takie becikowe plus. W końcu przez kolejne -dziesiąt lat będzie to główne źródło utrzymania tych rodzin. Brutalne? A może absurdalne? Nie wiem. Jestem Polką, a to znaczy, że nic mnie już nie dziwi.

Weźmy na przykład taki Trybunał Konstytucyjny, tu jednak trzeba dodać, że wybrany w sposób niezgodny z konstytucją. A więc: niezgodny z konstytucją Trybunał Konstytucyjny uchwała, że polskie prawo stoi ponad prawem unijnym. I nie jest to żaden pokedex, bo Unia nie może nas wyrzucić, a nawet jeśli, to się nocą uchwali w sejmie, że nie może, a skoro polskie prawo jest ponad ichnim, to co nam zrobią.

Inflacja sięgnęła 6 procent, benzyna 6 złotych, PIS rządzi od 6 lat, a biblijna liczba Bestii to nadal 666.

W przygranicznych lasach umierają ludzie, dzieci są przerzucane w białoruskie gęstwiny przez straż graniczną, a żeby nie można

było pomóc i nagłaśniać sprawy, wprowadzony zostaje stan wyjątkowy. Jako że problem jest skomplikowany, to rząd podejmuje inne ważne kroki, na przykład taki, żeby zbudować mur, na który czterolatki z odmrożonymi stopami się nie wespną i nie zagrożą naszej demokracji. Żeby odczłowieczyć ich ojców, ważni ministrowie prezentują kilka dostępnych w internecie filmików, w tym pornografię z użyciem konia zwanego krową. Na konferencji, kurwa, prasowej.

Oficjalnie na granicy zmarło 9 osób, nieoficjalnie nawet 200. Wiceburmistrz położonej nieopodal wsi opowiada o granicznej rzece pełnej zwłok. Gramy tam z Białorusinami w nową wersję misiów-patysiów, przepychając ciała do wrogich brzegów. Rząd zaprzecza, ale wysyła auta chłodnie z zaklejonymi tablicami. Na szczęście idą mrozy, więc będzie można ładować trupy na zwykłą naczepę pod brezent. Wyjdzie taniej.

Sejm pracuje głównie w nocy. No chyba, że akurat któryś z dziennikarzy organizuje jakąś imprezkę, na której można zapomnieć o tym, kto jest zdrajcą i sprzedawczykiem, i spokojnie napić się razem wódki. Na fakturę, jak sądzę.

Polski Ład, którego nikt się początkowo nie bał, bo mało kto wierzył, że tak absurdalne przepisy mogą wejść w życie, wejdzie. Głównie ma na celu sprawić, żeby ludziom nie opłacało się zarabiać. Tak jak 500 plus i wszelkie inne programy, na które nie stać tego państwa, ale sprawiają, że ludźmi można sterować.

A jeśli mowa o sterowaniu, to najfajniej jest z prokuratorem generalnym vel ministrem sprawiedliwości, który sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, a także strażą przybrzeżną i cłem w porcie. To jak autoerotyzm sado-maso: i trzymasz smycz w ręku, i masz obrożę na szyi. Trudne zadanie.

Kobietom łatwiej. Powinny mieć po prostu cnoty niewieście, być skromne i w ciąży. Dzięki ministrowi edukacji mogą się o tym uczyć od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Jeśli się nie nauczą i swoją nieskromnością doprowadzą do tego, że ktoś je zgwałci, to

niech pokutą będzie donoszenie ciąży. Potem mogą się wieszać. Bo dzieci trzeba chronić od poczęcia. No chyba że to dzieci uchodźców, wtedy można je wywieźć do lasu.

Z głosowaniem w sejmie za to jest tak jak w dziecięcej wyliczance. Jeśli coś nie pójdzie po myśli rządu, to zaczynają od nowa i już wychodzi. Na moim podwórku też tak robili i w końcu – i-mo-re-le-baks – wypadało na tego, co się chciało.

TVP ma się dobrze, bo rocznie, poza wpływami z reklam i abonamentu, dostaje 2 miliardy złotych od rządu. Jakby się wam nie chciało liczyć, to jest to 5,5 miliona dziennie. Wystarczyłoby i na leki dla dzieci chorych na SMA, i na podwyżki dla ratowników medycznych, i jeszcze zostałyby na ratowanie psychiatrii, która nigdy nie była na takim dnie, szczególnie psychiatria dziecięca. Drugą najczęstszą przyczyną zgonu wśród nastolatków jest samobójstwo. Drugą. Wcześniej są tylko wypadki. Ale to się może zmienić, bo nazywanie ludzi ideologią już doprowadziło do Holokaustu.

Podsumowując – wbrew temu, co sądzą rząd oraz TVP, największymi wrogami Polaków nie są geje, lewaki, feministki, ekolodzy, Rosja, Zachód, prywaciarze i uchodźcy, tylko Polacy. I to ich powinniśmy się bać. Nikt za nas przecież nie głosuje ani nie zakazuje nam (jeszcze) głosować. A nasze głosowanie pokazuje, jak bardzo różnimy się od innych ssaków – one nigdy nie wybierają najgłupszych osobników na przewodników stada. Zdecydowanie bliżej nam do płazów. Taka żaba, na przykład, wrzucona do garnka z wodą, który postawimy na ogniu, zamiast zareagować, wykorzystuje całą energię, by w swej zmienności przystosować się do coraz wyższej temperatury. A jak woda zaczyna wrzeć, nie ma już siły, żeby uciec. To się nazywa syndrom gotowanej żaby.

Tak więc witajcie w polskim jacuzzi. Jeśli Wam za gorąco, włączcie TVP – usłyszycie, że tej temperatury zazdrości nam Zachód. I że rząd wspiera polskich górników, a dzięki temu będzie jeszcze cieplej. Lepiej być nie może. Re-re kum-kum, bęc.

oto przechodzimy do kolejnej kategorii. Obiecałam, że Wam to wyjaśnię

Nie lubię tych tekstów pandemicznych. I jeszcze kilku, które są takie „do góry”. Nie żeby nie były prawdziwe, bo są, ale mam wrażenie, że to smutek jest prawdziwszy. I pewnie się mylę, ale taki mam nastrój.

Jak je piszę, to chcę wszystkich zbawić. Pomóc. To jest w ogóle moja najsilniejsza potrzeba. Gdy niechcący wcisnę guzik, nie ma zmiłuj. Wyciągam z dna den, organizuję, zarywam noce – projekt Ratunek! Siebie odstawiam na boczny tor, choć tylko pozornie, bo robię to z czysto egoistycznych pobudek. Uwielbiam czuć się potrzebna i dobra. Kocham, kiedy mogę coś zmienić, ulepszyć. To daje ultranapęd.

Jak zaczęła się pandemia, poczułam, że mogę to zrobić słowami. Bo świat się skończył. Dziś, kiedy to czytam, mam wrażenie, że wszystko się przeterminowało. Że to było jak takie ostatnie słowa. Najostatniejsze. Na łożu śmierci albo jakoś tak. Słowa, które fajnie jak wybrzmiały na końcu, a jeśli koniec nie nastąpi, to ocierają się o żenadę.

W latach 90. była seria książek „Balsam dla duszy” pełna historii podnoszących na duchu. U nas z czymś miłym i miękkim kojarzy się balsam, a w Stanach tytuł brzmiał „Chicken soup for soul” – rosółek dla duszy. Też milusio.

I te moje teksty, o których tu piszę, to właśnie taki rosółek. Albo nawet krupnik. Gotowany na kościach Pałło Koeljo. Ale jak chcecie, czytajcie.

Ja chwilowo marzę o tym, żeby istniały fajerwerki z ciemnością. Takie, które wybuchają w dzień i robi się czarno. I dobrze mi z tym.



KWARANTANNA

Wieczór, a właściwie noc. Leżę pod kołdrą z zamkniętymi oczami, a w uszach jak mantra rozbrzmiewa: „Nie wychodź, nie witaj, nie dotykaj, nie podróżuj, nie rób planów, nie spaceruj, nie, nie, nie”. Wiem po co i dlaczego, staram się wkładać serce we wszystko, co robię, działam i na koniec każdego dnia jestem naprawdę zmęczona. Ale mój mózg chyba domyśla się pozorności tej gry. Zaciśkam mocniej powieki i przywołuję to, co kocham najbardziej. Leżenie pod kocem, kiedy wiatr i deszcz uderzają o szyby, widok ognia buzującego w kominku. Smak pierwszych truskawek ze śmietaną i ten moment, kiedy cukier chrzęści w zębach. Kwiaty magnolii na łysych gałęziach, wyglądające niczym papierowe ozdoby przyklejone do suchych badyli, by osłodzić jeszcze szarawą wiosnę. Świty i zachody słońca w oprawie różowych i fioletowych chmur. I same chmury – pędzące lub sunące dumnie po wielkim błękitnie. Zapach deszczu na rozgrzanych chodnikach, otwieranie kawy rozpuszczalnej lub nutelli – przebijanie napiętego złotka jest z niewiadomych powodów bardzo satysfakcjonujące. Moment, w którym wszystko w domu jest zrobione i można sobie uciąć drzemkę na kanapie, w salonie pachnącym czystością. Stos magazynów, jeszcze zafoliowanych, czekających na mnie na stole. Wieczorne czytanie książki od deski do deski. Kąpiel z pianą i dolewkami wrzątku... Powoli zasypiam i mam naprawdę przyjemne sny.

Rano zdaję sobie sprawę z tego, że ani jedna z tych kojących rzeczy nie została mi odebrana. Żaden zakaz ani nawet zaraza nie sprawia, że nie wolno mi spojrzeć w niebo albo wyciągnąć się pod

kocem. Gazety mogę zamówić online, truskawki niedługo też się pojawią. Pogoda się zebździła, więc deszczu na szybach sporo... Chyba jednak nie jest najgorzej. I nie chodzi o to, by nagle zmieniać rzeczywistość, mówić, że jest super, ale czy zakazy i przekazy nie zabijają w nas tego, co jeszcze mamy? Jesteśmy jak dzieci, które słyszą słowo „nie” kilkadziesiąt razy dziennie. A gdyby skupić się na tym, co możemy i co nam zostało? Pod koniec każdego dnia wypisać na kartce dobre rzeczy, które nam się przydarzyły. Tylko dobre i bez żadnego „ale”. Nawet jeżeli ma to być: „Ugotowałam pyszny obiad” albo: „Dwie godziny gadałam przez telefon z Mamą”. Na drugiej kartce wypisać wszystko, co się lubi najbardziej – niezależnie od czasów, pory roku i wieku. Zapachy, smaki, widoki – to, co budzi zachwyty albo sprawia satysfakcję. A potem sprawdzić, ile z tych rzeczy nadal jest w zasięgu ręki. Okaze się, że mnóstwo, nie wszystko nam odebrano, choć łatwo popaść w takie myślenie.

Mądrzę się, a sama muszę sobie o tym wszystkim przypominać. Przyjaciółka zmusiła mnie ostatnio, żebym za każdym razem, kiedy narzekam, mówiła też coś pozytywnego. Weszło mi to już w nawyk, możecie więc sobie wyobrazić, jak jednym tchem mówię: „O Boże, ale przytyłam, jak się skończy kwarantanna, będę ważyć sto kilogramów, pięknie dziś świeci słońce”. Pomaga.

Ściskam Was wszystkich najmocniej, jak nie mogę – każdego z osobna. I idę piec chleb. Ostatni mi nie wyszedł, ale za to jutro przyjdą farby do włosów i nie będę mieć odrostów :)

PAUZA

Od kilku dni się zastanawiam, co powinnam napisać... Siedzę przed komputerem i gapię się na rozświetlony dzięki obecności mieszkańców Ursynów. Jest połowa marca, a świat codziennie wygląda inaczej. Pędzi w kierunku, którego zupełnie nie znam i nie rozumiem.

Teraz, jak większość z Was, wcisnęłam życiową pauzę. Odwołałam zdjęcia, sesje, remonty. Siedzę w domu, czego nie robiłam od lat, i szukam nadziei. Z sukcesów (małych i dużych) ostatniego tygodnia: dzięki mojej Mamie udało się załatwić chemioterapię dziewczynie, która leczyła się w Mediolanie – Mediolan zamknięto, a w Polsce chemia, mimo polskiego obywatelstwa dziewczyny, jej nie przysługiwała. Jutro przyjmie ją w Gliwicach. Dziękuję, Mamciu. Znajomi wydostają innych znajomych z Meksyku – udało się już zarezerwować loty i bus. Trwa robienie zapasów na ich czterestodniową kwarantannę. Na Facebooku powstała grupa Widzialna Ręka, gdzie ludzie dzielą się dobrem. Takim najcenniejszym dziś i pewnie zawsze – wszystkim, co mają. Jedni proponują zrobienie zakupów, inni – kursy językowe czy naukę szydełkowania przez internet. Serce rośnie.

Udało mi się porozmawiać przez telefon z tymi, którym to obiecuję od lat, a nigdy nie mam czasu. Usmażyłam dziś rano 40 kotletów mielonych i są pyszne. Zostało już tylko 20. Plany, by poczytać książkę albo posprzątać w szafach, nadal wydają się nierealne,

każdy, kto ma w domu energiczną dwulatkę, doskonale to zrozumie, ale nie szkodzi. Mam czas.

I nie, nie będę Was przekonywać, że to świetnie i że nareszcie możemy się zająć tym, co odkładaliśmy. Jest źle i na razie nic nie wskazuje na to, by ten stan szybko się zmienił. Ale mamy czas. To jest chyba w tym wszystkim najważniejsze – dające nadzieję i jednocześnie przerażające. Od Was zależy, na co go wykorzystacie – i nie mówię tu o spełnianiu życiowych marzeń – nie pojedziemy teraz na wycieczkę do Kambodży, nie odwiedzimy Paryża ani nie zaczniemy chodzić na siłownię. Za to mamy czas na spotkanie ze sobą i najbliższymi. Przyjrzenie się relacjom i oczekiwaniom. Zauważenie małych rzeczy albo zrobienie wielkich. Nie ma gdzie uciekać, w co się schować, za czym ukryć – to nie jest złe, choć może wywoływać lęk.

Ten podarowany czas, tak niechciany i niepewny, może nas zbudować. Staram się każdego dnia, by był lepszy od poprzedniego. Oczywiście jestem rozdrażniona, przestraszona i zmęczona – ale trochę jak w dniu świstaka – mam szansę coś zmienić. Te dni nie różnią się od siebie, a przywykłam do nieustannego tornada wrażeń. Jest inaczej – czy to we mnie zostanie? Mam nadzieję, że tak.

I jeszcze na koniec mam pytanie. Czy Wam też się skurczył świat? Nagle to wszystko, co było po drugiej stronie kuli ziemskiej, ale dla nas tylko na ekranie telewizora, w innej rzeczywistości – jest na wyciągnięcie ręki. Mimo zamkniętych granic jest jedność. Ziemia wydaje mi się niewielką kulką – tak spójną w tym, co ją trawi, że inne różnice zupełnie się zatarły. I marzę o tym, by to poczucie nigdy nie zniknęło – by ludzie nigdy już nie mieli wrażenia, że to, co dzieje się daleko, a ma związek z czyimś cierpieniem, ich nie dotyczy. Tego sobie i Wam życzę.

WDZIĘCZNOŚĆ

Czy Wy też tak chętnie wracacie myślami do problemów, jakie mieliśmy w kwietniu 2021 roku? Wydają się błaha, co?

No właśnie – z tęsknotą wpatrujemy się w miniony rok, w którym dla odmiany wpatrywaliśmy się melancholijnie w lata poprzednie. Wcześniej tęskniliśmy za byłym partnerem, czasami szkolnymi albo okresem, kiedy mieliśmy kilka(naście) kilogramów mniej. Nie ważne, że gdy był partner, była szczupła sylwetka, a nasz jedyny problem stanowiła klasówka w piątek i to, czy Szymon w końcu nas zauważy (nie zauważył), i tak tęskniliśmy. Za przeszłością albo do przyszłości. Żyjemy sobie na zdjęciach pamięcią wybiórczą i na pewno nie tu i teraz. Co z tego wynika? Tracimy czas. Nie przez pandemię, wojnę czy inne zdarzenia – robimy to wyłącznie z własnej winy i nieprzymuszonej woli.

Zawsze fascynowało mnie dwudziestolecie międzywojennie, to, jak ludzie umieli się wtedy cieszyć życiem, chwytając dzień. Carpe diem było chyba hasłem, które każdy miał wyryte w podświadomości. Mimo tragedii, która właśnie się skończyła i widma kolejnej, w której za chwilę każdemu przyszło żyć. A może właśnie nie mimo, ale dlatego. Świadomość kruchości tego, co tu i teraz, można przekuć w siłę albo w ciężką depresję i tumiwizizm. Bo nie chodzi o to, żeby myśleć cały czas o tym, że jutro może być gorzej – wprost przeciwnie. Chodzi o to, żeby nie bać się na zapas. Oddzielić strach od lęku. Strach jest po to, żeby nas chronić, żebyśmy mieli szansę zare-

agować w momencie realnego zagrożenia. Działać. A lęk to coś, co nas paraliżuje, nie pozwala normalnie funkcjonować.

Każdy przeżywa swoje prywatne końce świata – tracąc bliskich, chorując, rozstając się. Czekanie na dobry czas, który w końcu na pewno nastąpi, to idealny przepis na tracenie życia. Bo wtedy naprawdę nic nie ma sensu.

Mimo wszystko można się uśmiechać, bawić i kochać. Można doceniać to, co się ma. Zachwycać się zachodami słońca, pysznym jedzeniem i tańczyć do białego rana na weselu przyjaciół. Planować i marzyć – bo plany i marzenia same w sobie są fajne, nawet jeśli pozostaną planami. Dbać o siebie i innych. Mamy tylko to, co dzisiaj, to, co teraz. Nie tylko podczas wojny, kryzysu czy pandemii; zawsze. Im wcześniej to sobie uświadomimy, tym lepiej.

Zaufajcie mi, nie musi być fantastycznie, cudownie i genialnie. Wystarczy, że jest okej i że z tego powodu umiemy w sobie wskrzesić wdzięczność. Bo to chyba najważniejsze i najpiękniejsze uczucie, jakie istnieje. We wdzięczności jest pogoda ducha, pogodzenie ze światem i zależnością. To ostatnie jest chyba najtrudniejsze, ale codziennie się tego uczę.

Nie mamy wpływu na większość rzeczy, jakie nas otaczają – to frustrujące, ale możemy albo spędzić życie, ubolewając nad tym, albo to zaakceptować i skupić się na tym, na co mamy wpływ. Na sobie, na tym, co czujemy, czego chcemy, co robimy. Jak zaczynamy i kończymy dzień. Nie pozwólmy, by kierował nami lęk czy wściekłość, bo skutki takiej postawy możemy obserwować, czytając poranne wiadomości. Da się inaczej. Więc jeśli marzycie o tym, żeby poczuć jakąkolwiek sprawczość, to zacznijcie od siebie, bo tylko na to naprawdę macie wpływ. A to więcej niż Wam się wydaje.

Jestem ogromnie wdzięczna, że mogę do Was pisać i że dziś świeci słońce, choć blik na ekranie nie ułatwia tego pierwszego :) A Wy za co jesteście wdzięczni? Zaczynamy...

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY.

To, że świat się zmienia, zauważamy wszyscy. Na gorsze niestety, choć być może żyjemy zbyt krótko i w zbyt spokojnych czasach, żeby docenić to, co mamy. Wiem, jak to brzmi. Spokojne czasy?! – zapytacie. Dookoła wojny, demokracja ledwo zipie, Ziemia wykończona poczynaniami ludzkości wykorzystuje wszelkie siły natury, żeby obrócić nas w perzynę... i swoją drogą ma rację. Naprawdę zastanawiam się, kiedy ludzie zrozumieją, że nasz świat jest obiegiem zamkniętym. Nie chodzi o brak planety B, przykuwanie się do kominów, wielkie słowa ekologów. To, co robimy, nie różni się specjalnie od załatwiania potrzeb fizjologicznych do czajnika z wodą na herbatę.

Ale wracając do tematu, mimo wszystko nie chciałabym się cofnąć o 80 lat, gdy krew płynęła gęstym strumieniem ulicami miast. Ani do czasów, gdy Polski nie było na mapie. Jeśli zrobić takie porównanie, to przyznacie chyba, że czasy są w miarę spokojne.

Patrząc jednak na to, co za oknem, w polityce, na świecie (zintensyfikowałam swoje poczynania z telewizyjnym pilotem, skoro mamy jeszcze jakiegokolwiek media i mogę), stwierdzam, że wszystko zmienia się w galopującym tempie. Państwa są, a za chwilę ich nie ma, tak jak wolnych sądów czy praw kobiet. Upały, trąby powietrzne, obostrzenia i ruchy wspierające coraz dziwniejsze hasła.

Politycy zmieniają zdanie, ugrupowania – ideały. Z jednej strony zalewa mnie krew, z drugiej... przecież to wszystko już było. Nie-specjalnie uczymy się na błędach. Nie słuchamy mądrzejszych od nas, wiemy lepiej. Zataczamy koło, a nasza głupota jest naprawdę przewidywalna. Może jednak to tu jest klucz? To tak jak z chodzeniem do kina na filmy, które już się zna. Ta przewidywalność jakoś koi, jest bezpieczna i znajoma.

Tylko skoro świat, który – mimo że się zmienia – nadal pozostaje tak samo (nie)bezpiecznie logiczny, to z nami jest tak samo? Właściwie tu powinnam „przejsć na ty” niczym wytrawna kołczarka instagramowa. Zwrócić się do jednostki (zauważyliście, że one wszystkie tak robią?). Więc: kiedy miałeś czas na to, żeby usiąść na moment i zastanowić się, gdzie i jaki w tej chwili jesteś? W co wierzysz, co lubisz, czego chcesz, a czego absolutnie nie? O czym marzysz i do czego dążysz? Może ktoś się obruszy, bo jak można nie wiedzieć podstawowych rzeczy o sobie, ale żebyście się nie zdziwili. Serio.



Ja na przykład, im jestem starsza, tym bardziej mam świadomość, że dopiero siebie poznaję. Zaczynam oddzielać to, co moje,

od tego, co niosłam, bo tak wypada albo ktoś mi to dał i nawet się nie zastanawiałam po co. Słucham swoich potrzeb. Nareszcie. Są zupełnie inne niż te, które miałam jako „30”. Otaczam się ludźmi, których kocham, lubię i przy których czuję święty spokój. A jeśli po raz kolejny wywracam się w tym samym miejscu, zamiast pomstować na wysoki próg, następnym razem staram się unieść wyżej nogę. Albo wybieram zupełnie inną ścieżkę.

Próbuję różnych rzeczy, odkrywam, szukam. Daję sobie dużo czułości, choć na pewnym poziomie bywam bardzo krytyczna. Uczę się cierpliwości – z różnym skutkiem. Nie byłoby tego wszystkiego, gdybym pewnego dnia nie pochyliła się sama nad sobą. I wiecie, co jest najlepsze? Że to naprawdę fantastyczna relacja – mnie ze mną. Prawdopodobnie najważniejsza w życiu. Warto to zrozumieć. Szczególnie że na zmieniający się świat mamy ograniczony wpływ, a na nas samych – ogromny.

Przytulam Was mocno.

METODA NA SZALEŃSTWO

I oto przechodzimy do kolejnej kategorii. Obiecałam, że Wam to wyjaśnię. Chciałam Wam napisać, jak nie zwariować, ale po dogłębnym rozpoznaniu tematu, a nawet konsultacjach społecznych (w najbliższym gronie) okazało się, że nie wiem. Nikt nie wie. Poza tym okazało się, że prawdopodobnie nie znam nikogo, kto jeszcze nie zwariował. Wliczając w to siebie. Więc może lepiej się zastanowić, jak żyć, zwariowawszy?

Ostatnio mam wrażenie, że w moim mózgu otwartych jest kilkadziesiąt zakładek, a bateria się wyczerpuje, bo jakieś aplikacje wciąż pracują w tle. Do tego przełączanie się między rzeczywistościami sprawia, że wyskakuje błąd systemu.

Jednego dnia w zapakowanym po brzegi busie z pomocą humanitarną przekraczam granicę z Ukrainą, następnego wypasiony mercedes z kierowcą zabiera mnie spod domu na plan reklamy. Gryzący dym znad grillów w punkcie recepcyjnym, gdzie karmimy uchodźców, wżera mi się we wszystkie pory na twarzy versus delikatne ręce mojego makijażysty, które wklepują organiczny krem pachnący paczulą. W pory, nie w grille, rzecz jasna.

Sześć warstw ubrań z nieprzemakalnym strojem „na ryby”, wieńczącym dzieło, i dywagacje stylisty nad wieszakiem prawie identycznych bluzek, którą mam dziś włożyć, żeby wyglądać ekstra. No i w końcu sześciolatka oprowadzająca mnie po schronie, który od miesiąca jest sypialnią jej i innych dzieci, gdzie na podłodze leżą

równy materace, a wieczorem ciepłe stópki mojej córki zadające mi ciosy przez sen. W moim łóżku. W sypialni. W domu.

Mam wrażenie, że kiedyś bardzo złe rzeczy były w telewizji albo daleko, a teraz są splecione z naszą codziennością w ciasny warokocz. I jak tu nie zwariować?

Więc pomagam. Głównie dlatego, że chcę czuć, że mam jakikolwiek wpływ na rzeczywistość, której nie rozumiem. I to zdecydowanie mogę Wam polecić. Pomagać jakkolwiek, na miarę swoich możliwości, nawet z egoistycznych pobudek, bo to dobrze robi. Po prostu.

Polecam też pamiętać, że choć nie można się nacieszyć na zapas, to martwić się można. Zdecydowanie. Kiedyś myślałam, że w tym sporcie (martwieniu się na zapas) najlepsze są nasze matki, a potem się okazało, że sama jestem taką matką. Chyba mamy wtłoczone, że oznaką troski i miłości jest martwienie się o wszystko, a to przecież bzdura! Martwienie się jest „o nas”, nie o „martwionego”. Bo co mu z naszego martwienia? To tylko obciąża, a naprawdę nic nie wnosi. Więc pracować nad tym! Nad tu i teraz.

I jeszcze pracować nad lękiem, bo w przeciwieństwie do strachu nie jest nam do niczego potrzebny. Lęk można ewentualnie oswoić, jeśli nie puszcza. Bo strachu oswoić się nie da i niech wam nikt nie próbuje wmówić, że jest inaczej. To by zresztą było dosyć głupie, bo strach, przeciwnie niż lęk, pozwala działać racjonalnie w momencie prawdziwego zagrożenia. Więc lęk nie, strach jak najbardziej – nauczyć się rozróżniać!

Kochać, doceniać, być wdzięcznym. Robić rzeczy, na które wcześniej nie mieliśmy odwagi. W końcu zwariowaliśmy, nie? Więc co nas obchodzi, co powiedzą inni?

A wiecie, co jeszcze ostatnio zauważyłam? Od kiedy zwariowałam, to zmarszczki mi się zmieniły. Przez całe dorosłe życie walczyłam z bruzdą zwaną lwią zmarszczką, czyli tym, co się robi między brwiami. Głównie jak człowiek się złości albo razi go słońce. A teraz

nagle zrobiły mi się poziome kreski na czole. Bo już chyba nie jestem zła, tylko się dziwię. Mówią, że na starość już nic człowieka na dziwi, a ja dopiero zaczęłam się dziwić. Może to jest metoda na to całe szaleństwo?



TU I TERAZ

I tak oto niepostrzeżenie mija kolejny rok. Chciałabym bardzo napisać, że to tylko cyfry, nic nieznacząca kartka z kalendarza, ale skłamałabym wtedy okrutnie. Szczerze mówiąc, nie zdążyłam jeszcze przyzwycząić ręki, by na formalnych dokumentach z datą kreśliła „2019”, a tu już nadchodzi dumna „20”. Kiedy to minęło?

Babcia powiedziała mi kiedyś, że czas bardzo przyspiesza w ciągu naszego życia. Najpierw liczymy dni, potem tygodnie, wreszcie miesiące, pory roku, a na starość już nawet nie lata, a wydarzenia, które czasem dzieli dekada. Wtedy nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, teraz z nastaniem jesieni czuję już zapach świątecznych pierników, a pierwsze wiosenne podmuchy wiatru wywołują melancholię z powodu końca lata. Ciągłe w biegu, myślami pięć kroków do przodu, często mam wrażenie, że brak mi czasu, a może gotowości, żeby celebrować to „tu i teraz”. Zawsze towarzyszy mi niepokój, że to tylko na moment, że będę tęsknić, ale zamiast zmusić mnie do zatrzymania się, odbiera radość chwili. To strasznie smutne, że nie można się niczym nacieszyć na zaś...

Czy nie uważacie, że tak zostaliśmy wychowani? Celebруем wszelkie zakończenia – darzymy je większym szacunkiem niż jakiegokolwiek inne wydarzenia. Żegnamy stary rok, o przemijaniu przypominają nam kolejne urodziny, a pogrzeby są jedyną uroczystością, która gromadzi całe familie. Kiedy bierzemy wolne w pracy na pogrzeb w rodzinie, nikt nie widzi problemu, ale wyobraźcie sobie, że idziecie do szefa i mówicie: „Mój wujek ma jutro imieniny, nie

będzie mnie w pracy, spotykamy się w dużym gronie – rodzina, przyjaciele – żeby sprawić mu przyjemność i pobyć razem”. Szef popuka się w głowę, dając do zrozumienia, że zwariowaliście. Czy to nie przewrotne? Przypuszczam, że zmarłemu może być wszystko jedno, kto idzie w kondukcje, ale żyjący krewny byłby przeszczeniwi, widząc całą rodzinę zebraną z okazji „niekońca”.

No bo co ma nam dać zaduma nad przemijaniem, jeśli nie jesteśmy w stanie przełożyć tego na codzienność? To jak z postanowieniami noworocznymi – wiecie, że styczeń to hossa frekwencyjna w każdej siłowni? Karnety idą jak świeże bułeczki – trudno znaleźć wolny rower treningowy czy bieżnię. I tak aż do połowy lutego. Potem wszystko wraca do normy.

Może powinniśmy po prostu przyjąć do wiadomości, że każdy koniec jest integralną częścią życia? Nie bać się końca świata, bo on następuje codziennie dla każdego z osobna. Wiele ostatnich razów przemyka niepostrzeżenie i zdajemy sobie z nich sprawę dużo później. Bo czy pamiętacie, kiedy naprawdę ostatni raz wyszliście z piaskownicy jako dzieci, otrzepując ręce o spodnie, by wrócić do niej dopiero z własnymi pociechami? Ostatnie ognisko na ostatnim obozie harcerskim? Grę w gumę albo komórki do wynajęcia na podwórku między blokami? To, co powinno nas trzymać we względnym pionie, to tu i teraz. Bycie najlepszą wersją siebie w danym momencie. Patrzenie na świat z ciekawością zamiast chodzenia z nosem w telefonie. Czas, który dajemy (nie poświęcamy; to nie powinna być ofiara!) bliskim i sobie. Może zamiast celebrować końce i rozpamiętywać, co było, zająć się tworzeniem dobrych wspomnień? Tu i teraz jest zdecydowanie ciekawsze niż cokolwiek innego. Zaufajcie mi. Z jedną nogą w tym, co było, a drugą w przyszłości, trudno nam to czasem zauważyć. A warto. I tego właśnie sobie i Wam życzę w nowym roku.

eżeli zabrnęliście aż tu, to jest naprawdę całkiem dobrze. Dziękuję.

Chyba wspominałam, że jak jest mi źle, to piszę opowiadania. Opowiadanka właściwie, jakby powiedziała moja Babcia. Ona lubiła umniejszać, ale robiła to z miłości. A przynajmniej była o tym przekonana. Tak czy siak to mój ulubiony gatunek.

Strasznie zazdrozczę mojej Mamie, że umie napisać książkę. Taką, co ma początek, rozwinięcie i zakończenie. I jeszcze oddać ją do redakcji i potem, po tej redakcji, przeczytać – 400 stron! Ludzie! Jedna historia. A ja tu sobie takie strzępki i zapiski wydaję. Ale ciągnie mnie do opowieści i bohaterów.

Mój kolega Wojtek, ten, co uważa, że mam dobry charakter, też to umie, chociaż nie dociąga nawet do 200 stron. Ale nie musi. Bo za to umie powołać do życia całe kamienice razem z lokatorami i jak to człowiek czyta, to i czuje zapachy, i słyszy dźwięki. Ja tak nie umiem. Co nie zmienia faktu, że bym chciała. Wojtek jest moim ulubionym pisarzem i trochę się jaram, że wydajemy w tym samym wydawnictwie.

Na koniec macie więc sześć opowiadań. Dwa wesołe – w końcu miało być zabawnie – trzy smutne i jedno najsmutniejsze na świecie. Z nimi Was zostawiam.

Nie będę się żegnać, wyjdę po angielsku, ale wiedzcie, że zrobiliście mi dziką przyjemność tym spotkaniem.

ŚWIĘTA

Śnieg zaczął padać o 4.00 nad ranem. Było to drugie w kolejności najbardziej wyczekiwane zdarzenie tego dnia, zaraz po przyśściu Mikołaja, choć patrząc na wczorajsze prognozy, tak samo prawdopodobne. I nie chodzi tylko o drogowców, którzy zgubiliby część jeźdźstwa, jakby przynajmniej raz w środku zimy nie byli zaskoczeni. Brak śniegu był tematem rozmów w kolejkach do sklepów rybnych, na placach, gdzie sprzedawano choinki, w zaporowanych autobusach i zakładach pracy. A tu proszę, pada sobie spokojnie przynajmniej od godziny, pokrywając puchem szare miasto i tuląc do snu mieszkańców bloku przy ulicy Kościuszki. Niestuszenie zupełnie. Szczególnie jeśli chodzi o Rapackich spod piątki. Budzik w salonie, gdzie na wersalce śpią rodzice, nastawiony jest na 5.30. Matka musi pójść na targ po szponder wołowy w ilości 4 kilogramów oraz 60 deka szynki wiejskiej. Potem się tego nie kupi, to jasne, a w drugi dzień świąt też trzeba coś jeść. Wstając, obudzi też męża, bo choinkę trzeba wstawić, a wcześniej znaleźć stojak, bo wiadomo, jak to jest. I pod bigosem podpalić. Postnym, bez mięsa, ale tak samo trzeba mieszać. Na klatce czuć go już od trzech dni. Zapach kapusty łączy się tam ze słodką wonią wypieków Marciniakowej spod dwunastki oraz pastą do podłóg Popularna, którą dziadek zakupił w ilościach hurtowych w latach 80. i prawdopodobnie starczy im do końca życia. Do końca życia dziadka starczyła. Dziś dojdzie jeszcze zapach smażonej ryby. Święta.

Z tymi rybami to jest cyrk! Tak mówi ojciec. Co rano. I niestety ma trochę racji. Rodzina nie kąpała się przynajmniej od tygodnia,

gdyż w jedynej wannie pływały karpie sztuk dwa. Matka z pewnym zaniepokojeniem obserwowała więź, jaka nawiązała się między jej synem a rybami, szczególnie że Mareczek, rezolutny sześciolatek, nie tylko nadał karpom imiona, ale też nauczył je kilku sztuczek, które – ku zdziwieniu wszystkich – wykonywały. Ale z drugiej strony, dzięki Mareczkowi właśnie, który budował dla ryb tory przeszkód, a w poszukiwaniu potrzebnego budulca wysypał zawartość kosza, mogli zapobiec domowej epidemii. No bo Marlena, szesnastoletnia siostra Mareczka, wymiotowała już od tygodnia.

– Covid – złowróżył ojciec. – To się teraz tak objawia.

No i jak Marek znalazł w koszu ten test z dwiema kreskami, matka zapakowała Marlenę do łóżka i mieli w domu kwarantannę. Znaczą taką pół. Mareczek musiał spać z babcią, co nie było wygodne, bo babcia była strasznie koścista i chrapała, ale i tak lubił ją najbardziej ze wszystkich.

– No i się zacznie – zachichotała, kiedy jako pierwszej przyniósł jej znaleziony test.

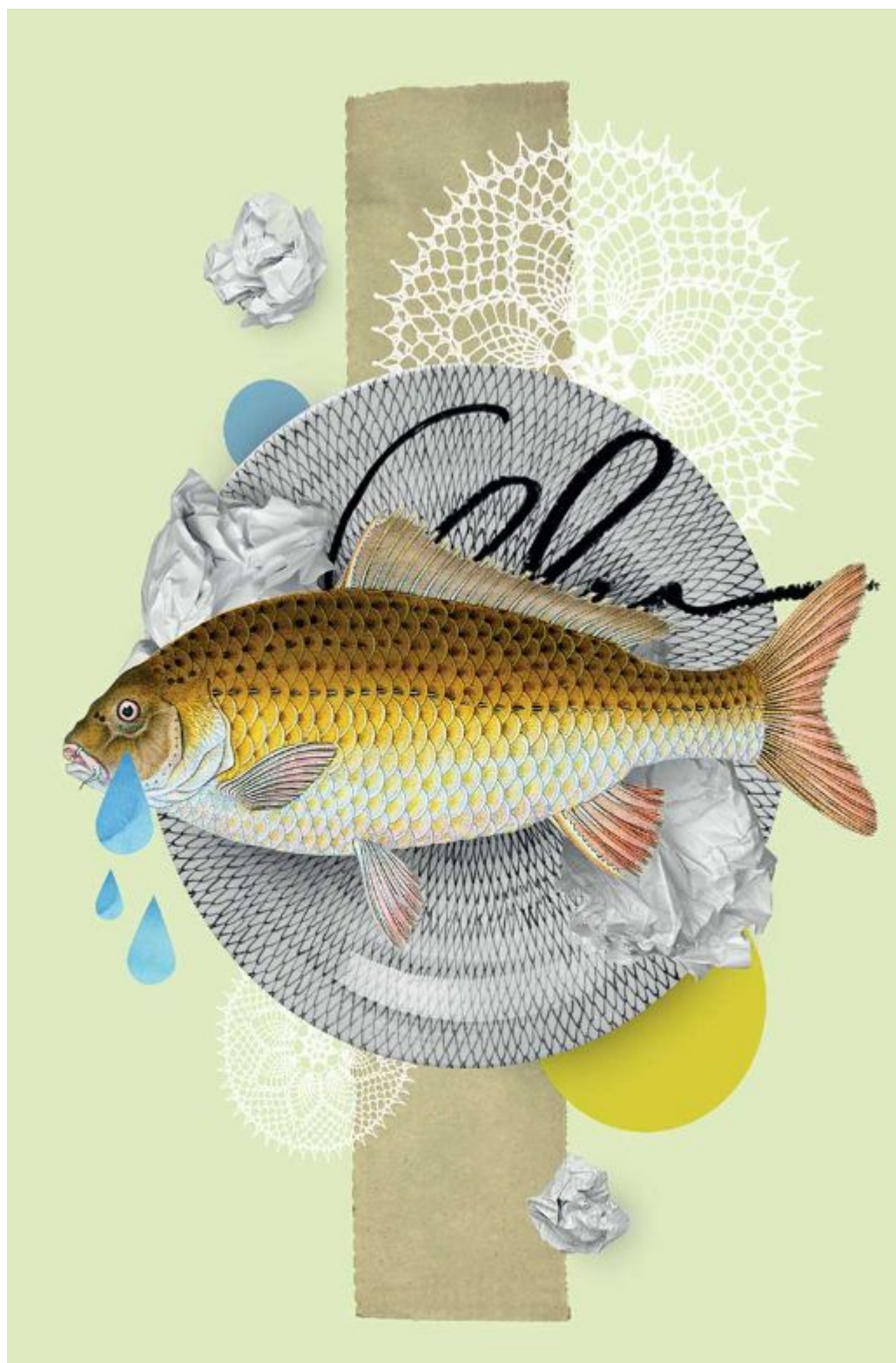
Nie miał pojęcia, co to znaczy, ale wiedział jedno – nie należy zaczynać.

– Znowu zaczynasz? Znowu zaczynasz? – pytał ojciec.

– To on zaczął – oskarżycielsko rzucał w jego stronę ten wstrętny skarżypyta Mateusz.

Na wszelki wypadek więc Mareczek ani nie zaczynał, ani nie kończył. To drugie, ku jego zdziwieniu, najbardziej przeszkadzało matce.

– Obiadu nie skończyłeś. Lekcje skończ. Możesz skończyć?



Trudno zrozumieć dorosłych. Podzielił się tą informacją z babcią.
– Oni sami nic nie rozumieją – odpowiedziała.

Mareczek spał teraz smacznie, wtulony w poduszkę z Power Rangers, i śnił o dobrobycie prezentowym. Nie miał pojęcia, że już za kilka godzin będzie świadkiem największej awantury, jaka miała miejsce w bloku przy ulicy Kościuszki. Zacznie się tradycyjnie tuż po składaniu życzeń. Ale tym razem jego najstarsza siostra Emilka, zamiast topić łyżę w barszczu z uszkami, odpowie matce, że sobie nie życzy, a jej mąż doda, że sami będą o tym decydować. Matka za-
leje się łzami, bo nikt jej nie szanuje ani tego, jak bardzo marzy, żeby być babcią. I wtedy Emilka powie dwa zdania za dużo, bo na pewno nie należy zdradzać tajemnic młodszej siostry, wszyscy spojrzą na Marlenę i wszystko wyjdzie na jaw.

Marek nic nie zrozumie. W końcu liczba dzieci, które mają pojawić się w rodzinie do następnej Wigilii, będzie się zgadzała. Ta myśl nie zajmie go jednak na długo, bo będzie miał do rozwiązania dużo ważniejszą kwestię – gdzie są jego ryby?

WYOBRAŹNIA

Marian, dopóki żył, zajmował wygodne mieszkanie numer 43 – pukać, bo dzwonek nie działa – na trzecim piętrze przy ulicy Mickiewicza 21. Potem już nie było tak łatwo. Nie tylko dlatego, że cmentarz Bródnowski jest naprawdę rozległy i znalezienie kwatery 47 w sektorze C sprawiało wszystkim poważną trudność. Prawdziwym problemem było to, że rodzina wykonała kilka „odsypek” w ulubionych miejscach Mariana. I nie, nie były to obojczyki jego żony ani ich solidne czterdziestoletnie łóżko z fabryki mebli w Swarzędzu. To by było zbyt proste. Marian, a właściwie to, co z niego zostało, zasilił nurt Brdy, gdzie zwykł łowić ryby, a tak naprawdę po prostu siedzieć nad brzegiem i nie odbierać telefonów, oraz ogródek swojej córki na Targówku, który zawsze uważał za podwarszawską miejscowość, a także zabytkową solniczkę z marmuru – spadek, jaki jego żona dostała po ciotce z Anglii. To ostatnie miejsce było ryzykowne, ale rodzinie nie przyszło do głowy już żadne inne, w którym można by rozsypać Mariana, a prochów przecież się nie wyrzuca.

– Za dużo wzięliśmy. – Krystyna sapała, przesypując resztki męża z plastikowej torebki do zimnego marmurowego naczynia.

Trochę zostało na stole i nikt nie wiedział, co z tym zrobić, zdano się więc na przeciąg, za to solniczka wylądowała od razu na najwyższej półce w kredensie, co i tak nikogo nie uspokoiło. Krystynie częściej niż umiłowany przecież mąż śnił się nocami koszmar, w którym goście posypują sobie Marianem rosół, a ona nie może dobiec

z kuchni, bo nie jest w stanie poruszać nogami, a i nie krzyknie, bo niby co.

W ogóle od tamtego momentu wszystko się zmieniło. Krystyna miała wrażenie obecności. Nie tylko dlatego, że Marian nadal był słuchaczem jej codziennych utyskiwań, żali i pretensji, po 40 latach jakoś trudno się odzwyczaić, ale z powodu solniczki właśnie. Ruszała się. Krystyna była pewna, bo cztery tygodnie wstecz, by tej pewności nabrać, przestała wycierać kurze, no i zostały ślady. A przecież mieszkała sama, praktycznie nikt u niej nie bywał, chyba że na niedzielnych obiadach. Z rodziną podzieliła się swoimi spostrzeżeniami właśnie na takim obiedzie. Trzynastym od śmierci Mariana.

– Dziadka należy zjeść – powiedział stanowczo Krystian (imię po babci) zwany Dziubkiem, lat sześć, wycierając tłuste rączki w świeżo wykrochmalony obrus.

– Dziubek. Co ty opowiadasz? Serwetkę tu masz – zareagowała od razu jego matka, patrząc z wyrzutem na męża.

– Ludy tak robią! Pierwotne! Widziałem w telewizji. To krąg życia, jak w Królu Lwie.

– Dziubek! – Elżbieta podniosła głos. – Mamo, my znaleźliśmy taką możliwość w Londynie...

– Jezus Maria. – Krystyna przeżegnała się na dźwięk słowa „Londyn”, bo przecież stamtąd była solniczka.

– Możemy zrobić z ojca biżuterię. Będziesz miała taki pierścionek albo wisior.

– Z Mariana? – Krystyna nie zrozumiała. – Wisior z ojca?

– Mamo, po prostu mi go daj – powiedziała surowo Elżbieta i sięgnęła do kredensu.

Jednak solniczki nie było.

– Marian! Marian! – zawyła Krystyna, żegnając się kompulsywnie i o mały włos nie wydłubując sobie oka między „ojca” a „syna”

– To nie Marian, to ja – powiedział smutno Dziubek, przytulając babcię. – Zbiłem ją. Przepraszam. Poprzednim razem, jak był bigos. Ale dziadka było już maluuutko. Tak na jedną szczyptę.

I nigdy, przenigdy więcej o tym nie rozmawiali. No, może z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy wychowaczyni klasy IIIc wezwała Elżbietę na rozmowę o wybujałej wyobraźni Krystiana, który opowiadał, że zjedli dziadka. Ale poza tym to naprawdę nigdy.

JAK W DOMU

No, nie kochał jej. I nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości.

– Nie kocham cię. – Wyartykułował to w kilku rozmowach, dwóch esemesach i odręcznie napisanym liście. Kobieta, do której odchodził, wymyślił naprędce. Tak było łatwiej; bez odwrotu. A może rzeczywiście pojawiła się jakaś kobieta? To właściwie nie miało znaczenia. Nic już nie miało.

Zabierał swoje rzeczy i robiąc ostatni kurs, razem z telewizorem i sokowirówką zabrał jej też sens życia oraz całą nadzieję.

Bał się oczywiście hysterii, tego, że nie pozwoli mu odejść, złapie za nogi, będzie rozpaczać. Ale Marianna siedziała nieruchomo na kanapie. Otoczyła ramionami kolana, mokre od łez włosy lepiły jej się do policzków i uszu. Wzrok utkwiała w bliżej nieokreślony punkt nad Ursynowem. Zachodziło słońce oraz pewne prawdopodobieństwo, że to wszystko jej się śni, bo przecież czekała na ten moment od dawna, a mózg tworzy sny z naszych lęków, prawda?

Drzwi się zamknęły. Cisza. Marianna ani drgnęła. Czekala.

W końcu ziemia rozstała się jej pod nogami, grunt usunął się bezszelestnie, a ona bezwładnie wpadła w otchłań rozpaczy. Nareszcie była bezpieczna. I oddech się uspokoił. Znała to miejsce tak dobrze, że za każdym razem, kiedy tu wracała, czuła się jak w domu. Samotna. Porzucona. Niepotrzebna. Nareszcie wiedziała, gdzie jest góra, gdzie dół. Umiała się tu poruszać. Po omacku.

Odszedł. Tak jak wszyscy od niej odchodzą. Zostawił ją. Zostawił, mimo że była chora. I co z tego, że często się to zdarzało? Przecież to nie jej wina. W dzieciństwie, gdy była chora, matka pozwalała jej spać w salonie. Wiła na wersalce miękkie gniazdo z poduszek i czułości, a potem jeszcze otulała Mariannę kocem. Robiła też herbatę ze wszystkim, nie taką o smaku termosu, i włączała telewizor. Po Domowym przedszkolu rozpoczynał się program dla rolników. W tle mrucał jakiś traktor, matka czytała książkę, zwinięta na fotelu, i co jakiś czas sprawdzała, czy Mariannie rośnie gorączka. Jaki miły był dotyk jej dłoni! Odgarniała mokre włosy Marianny i trzymała przez chwilę rękę na jej spoconym czole. Szczęśliwie gorączka rosła, świat stawał się bardziej miękki i przyjazny. Marianna czuła się kochana.

Raz nawet, jak miała trzy lata i zapalenie nerek, czuwał przy niej ojciec. Spał koło jej łóżka, na podłodze, i co chwila łapał ją za rękę. Podobno nie miała prawa tego pamiętać, ale pamiętała. Kochał ją. Mogła przysiąc! Potem już nie, bo ją zostawił. Wszystkim było jej żal. Biedne dziecko – mówiła babcia i głaskała ją po głowie, a ciotka nawet zabrała ją na zakupy do peweksu. Marianna mogła wybrać sobie wtedy jedną rzecz. Bo była ważna. Teraz też jest ważna. Zadzwoń zaraz do matki, pojedzie do niej na noc. Wersalka nadal stoi w dużym pokoju, matka zrobi jej herbatę ze wszystkim, nie taką o smaku termosu.

PIĘKNA KATASTROFA

Można było przewidzieć tę piękną katastrofę, czyli to, że Andzia zakocha się ze wszech miar nieszczęśliwie, nawet jeśli tylko Andzi wysłuchać. Ale oczywiście na początku nikt jej nie wierzył, bo choć powtarzała, że nic z tego nie będzie, to oczy jej lśniły, a szczęście wymieszane z nadzieją wydostawało się każdym porę skórą.

Potem Andzia przestała już cokolwiek rozumieć z tego, co się dzieje, a jeszcze potem udawała, że nie rozumie, bo tak było łatwiej. Aż w końcu oczy zrobiły jej się jak dwa leśne jeziora w bezksiężycową noc.

Andzia cierpiała. Można to było poznać po długich westchnieniach, z których każde kolejne było głębsze i przerywane. I po zaparzeniu. W dół, stolik, krzak – wszystko jedno. No i przestała jeść oraz spać. I tak jak w tym niejedzeniu, wybaczone mi szczerze, można było upatrywać dla Andzi pewnych korzyści, to już w niespaniu trudno znaleźć jakieś plusy. No chyba że w niespaniu z cudzymi mężczyznami. Na nieszczęście wybranek Andzi był akurat wolny, a jego jedynym mankamentem było to, że Andzi nie chciał, a już na pewno nie tak, jak by chciała, by ją chciał.

Kładąc się, Andzia brała więc niewidzialne nożyczki, by odcinać w głowie każdą myśl, jaka się pojawiała z jego imieniem. Wyczytała to kiedyś w gazecie w dziale psycho i do tej pory działało. Tylko że tym razem imię pojawiało się pracowicie wyhaftowane na wszystkim, co w przedsennych zwidach miała pod powiekami Andzia. Na

nic nożyczki. Brała więc wyimaginowaną igłę i pruća aż do zaśnięcia.



A potem wstawiała o 5.00 i zastanawiała się, jak do tego w ogóle doszło! Bo Andzia była pewna, że uwielbia samostanowienie. I to, że nie natyka się na żadną owłosioną nogę, kiedy w środku nocy szuka stopą zimnego miejsca na prześcieradle. Lubiła samotne poranki, spanie po południu i przed południem, brak obowiązku dzwonienia do kogoś, by zrelacjonować swój dzień, lubiła święty spokój i naprawdę nie widziała miejsca dla kogokolwiek w swojej przestrzeni. Nie lubiła tylko niedziel, bo wtedy dopadała ją melancholijna chęć dzielenia z kimś nudy w celu jej zabicia. I to tyle. Pozwalała się oczywiście komuś kochać od czasu do czasu, ale jakoś bez specjalnego przekonania. Ostatni raz czuła kilka lat temu i nawet potem kilka razy sprawdzała, czy aby na pewno stan wytrawienia emocjonalnego jest jej dany na zawsze, rzucając się w jakieś dziwne romanse, ale upewniała się tylko, że był. Oczywiście odczuwała jakiś smutek, kiedy coś się kończyło, ale nie taki, by nie dało się go zmyć długą kąpielą z pianą albo tuzinem ostryg i szampanem.

A tu się przeliczyła. Ona! Winiła za to swoją głupią dziewczyńską stroną tuczoną bajkami o królewnach i komediami romantycznymi, retrogradację planet i zaćmienie księżyca przy pełni w Skorpionie. I co z tego?

Niestety faktem było, że ON istniał. Dokładnie taki, jakiego by sobie wymarzyła, gdyby jakiś czas temu nie przestała marzyć w tym temacie. I czuła się przy nim tak, jak nie pamięta, by się przy kimś czuła. I jeszcze zupełnie nieoczekiwanie miała w swoim życiu dla niego miejsce, z którego on ani myślał skorzystać.

I tu dochodzimy do najważniejszego. Czy Andzia w ogóle mogła temu zapobiec? Odpowiedź jest dosyć prosta: Otóż mogła. Tylko, Moi Drodzy, po co? Zakochać się to przecież prawie najlepsza rzecz na świecie. Oczywiście jeśli zakochamy się z wzajemnością, to już jest całkiem najlepsza.

Tak, Andzia właśnie powoli wchodzi do kadzi z rozpaczą, tęsknotą, niebywaniem w miejscach i nieoglądaniem zdjęć. I będzie strasznie cierpieć. Ale w końcu się poskleja, nie ma wyjścia. A w tym, że zobaczyła, jak mogłoby być, jest też coś z nadziei. Dzięki temu wie, że czuje, a bez tego nie ma niczego.

NIE DO PRZEJŚCIA

Tup, tup, tup – za duże buty zbiegają po dwa stopnie, niechybnie zwiastując katastrofę i pilną wizytę u dentysty. W butach dwie chude nogi należące do Natalii Porębskiej – uczennicy klasy VIII pobliskiej szkoły podstawowej imienia Jana Pawła II.

Natalia ma jasne włosy, zielony sweter i złamane serce. Te dwie pierwsze informacje znajdują się za kilka godzin w oficjalnym komunikacie o zaginięciu, który wyda gorzowska policja. O trzeciej informacji nikt nie miał pojęcia, choć pewnie niewiele by to zmieniło. Bo czarna chmura zawisała nad Natalią, zanim Mareczek z klatki obok zaczął spotykać się z Anką – tą zdradziecką suką.

Ale jak zaczął, to już wszystko straciło sens.

Wszystko.

Bo wcześniej to jakoś działało się powoli. Jakby ktoś wyłączał sens partiami, sekwencjami. Najpierw padło na szkołę. Wychowawczynie uspokoiła matkę, że to normalne w tym wieku, że wszystko wróci do normy. Ale babka od bioli, której Natalia była fa-na-ty-czką, bo chciała zostać weterynarzem, a potem nagle nie chciała, wysłała ją do pani psycholog. Ta na długiej przerwie wytłumaczyła Natalii, że trzeba się cieszyć tym, co się ma, i wziąć w garść. Więc Natalia próbowała. A jeszcze potem, jak byli na wycieczce w Warszawie, to w metrze zrobiło jej się strasznie duszno i serce zaczęło walić tysiąc razy na sekundę, i musiała wysiąść, a z nią cała klasa, no i jak wrócili, to Natalia już nie miała życia. I jeszcze umarł jej pies, którego miała od zawsze. Ten, któremu co wieczór powierzała wszystkie se-

krety, odsłaniając jego zwisające włochate ucho, aż po chwili trzepał tak śmiesznie głową, i nieraz się zdarzyło, że Natalia dostała w brodę. Ale już nigdy nie dostanie, bo Supeł jest zakopany w dole koło altanki na działce. Przyszedł jego czas, bo piętnaście lat to jak na pudła naprawdę sporo. No i potem ten Mareczek. Natalia fantazjowała czasem wieczorami, że umiera i leci niewidzialna nad konduktem żałobnym, i wszystkim jest tak strasznie przykro, i żałują, że jej nie kochali.

Potem wpisywała w wyszukiwarke „jak się szybko zabić” na zmianę z „depresja – co to”. Znalazła odpowiedzi na jedno i drugie. I nawet postanowiła pójść w tajemnicy do psychiatry. Tylko musiała zdobyć 350 złotych. I przyjść z opiekunem prawnym.

To pierwsze było do zrobienia, wystarczyło sięgnąć do pieniędzy z komunii, które w przeciwieństwie do innych dzieci Natalia dostała do ręki, a potem schowała w skarbonce. Z drugim było gorzej. Tak, zdecydowanie drugie było nie do przejścia.

Babcia twierdziła, że Natalia dostała tyle od Boga, że naprawdę, ale to naprawdę powinna na kolanach iść do Częstochowy, a nie narzekać. Bo nie ma na co. I niech spojrzy na innych, co mają gorzej, i Natalia sobie nawet nie wyobraża, jak oni marzą, żeby być na jej miejscu. Więc trzeba Bogu dziękować, a nie wymyślać problemy, w czym Natalia jest najlepsza, w przeciwieństwie do takich rzeczy, w których nie jest.

Matka miała inne zdanie, nie umniejszając Bogu, broń Boże! Jednakowoż Natalia powinna się czasem zastanowić, co ona dla niej. Bo ona dla niej wszystko. Głównie to wszystko jej przeszło koło nosa. Ze wszystkiego zrezygnowała i wszystkiego sobie odmawiała. I życia nie miała, choć mogła, ale dar, jakim jest Natalia, jest święty, więc dobrze, że tak się stało. I ona, matka, niesie ciężar tego daru i wcale nie narzeka, więc na Boga, Natalia, weź przestań się mazać i do stołu nakryj, bo ziemniaki dochodzą. I ojca wołaj!

Ojciec nie miał zdania. Rzadko miał.

Miał za to ciemne wąsy, pod którymi to skrzątnie ukrywał. Natalia lubiła, jak ją nimi łaskotał, kiedy była mała. Siadała mu na kolanach, kładła małe rączki na jego ogorzałych policzkach i przytulała twarz do jego twarzy. Ojciec, nie umiejąc znieść takiej dawki bliskości, zaczynał wtedy Natalię łaskotać i chichotali dopóty, dopóki matka nie wymyśliła im jakiegoś bojowego zadania.

Teraz to właściwie w ogóle nie gadali. Ojciec jakoś nie mógł sobie poradzić z tym, że Natalia dorasta – zamyka się w łazience na klucz, nosi stanik i ma tajemnice. Ale tego dowiedziałyby się na terapii kilka lat później.

Drzwi klatki schodowej trzaskają, Natalia wybiega na podwórko i szybkim krokiem kieruje się w prawo. Widzi ją osiedlowy monitoring w postaci pani Stasi z parteru. To będzie ostatni ślad, bo Natalia telefon zostawiła w domu. Jak nigdy – powie potem zalana łzami matka. – Ona naprawdę nie miała powodu, żeby uciekać... Wszystko było w porządku. – Teraz zostaje nam tylko modlitwa, wszystko w rękach Boga – dorzuci babcia, przesuając szybko w palcach paciorki różańca.

Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!

NIC WIĘCEJ

Niebo było szare. Zachód słońca wydobył z niego jeszcze więcej odcieni szarości. Właściwie przypuszczenie zachodu, bo słońca nikt nie widział od paru dni. Syf. Taki styczniowy, klasyczny. Z mżawką i przenikliwym wiatrem. Samochody sunęły spokojnie w mokrej poświacie, dzień się kończył o wiele za wcześnie, a razem z nim skończyło się wszystko.

Chujowe okoliczności na taki koniec. Nie było spektakularnie.

Ona siedziała skulona na przednim, chlipiąc, kiedy on mówił, że jej nie kocha, nie kochał i nie pokocha. Nie ma takiej opcji. I że to było jasne od początku. Ona też mu oczywiście mówiła, że go kocha, kochała, a z tym „będzie kochać” to się nie zapędzała, bo kto wie.

Po prostu się nie słyszeli. Do dziś.

Właściwie nie wiadomo, z czego wynikła ta rozmowa. Zaczynali ją już wcześniej, ale jakoś inaczej. Bomba była rozbrajana żartem albo zmianą tematu. Zbaczali z drogi i znowu oboje czuli się bezpiecznie. Tu po prostu nikt nie zawrócił.

I ona teraz chlipie, silnik szumi miarowo, a w odtwarzaczu leci zapętłona piosenka. Jego ulubiona. Nie będzie mu się już dobrze kojarzyć. Był wściekły nie tylko na tę piosenkę, ale przede wszystkim na siebie. Bo nie lubił nikogo ranić. I od zawsze wiedział, że nie powinien wchodzić w żadne relacje, nawet takie, bo nie umie. I nie chce umieć. Dobrze mu tak, jak jest. Łatwiej. Co z tego, że to głupie, było jego i się sprawdzało.

NIE SPRAWDZAŁO SIĘ.

Jak widać.

Ale to nie miało znaczenia.

Wcale nie chciał jej zranić, bo ją lubił. Bardzo. Fajnie się z nią spędzało czas. Bywała zabawna. Czowała. Mógł być sobą i pierwszy raz od dawna miał w sobie spokój i poczucie, że wszystko jest w porządku. I bardzo doceniał jej pomoc. Mówił jej, jak bardzo jest za to wdzięczny. Zresztą gadali o wszystkim i wydawało mu się, że wszystko jest jasne. Było kogo przytulić i potrzymać za rękę. Jak kumpla. Prawie. Kto by przypuszczał, że ona go nie słucha i te wszystkie gesty odbiera inaczej? Przecież jej nie pieprzył ani nie całował namiętnie i na pewno nic nie obiecywał. Skoro przez tyle czasu do niczego nie doszło, to ona się nie zorientowała, że nie jest nią zainteresowany w TEN sposób?

A ona ciągle chlipała. Nie znosił tego dźwięku. Naciągnęła kaptur na głowę, oplótła ramionami zgięte kolana i puszczała tylko po to, żeby sięgnąć po chusteczkę. Kolejną. Czowała, jak on przyspiesza, żeby jak najszybciej zmniejszyć dystans dzielący ich od jej domu.

Najbardziej to sobie chciała teraz odrąbać ręce, które rozpaczliwie pragnęły go dotknąć. I otoczyć opieką, i pocieszyć. I całą tę część w sobie z czułością i miłością, która się z niej wylewała. Chwilowo w postaci kataru i łez.

Już nigdy.

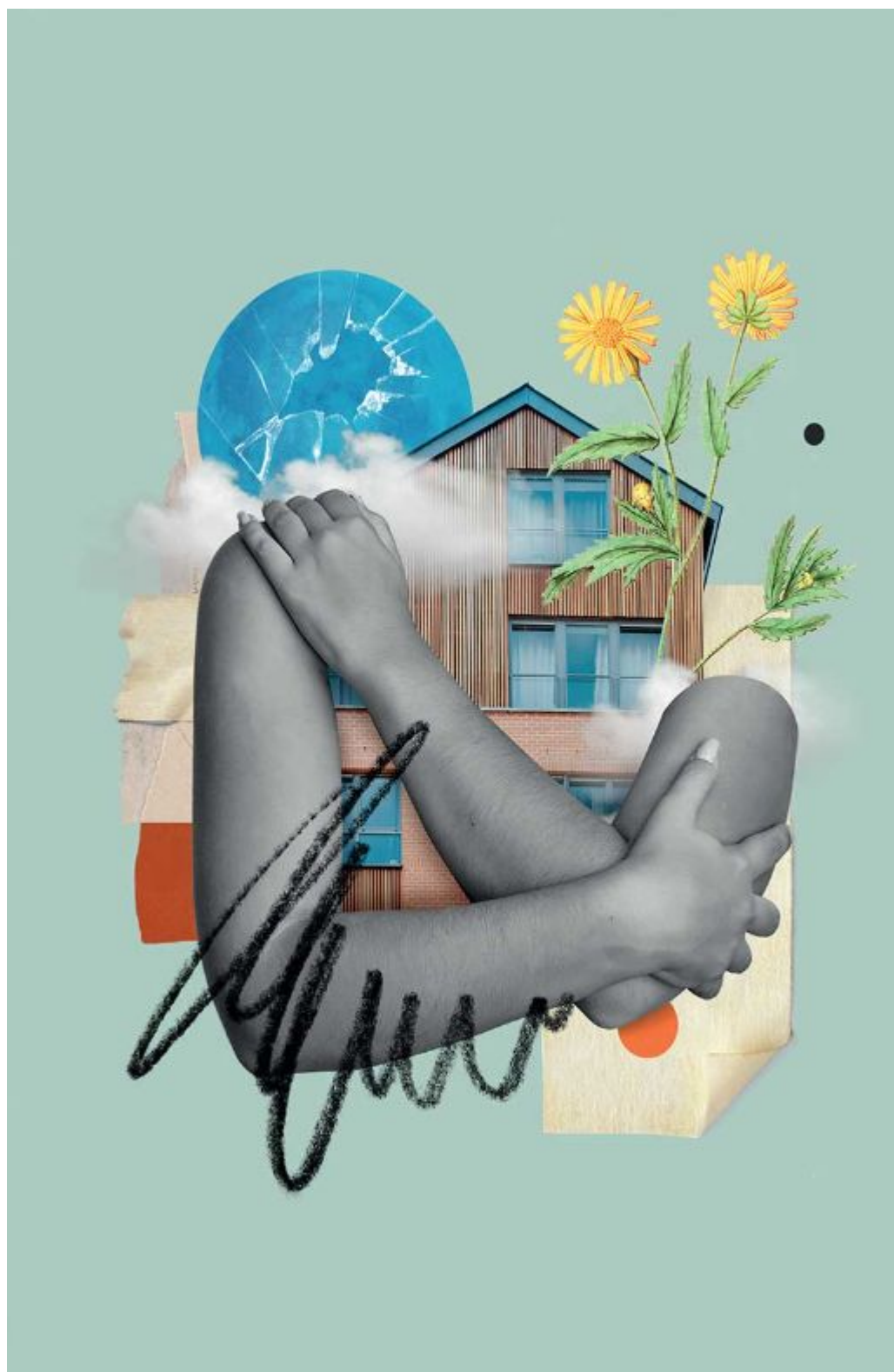
Nigdy już.

Oczywiście słyszała, że jej nie kocha. Ale czasem miała wątpliwości. Większość mężczyzn w jej życiu, którzy dla odmiany zapewniali ją o gorącym uczuciu, nie dało jej tyle czułości. Ani poczucia bezpieczeństwa. A już na pewno żaden nie dał jej spokoju w ciele.

Zastanawiała się czasem, czy będzie umiała tak żyć. Bo było jej dobrze. Bardzo dobrze. Albo bywało. To zależało od momentu i kieliszków prosecco. Po było gorzej. Coś jej się włączało. Ale na co dzień nie.

Lubiła jego dzieci i rodziców. Jego przyjaciół, mieszkanie, te śmieszne zmarszczki w miejscu, gdzie ucho łączy się z głową. To, że przeglądał się we wszystkim, w czym mógł, i najpierw marszczył brwi, przeciągał kilka razy ręką po włosach, a potem na nie narzekał.

To, że zapominał, miewał w kieszeni skarpetki, a w nocy jego noga tańczyła. Skoro jest coś takiego, jak zespół niespokojnych nóg, to on miał zespół niespokojnej nogi. Solistki. Budziła ją w nocy. A on budził w niej wszystkie najlepsze uczucia. Lubiła siebie taką. Kochała też jego psa. Kochała jego i psa. I zrobiłaby wszystko, żeby on teraz nie był zdenerwowany – wiedziała, jak nienawidzi takich rozmów i takich sytuacji.



Chwilowo też nie wyobrażała sobie życia z nikim innym. Nie cieszyła jej ta wizja. Bo jak spotyka się kogoś, z kim jest tak dobrze, po

prostu i jak od zawsze, to chciałoby się rozsiać i żeby to trwało. Nic więcej. Wiedziała, jakie to rzadkie. Wyjątkowe. Nie wzięła tylko pod uwagę, że on może nie chcieć z nią siedzieć. Kretynka. Też była na siebie zła, ale przede wszystkim czuła się strasznie żalosna.

Mimo że przecież zawsze wiernie podążała za swoim sercem, nawet jeśli warunki stawały się nieznośne. Wszystko dlatego, że jeszcze bardziej niż samych końców świata bała się wyrzutów sumienia. Że będzie mogła sobie zarzucić, że nie zrobiła wszystkiego, a mogła. Że nie zawalczyła. A potem znikwała, by goić się w samotności. Bo wiadomo, że przy takim podejściu można odnieść poważne obrażenia. Czasem znikwała na chwilę, częściej na zawsze.

Taką samą zasadę stosowała przy oparzeniach. Nigdy nie wkładała palca pod zimną wodę. Bo wtedy boli dwa razy – jak się oparzysz i jak wyciągasz z wody, a krew napływa do poparzonego miejsca. I wtedy jest trudniej. Bo ta woda kusi i wkładasz znowu, i znowu boli. Bez sensu.

Tak samo tu. Lepiej zniknąć raz i rozpaść się na kawałki niż serwować to sobie w odcinkach. I mieć nadzieję. Nienawidziła jej. Zaraz po amputacji rąk chciałaby amputować nadzieję.

Niemniej jedyne, co zostało nagle amputowane, to plany na przyszłość. Ich plany. Te same, których on nie chciał nigdy robić, ale jakoś tak wyszło, że były.

Takie zgniłe jajo. Teraz pękło, wydzielając okropny zapach. Niespełnienia i tego wszystkiego, co by być mogło, gdyby, ale przeterminowało się w sekundę. Beznadziei. Złamanego serca. Superplanów, co się właśnie obracały w perzynę.

Jeszcze jedno światła i będą w domu. Ona będzie. Położy się na łóżku i będzie wyć, aż rozboli ją brzuch. On pojedzie do siebie, ale po drodze załatwi jeszcze mnóstwo spraw i nie pozwoli sobie na to, żeby zbyt dużo o tym myśleć. W końcu nie zrobił nic złego i nie może brać na siebie odpowiedzialności za to, jak ktoś się poczuł. Jest wystarczająco rozczarowany, zły i smutny. Musi poszukać spo-

koju ducha. I pogody. Trudno o nią w tym mieście. Ale na pewno musi o siebie zadbać.

Ona najbardziej na świecie chciała zadbać o to, żeby na zawsze zapamiętać, jak im było super. Bo było! I to trzeba ochronić. I pamiętać. Właśnie to, a nie to z samochodu. Pamiętać radość i spokój, i czułość. I ciepło, które się w niej rozlewało, jak na niego patrzyła, i to że mogła przy nim wszystko. Tak czuła. Siebie taką właśnie.

No i że tak może być. Najlepiej – po prostu. Po prostu – słowa kluczowe.

Wiedziała, jak łatwo te wspomnienia stracić i zamazać. Pamiętać inaczej.

Obiecała sobie, że zrobi, co tylko się da, żeby tego nie zniszczyć. Żeby to zabezpieczyć przed wszystkim, co się wydarzy, kiedy ona osunie się w otchłań bez dna. Zabezpieczyć przed sobą, własną złością i rozżaleniem, oraz światem, który w to wtargnie.

TO było ich. Było święte. I kropka.

Nawet jak jej przyjaciółki będą mówić, że powinna być na niego zła. Że się nią bawił. Że jest okrutny. A ona będzie przytakiwać i nie zgadzać się z nimi w myślach.

Powiedzą, że to jest chore. Nienormalne. On powinien iść na terapię i to przepracować. Potem zaczną stawiać skomplikowane diagnozy, które kompletnie nie będą miały znaczenia.

Bo cała sprawa sprowadzała się do najprostszego – ona go kocha, a on jej nie. Nic więcej.

Dojechali. On pomógł jej wnieść torbę do domu. Uprzejmie uścisnęli się na do widzenia, choć on wolał tego uniknąć. Powiedział, że odezwie się później, ale oboje wiedzieli, że to bez sensu.

Bo cała sprawa sprowadzała się do najprostszego – ona go kocha, a on jej nie. Nic więcej.

Wsiadł do samochodu. Widziała go przez okno. Zaraz potem osunęła się teatralnie na podłogę. Jakby spojrział do góry, jeszcze by

to zobaczył, choć nie zrobiłoby to na nim specjalnego wrażenia. A nawet jeśli, to nic by nie zmieniło.

Bo cała sprawa sprowadzała się do najprostszego – ona go kocha, a on jej nie. Nic więcej.

„On mnie nie. Nic więcej. Ale to jest banalne” – pomyślała. Jednak niespecjalnie przyniosło jej to ulgę.

On za to poczuł jakiś rodzaj ulgi. To krępujące, jak ktoś wyznaje nam miłość, a nie można odpowiedzieć tym samym. Nie czuł się z tym dobrze. A oprócz tego od jakiegoś czasu żył trochę nie swoim życiem. Może i było miło, ale nie miał zamiaru nic zmieniać. I na pewno nie chciał nikogo zranić. Oczywiście, że będzie mu czegoś brakować, ale też coś z siebie zrzuci. Bilans na zero. Jeszcze pewnie kilka razy ją zobaczy, napisze kilka esemesów, bo przecież z jego strony nic się nie zmieniło, no i jakby co, zawsze pomoże. Ona może na niego liczyć.

Tylko dla niej to nie miało znaczenia.

Bo cała sprawa sprowadzała się do najprostszego – ona go kocha, a on jej nie. Nic więcej.



No i na sam najsamszy koniec, czego się zapewne zupełnie nie spodziewaliście, prezentuję Wam, jak wyglądam w dniu skończenia książki, czyli 2 kwietnia 2023 roku. Trochę dla równowagi w stosunku do tych tekstów, co to były nieaktualne. Zdjęcia są czarno-białe z dosyć prozaicznego powodu. I nie, nie dlatego, żeby było bardziej dramatycznie albo że wydawnictwo chciało przyoszczędzić na farbie. Po prostu moja córka wymarowała wczoraj wszystkie kolorowe wkłady do instaksa, fotografując swoje zabawki. Każdą z osobna. Wiecie, ile to kosztuje? Totalne zdzierstwo.

Schowałam przed nią aparat tak dobrze, że dziś nie mogłam go znaleźć. Ale do rzeczy.

Jako że to koniec, to będą podziękowania. I antypodziękowania.

Dziękuję Mamie, Antkowi i Wandzie za nieustające inspiracje. Kocham Was najbardziej na świecie.

Grzesiakowej, Molskiej, Mery, Cezaremu, Marice, Boniemu, Bilutowej, Mani, Szefowej, Molskiemu, Wawro, Domisiowi, Królowi, Kubernie, Adrianowi, Reni, I. E. Ziemiańczykom, A. Wołęjszo oraz M. Mielke. Za różne rzeczy, które składają się na „wszystko”.

I P. Kuźniakowi, bo mi też dziękował w swojej książce, a pisze kolejną, to będziemy mieli taką tradycję.

Dobra, Kowalikowej też, pomimo że sobie poszła produkować inny program, niech ma (i żałuje).

No i nie dziękuję wcale, ale to wcale D.Ż. Fligmanowi za nic. He, he.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Dedykacja

Motto

Miało być zabawnie...

TERMIN WAŻNOŚCI

BIGOSIK

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

ZAKOCHANIE

TOKSYK

PODZIAŁ MAJĄTKU

PRZESŁANIE

MODA NA BRZYDOTĘ

PAMIĘĆ MIĘŚNIOWA

ZWIĄZKI

PRZYMUS SAMOWYSTARCZALNOŚCI

URODZINY

SZUFLADA ŚMIERCI

DEFICYTY

CZUŁOŚĆ

NIE TAK

BEZ FILTRA

KOBIETA KOBIECIE KOBIETĄ

JAK POWIETRZE

ODPUSZCZANIE

KŁAMSTEWKA

GRUDZIEŃ

WIGILIA

NA WŁASNYCH ZASADACH

ANALOGOWA
SEN
W KRYZYSIE
WYPROWADZKA
JUŻ NIGDY
PRZYJAŹNIE
SPODNIE
KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU
KONTROLA
CZAS
RZECZY PO ZMARŁYM
KOBIECY W MOJEJ RODZINIE
LIST
MATKA
RAZEM
GRANICA
WOJNA RELIGIJNA
SYNDROM GOTOWANEJ ŻABY
KWARANTANNA
PAUZA
WDZIĘCZNOŚĆ
ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY.
METODA NA SZALEŃSTWO
TU I TERAZ
ŚWIĘTA
WYOBRAŹNIA
JAK W DOMU
PIĘKNA KATASTROFA
NIE DO PRZEJŚCIA
NIC WIĘCEJ

...

Projekt okładki
Beata Śliwińska „Barakuza”

Przygotowanie okładki do druku
Karolina Żelazińska

Zdjęcia autorki
Wojtek Friedmann

Ilustracje
Martyna Ochojska

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Anna Rydzewska

Korekta
Ida Świerkocka
Malwina Kozłowska

Projekt wnętrza, skład i łamanie wersji papierowej
TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Niektóre teksty (część pod zmienionymi tytułami)
po raz pierwszy ukazały się na łamach prasy:

Teksty ze stron: 17, 21, 25, 35, 39, 43, 51, 55, 59, 63, 79, 83, 87, 91, 95, 99, 103, 107, 109, 113, 121,
129, 151, 163, 191, 193, 195, 197, 201, 205, 219 – ukazały się w magazynie „Olivia”.

Teksty ze stron: 13, 67, 71, 117, 125, 149, 155, 1659, 167, 171, 185, 209, 213, 217, 223 – ukazały
się w magazynie „Wysokie Obcasy Extra”.

Copyright © Dorota Szelałowska, 2023
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2023

ISBN 978-83-8032-892-1



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Wiertnicza 36
02-952 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Strona tytułowa	1
Dedykacja	2
Motto	3
Miało być zabawnie...	5
TERMIN WAŻNOŚCI	12
BIGOSIK	15
SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU	19
ZAKOCHANIE	23
TOKSYK	30
PODZIAŁ MAJĄTKU	34
PRZESŁANIE	37
MODA NA BRZYDOTE	40
PAMIĘĆ MIĘŚNIOWA	43
ZWIĄZKI	47
PRZYMUS SAMOWYSTARCZALNOŚCI	51
URODZINY	55
SZUFLADA ŚMIERCI	58
DEFICYTY	61
CZUŁOŚĆ	65
NIE TAK	68
BEZ FILTRA	72
KOBIETA KOBIECIE KOBIECIE	76
JAK POWIETRZE	79
ODPUSZCZANIE	83
KŁAMSTEWKA	87

GRUDZIEŃ	91
WIGILIA	93
NA WŁASNYCH ZASADACH	97
ANALOGOWA	99
SEN	104
W KRYZYSIE	108
WYPROWADZKA	112
JUŻ NIGDY	115
PRZYJAŹNIE	119
SPODNIĘ	126
KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU	130
KONTROLA	134
CZAS	137
RZECZY PO ZMARŁYM	139
KOBIETY W MOJEJ RODZINIE	143
LIST	147
MATKA	151
RAZEM	155
GRANICA	158
WOJNA RELIGIJNA	163
SYNDROM GOTOWANEJ ŻABY	171
KWARANTANNA	176
PAUZA	178
WDZIĘCZNOŚĆ	180
ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY.	182
METODA NA SZALEŃSTWO	186
TU I TERAZ	190
ŚWIĘTA	193

WYOBRAŻNIA	197
JAK W DOMU	200
PIĘKNA KATASTROFA	202
NIE DO PRZEJŚCIA	206
NIC WIĘCEJ	209
...	217